



Deborah Simmons

Dandys i Jane

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Aaach!

Deverell Fairfax, wicehrabia Raleigh, przewrócił się na bok. Głowa omal nie pękła mu z bólu, gdy po okropnym wrzasku nastąpił potężny łoskot. Ki diabeł? Służba otrzymała rozkaz, by nie budzić go przed południem, gdy jednak otworzył jedno oko, zobaczył, że przez jasnożółte zasłony do pokoju wlewa się blask podejrzenie podobny do promieni porannego słońca.

Zacisnął powieki, odcinając się od przykrego światła. Próbował powrócić do rozkosznej drzemki, jednak pulsowanie w skroniach ani myślało ustąpić, a zza drzwi sypialni niósł się głośny tupot nóg.

Kogóż tu diabli niosą? - zaciekawił się sennie. I gdzie jest to „tu”? W miarę powracającej przytomności uświadamiał sobie coraz dobitniej, że nie znajduje się bynajmniej w swojej rezydencji w Londynie.

Odwrócił się na wznak i spojrział przez zmrużone oczy na sufit; dostrzegł znane skądś szafirowobłękitne, jedwabne draperie. Dyskretny zapach kwiatów nasuwał podejrzenie, że znajduje się w alkowie jakiejś damy. Jakiej - nie mógł sobie przypomnieć. Przytknąwszy dłoń do zbolałego czoła, wysilał pamięć. Przypomniawszy sobie, że został wezwany przez ojca i że topił niechęć do tej podróży w butelce, a może dwóch. Albo trzech.

Musiał się nieźle zalać. Poczul się samotny, stęskniony za przyjaciółmi, którzy już dawno się pożenili, i uznał, że woli oglądać któregoś z nich niż rodziców, wybrał się więc z wizytą wynajętym powozem, nie biorąc kamerdynera ani nikogo ze służby. Czy w ogóle wziął

ze sobą kufer?

Jęknął. Oderwał dłoń od pulsujących skroni i zaczął myszkować w fałdach pościeli, szukając towarzyszki, która wyjaśniłaby mu, gdzie się znajduje. Wreszcie trafił na jakieś ciało, ale przez szpary w powiekach zobaczył jedynie niewyraźny kształt owinięty w kołdry. Czyżby w nocy wy-czerpał nieszczęsną niewiastę tak bardzo, że spała jak zabita, czy też, jak on, pokutowała za wczorajsze pijaństwo?

Ze stęknieniem uniósł się na łokciu, żeby się lepiej przyjrzeć leżącej obok niego kobiecie, ale jego studia przerwał dobiegający od drzwi sypialni krzyk przerażenia, po którym basowy ryk jak obuchem walnął go w czaszkę.

- Na Boga, Raleigh! Skąd się tu wzięłeś? - zawołał jakiś kobiecy głos.

- Co się tu dzieje? - wymamrotał Raleigh. Wiedział, do kogo należy ten kobiecy głos, rozpoznał też ryk. Bez wątpienia znajdował się w Casterleigh, w hrabstwie Sussex, w rezydencji hrabiego Wycliffe'a i jego żony Charlotte. Wystarczyło jedno spojrzenie na towarzyszkę łoża, która właśnie się przebudziła, by zrozumiał, co wywołało owe niepokojące odgłosy. Kobieta była odwrócona do niego tyłem, widział jej długi, gruby warkocz, który w niczym nie przypominał falistych pukli jego metres.

Szukała teraz czegoś na nocnym stoliku, a kiedy po chwili spojrzała w jego stronę i zobaczył binokle na jej nosie oraz wściekłą minę, poczuł, że robi mu się słabo. Z jękiem osłupienia opadł z powrotem na poduszki.

Co on, u diabła, robił tu z Pospolitą Jane?

Bał się, że ból rozsadzi mu czaszkę, jednak udało mu się ubrać bez pomocy służby, gdy tylko jego towarzyszka, odziana jedynie w skromną, białą długą koszulę nocną, wybiegła z pokoju. Nadal nie miał pojęcia, jakim cudem smarkuła znalazła się w jego sypialni, ani też, co się tu mogło

zdarzyć. Zadrzał na samą myśl o tym. Powoli wracały mu okruchy pamięci, jednak w żadnym nie pojawiała się młodsza siostra Charlotte. Na Boga, uchodził za ladaco, ale chyba nie posunąłby się tak daleko, by molestować młodą dziewczynę, w dodatku szwagierkę jednego ze swoich przyjaciół. I do tego córkę pastora!

Jęknął, spojrzawszy na wygnieciony fular, i zrezygnował z fantazyjnego udrapowania go na szyi. Przynajmniej miał na tyle przezorności, by przywieźć ze sobą kufer z odzieżą. Parsknął z dezaprobatą na widok niedostatków swojej aparycji i wkroczył do saloniku, do którego pośpiesznie zeszli się uczestnicy porannej narady.

Nikt nie zwrócił uwagi na wejście Raleigha, gdyż Charlotte z rozpaczą wyjaśniała właśnie mężowi, co się wydarzyło tej nocy.

- To ja kazałam Jane tam się położyć. Zawsze nalegałeś, by gości umieszczać w szafirowej sypialni, więc nie chciałam burzyć twoich przyzwyczajień.

Gdyby nie okropny ból głowy, Raleigh zapewne by się uśmiechnął, gdyż pedanteria i zamięłowanie do porządku Wycliffe'a były powszechnie znane, choć trochę zelżały, odkąd się ożenił. Jednak rozbawienie wicehrabiego zgasło, gdy Charlotte donośnym głosem podjęła mowę obronną. Czy nie mogłaby mówić trochę ciszej? - zastanawiał się, ściskając dłońmi pulsujące skronie.

- Przyszła wczoraj pomóc mi przy bliźniętach. Ząbkują, więc są kapryśne i niespokojne. Max namawia mnie do wynajęcia niańki - zwróciła się do Raleigha - ale na plebanii nigdy nie mieliśmy niańki i za nic nie powierzyłabym moich maleństw, ani nawet Barta, który już skończył trzy latka, obcej kobiecie.

- Charlotte... - Basowy głos Wycliffe'a przywołał ją z powrotem do

głównego wątku dyskusji. Raleigh skrzywił się.

Charlotte spojrzała bezradnie na męża.

- Wieczorem, kiedy zaczął się deszcz z wichurą, powiedziałam Jane, że musi zostać na noc. Pożyczyłam jej... coś z garderoby i miałam zamiar posłać kogoś rano do domu rodziców po ubrania dla niej. A potem jedna z pokojówek, bodajże Libby, stanęła tuż za plecami Ann, która wniosła tacę, kiedy...

- ...otwarły drzwi i zamiast spokojnie powiedzieć ci, co zobaczyły, uciekły z krzykiem, rozrzucając po podłodze zastawę - dokończył Wycliffe z dezaprobatą. Raleigh nie umiał powiedzieć, czy hrabia był bardziej zdenerwowany tym, co pokojówki zastały w sypialni, czy też zmarnowanym śniadaniem.

- Zgadzam się, że mogły wykazać więcej dyskrecji - odparła Charlotte. - Ale nie mogę im mieć za złe, że były zaskoczone. I nadal nie pojmuję, skąd się tam wziął Raleigh?

- Obawiam się, że trudno będzie mi to wyjaśnić - uśmiechnął się Raleigh ze skruchą. - Otrzymałem wezwanie do rodzinnego gniazda, jednak w trakcie nocy musiałem zmienić zamiary. - Przypomniawszy sobie, że udał się do klubu, ale wcale mu się tam nie spodobało. Klub wypełniony był parweniuszami i pospółstwem, podczas gdy jego przyjaciele pozaszywali się na wsi w dziedziczonych od pokoleń posiadłościach. On jeden w tym kręgu nadal nie stronił od wesołego towarzystwa i salonów gry, choć bywał w nich bez zbytniej przyjemności, gdyż straciły już dla niego dawny powab.

Parę butelek później zdecydował się odrzucić synowskie obowiązki na rzecz złożenia wizyty jednemu ze swych żonatych przyjaciół. Najbliżej Londynu mieszkał Wroth, ale złożenie ot, tak wizyty markizowi Wroth było nie do pomyślenia. Pozostawała Kornwalia lub hrabstwo Sussex. Raleigh

rzucił monetą.

- Wybrałem się na wariata - przyznał.

- Wiesz, że zawsze jesteś tutaj mile widziany - pośpiesznie zapewniła go Charlotte. - Tylko... jak tu wszedłeś? - spytała, lekko zaskoczona.

Zazwyczaj patrzyła przez palce na intruzów, jeśli byli przyjaciółmi domu.

- Nie chciałbym cię rozczarować, ale wszedłem przez frontowe drzwi. Otworzył mi Wycliffe - odparł Raleigh i odetchnął z ulgą, gdy przeniosła pytający wzrok na męża.

- Właśnie wróciłem do domu... bardzo późno z powodu pogody - wyjaśnił Wycliffe. - Ze służby tylko Richardson był na nogach. Zwolniłem go ze względu na porę, więc kiedy usłyszałem stukanie, otwarłem sam. Zobaczyłem Raleigha, ale że nie mogłem się z nim dogadać, wysłałem go na górę, do pokoju gościnnego. Nikt mi nie powiedział, że tam śpi Jane.

- A twój kamerdyner? - spytał Raleigh.

- Levering nie ma służby w nocy - odparł Wycliffe z lekkim rumieńcem. Kpiący uśmiech na wargach Raleigha zgasł, gdy zobaczył ponury wyraz jego twarzy.

- A ty? Nie zauważyłeś, że pokój jest... zajęty?

- Zbyt wiele kielichów wlałem w siebie.

- Kielichów? To znaczy, że on był... pijany? - Jego milcząca do tej chwili towarzyszka łoża, Jane Trowbridge, była wyraźnie zaszokowana. Szeroko otwierając przysłonięte binoklami oczy, drżała, choć Raleigh nie sądził, by jego trzeźwość lub jej brak mogły jej w czymkolwiek dotyczyć.

Chyba że zrobił coś w pijackiej nieświadomości... Ogarnięty paniką, obejrzał Jane od stóp do głów, od skromnie ściągniętych włosów, poprzez szarą sukienkę, aż po praktyczne trzewiki. Nie, nie mógł być aż tak pijany. Wsparty o poduchy otomany, studiował uważnie jej twarz.

- Owszem, byłem pijany - przyznał. - A co ty masz na swoje usprawiedliwienie? Nie zauważyłaś, że ktoś się kładzie w łóżku przy tobie?

Z satysfakcją patrzył, jak Jane pąsowieje i z trudem łapie oddech. W sukurs siostrze pośpieszyła Charlotte:

- W naszym domu młodsze rodzeństwo często przychodziło do nas podczas burzy, więc Jane mogła nie zareagować na to, że ma... hmm... towarzystwo.

Raleigh miał już na końcu języka cierpką ripostę. Jak śmiała porównywać go do dzieci pastora, bandy obdartych wyrostków? Tymczasem Jane, ze wzrokiem wbitym w ziemię, zaczęła się pokornie tłumaczyć:

- Łóżko było miękkie, w domu panowała cisza, słyszałam tylko kojący szelest deszczu... Myślę, że spałam jak kamień.

Pewnie, pomyślał Raleigh. Znał tłoczny, hałaśliwy dom pastora i trudno mu było oskarżać smarkulę o to, że tęskniła do spokoju. Fakt, że porównano go do jej rodzeństwa, osładzała nieznacznie świadomość, że przynajmniej nie chrapał.

- Cóż, co się miało stać, to się stało - stwierdził Wycliffe. - Teraz musimy zdecydować, co zamierzamy z tym zrobić. - Spojrzał prosto w twarz Raleigha, który kolejny raz doznał uczucia, że grunt usuwa mu się spod nóg. Na usta cisnęły mu się niezliczone wymówki, ale jego język nagle zrobił się dziwnie ciężki. Raleigh uprzytomnił sobie, jaka odpowiedź mogłaby zadowolić Wycliffe'a. Jego cały świat runął.

Zmierzył Jane pośpiesznym spojrzeniem i zaczerpnął tchu, by powstrzymać zawroty głowy. Dziewczę z pewnością było zbyt młode jak na to, co mógł mieć na myśli Wycliffe. Odchrząknął.

- Myślę, że zależy to od kilku spraw - odparł pewniejszym głosem. Twarz Wycliffe'a pociemniała. - Na przykład od tego, ile nasza dama liczy

sobie wiosen?

Charlotte posłała mu współczujące spojrzenie i Raleigh nagle poczuł się jak galernik z dożywotnim wyrokiem.

- Jane ma osiemnaście lat - odparła, a jemu ścisnął się żołądek. Mrugając z niedowierzaniem, patrzył na smarkulę w binoklach. Kiedy zdążyła dorosnąć? Zawsze miał ją za jedną z bandy niedorostków, braci i siostr Charlotte, których często widywał w Casterleigh podczas swoich wizyt. Osiemnaście lat?

Dłonie zaczęły mu się pocić, w żołądku poczuł chłód. Zdawał sobie doskonale sprawę, że w sprawach honoru z Wycliffe'em nie ma dyskusji. Dwie służące, których krzyki wyrwały go ze snu, z pewnością zdążyły już rozpowiedzieć tę historię po całym domu, skąd niechybnie powędruje na wieś i dalej, do pastora, ojca Jane.

Na samą myśl o dobrotliwym wikarym Johnie Trowbridge, Raleigh stłumił jęk. Miał do wyboru: stracić wolność lub przyjaciół i szacunek do siebie samego. Z wysiłkiem zaczął ubierać rozbiegane myśli w słowa, marząc tylko o tym, by wszystko się skończyło, zanim jego żołądek zbuntuje się do reszty.

- Chyba nie pozostaje nam nic innego, jak przejść do rzeczy - zdecydował. Pochylając obolałą głowę, zwrócił się do Jane: - Hmm... panno Trowbridge, czy zrobi mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną?

Wyrzuciwszy z siebie pytanie, którego w życiu nie zamierzał zadawać Pospolitej Jane, zdążył jeszcze dostrzec błysk zaskoczenia za okrągłymi szklami binokli i przegląd całego wczorajszego dnia wylądował na wymuskany parkiecie Wycliffe'a.

Jane była w szoku. Z natury niezwykle spokojna, teraz krążyła nerwowo po puszystym francuskim dywanie w szafirowej sypialni, ostro spierając się z siostrą.

- Chyba nie myślisz serio, że wyjdę za niego za męża! - wykrzyknęła po raz kolejny. Wyraz współczucia na twarzy Charlotte kazał jej odwrócić wzrok.

Sama była sobie winna. Deszcz nie deszcz, powinna była wracać do domu, do wąskiego, twardego łóżka w pokoju dzieciennym. Zwykle potępiała luksus, w jakim pławiła się siostra, jednak zeszłej nocy uległa pokusie wielkiego, miękkiego łoża z puchową pościelą, rozsiewającą woń kwiatów. Teraz przyszło jej płacić za swój słaby charakter.

Spała jak kamień, w ciepłe i puchu. Odgłosy wiatru i deszczu z trudem docierały przez wysokie okna sypialni. Nie musiała psykać na Jamesa i Thomasa, kłócących się za ścianą, zrywać się w nocy do płaczącej Jenny ani zastanawiać, gdzie podział się Kit. Ogarnął ją dziwny spokój, jakiego nie spodziewała się zaznać w wystawnym domu siostry.

Dopóki rano nie rozwrzeszczały się służące, nie zauważyła w ogóle obecności intruza. Sam Bóg na niebie widział, że łoże było dostatecznie obszerne, by spało w nim, nie stykając się ze sobą, pół tuzina ludzi.

- To było nieporozumienie. Do niczego nie... doszło - mruknęła niechętnie.

- Wiem, kochanie - odparła Charlotte. - Ale obawiam się, że to nie ma najmniejszego znaczenia. Wierz mi, w towarzystwie liczą się tylko pozory. Kobieta zameżna może zabawiać się, jak chce, pod warunkiem, że potrafi zachować dyskrecję, natomiast najmniejsza pogłoska o czymś niestosownym dla panny jest zabójcza!

- Ależ, Charlotte, to nie jest Londyn... mieszkamy w zapadłej dziurze,

w Sussex! To było tylko nieporozumienie, nie doszło do niczego niewłaściwego, więc po co posuwać się do ostateczności?

Charlotte potrząsnęła głową. Jej łagodna, słodka twarz wyrażała najgłębsze współczucie, jednak uwagi Jane nie uszedł stanowczo wysunięty podbródek siostry. Charlotte, z natury dobra i miła, potrafiła też być bardzo uparta, o czym świadczyło jej małżeństwo z kimś przewyższającym ją pochodzeniem, myślała ponuro Jane. A teraz wyglądała na zdecydowaną.

- Widziano cię, Jane. Służba już zapewne rozpowiada na lewo i prawo, a wiesz sama, jak rozchodzą się plotki w Upper. Za chwilę cała okolica dowie się o tym wydarzeniu i jeśli go nie poślubisz, będziesz zhańbiona.

Jane, pełna mrocznych myśli, odwróciła się do niej plecami.

- Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? - spytała cicho.

- Oczywiście, że ma! - Charlotte chwyciła ją za ramiona i odwróciła twarzą do siebie. - Jak możesz tak mówić?! - zdumiała się szczerze.

Jane umknęła spojrzeniem.

- Dobrze wiem, że nie jestem rodzinną piękną - odparła, zmuszając się do powiedzenia znanej prawdy.

- Ale nie jesteś też żadną maskarą! - zaprotestowała Charlotte. - Wierz mi, że piękno nie zawsze gwarantuje szczęście. Najczęściej bywa przeszkodą.

Jane potrząsnęła głową, niezbyt przekonana.

- Zawsze miałaś kawalerów na pęczki, a ja ani na lekarstwo.

- Nie miałaś kawalera, bo zniechęcałaś każdego chłopca w promieniu mili, Jane, dobrze o tym wiesz! Sądziłam, że jesteś, jak ja, szalenie wybredna, więc nic nie powiedziałam, kiedy odmówiłaś spędzenia sezonu w Londynie. Przez myśl mi nawet nie przeszło, że nie doceniasz własnej

wartości. Jesteś ładną dziewczyną i każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, mogąc wziąć cię za żonę.

Puściła siostrę. Jane znów pokręciła głową. Było powszechnie wiadome, że pośród córek pastora pięknnością była Charlotte, a młodziutkie Carrie i Jenny miały ją wkrótce doścignąć. Natomiast Sarah i Jane nie wyróżniały się niczym. Sarah była pokorną żoną gamoniowatego Alfa, a Jane powzięła niezłomne postanowienie pozostania panną, by nikogo nie rozczarować i samej nie przeżyć rozczarowania. Miała swój ogród, swoje książki i swoje obowiązki na plebanii.

- Może ten wypadek wyjdzie mi na dobre, bo teraz będę mogła zrezygnować z wszelkich planów małżeńskich. Jestem skompromitowana i będę żyć spokojnie, pomagając ojczulkowi - powiedziała cicho. Wydawało się to całkiem rozsądne i zgodne z jej dotychczasowymi planami, poczuła jednak dziwny ucisk w piersi, gdy wyrok nabrał znamion ostateczności.

- Chcesz się narazić na ostracyzm w wieku osiemnastu lat? - przeraziła się Charlotte. - Jane, jesteś zbyt młoda, by podejmować taką decyzję i nieodwracalnie przekreślać swoją przyszłość. A co z ojczulkiem i maluchami? Jak wieśniacy będą słuchać jego kazań, wiedząc, że jego własna córka zbłądziła? Jak będziesz robić sprawunki, kiedy każdy uczciwy człowiek prędzej przejdzie na drugą stronę ulicy, niż powie ci dzień dobry? Chcesz, żeby młodsze rodzeństwo cierpiało przez ciebie, przez następną Lizzy Beaton?

- Lizzy Beaton zasłużyła na swoją złą sławę! - obruszyła się Jane. Lizzy była nieszczęsną kobietą, którą ospa wtrąciła do grobu. Chociaż pastor dbał o to, by nie brakło jej pożywienia, wieśniacy unikali jej, nawet płęć męska, która niegdyś tak licznie odwiedzała jej szepę.

- Przede wszystkim jak udowodnisz, że nie zostałam zhańbiona, leżąc

w łóżku z nagim mężczyzną? - spytała Charlotte.

Był nagi? Jane poczuła, że ma ochotę uciec. Oczywiście nie miała wtedy na nosie okularów, a zanim je założyła, jej towarzysz zdążył przysłonić się skromnie, naciągając kołdrę pod brodę. Pokręciła głową, rozmyślając nad ironią sytuacji. Tylko ona mogła być tak nieatrakcyjna, że nawet pijany, nagi mężczyzna nie zwrócił nią uwagi!

- Nie masz prawa porównywać mnie do Lizzy Beaton - zaprotestowała bez większego przekonania. Wiedziała, że nie ma sobie nic do zarzucenia, i mogła, bez wątpienia, przekonać dobrotliwego ojca o swojej niewinności. Jednak siostra miała rację. Większość ludzi nie rozgrzeszy jej tak łatwo jak ich ojczulek. Ale po chwili uświadomiła sobie, że choć nie odmówiłby jej gościny, nie powinna ukrywać się na plebanii, gdyż mogłoby to narazić na przykrości jego i rodzeństwo.

Zamrugła powiekami, żeby nie rozplakać się z powodu tak straszliwego obrotu spraw. Będzie musiała poślubić tego człowieka!

- Każdy, byle nie Raleigh! - oświadczyła, rzucając się na chippendalowski fotel na giętych nogach, jeden z wielu w tym pokoju. Raleigh był zbyt przystojny, zbyt frywolny, zbyt dandysowaty, zbyt utytułowany i stanowczo nie dla niej. - Czemu to nie był pan Cambridge? - zawołała łamiącym się głosem. - Jest taki dystyngowany.

- Ma tyle lat, że nasz ojciec mógłby być jego synem - zauważyła cierpko Charlotte. - Raleigh to o wiele lepsza partia. Nie ma jeszcze trzydziestu lat, jest wicehrabią, a któregoś dnia zostanie hrabią!

- Wiem to wszystko - oznajmiła ponuro Jane. Nie czuła pociągu do bogactw ani do życia w Londynie, gdzie ludzie byli źli i rozpustni, zameżne kobiety romansowały, a mężczyźni nadużywali trunków tak bardzo, że nie wiedzieli, gdzie ani z kim śpią.

- Jane... - Charlotte uklękła przed nią, biorąc ją za rękę. - Wiem, że z jakichś powodów nie dbasz o niego, ale Raleigh jest jednym z najmiłszych mężczyzn, jakich znam. Jest dobry, uczciwy i szlachetny i jestem dumna, że jest moim przyjacielem. Byłabym jeszcze bardziej dumna, gdybym go mogła nazwać moim bratem - dodała z uśmiechem.

Jane westchnęła ciężko. Jakież były jej szanse przeciwko zdecydowanej Charlotte i jej mężowi? Choć była pośród troskliwych krewnych, nigdy w życiu nie czuła się aż tak samotna. Cóż jeszcze mogła powiedzieć?

- Zgoda - oświadczyła z zamierającym sercem.

- Wyjdę za niego, ale pod warunkiem, że to nasz ojczulek udzieli nam ślubu.

John Trowbridge nie posiadał się ze zdumienia, kiedy wezwano go do dworu Casterleigh, by podpisał ślubne dokumenty córki. Zachowawszy dla siebie drastyczniejsze szczegóły, Charlotte powiedziała mu, że Jane i Raleigha ujrzano w kompromitującej sytuacji, ale ponieważ oboje darzą się od jakiegoś czasu sympatią, postanowili się pobrać.

Możliwe, że gdyby ojciec, jak cała reszta, nalegał, żeby czym prędzej poślubiła Raleigha, Jane znalazłaby w sobie odwagę, by stawić wszystkim czoło. Jednak pastor wziął ją na bok i bardzo łagodnie wytłumaczył, żeby nie czuła się do niczego zmuszona, jeśli nie kocha prawdziwie Raleigha. Ignorując insynuację, że mogłaby cokolwiek czuć do układnego wicehrabiego, Jane objęła ojca i uściskała go z całych sił, hamując łzy. Niestety muszę to uczynić, myślała. Nie dla siebie, ale dla ciebie, ojczulku, dla chłopców, Carrie i Jenny. A także dla Charlotte i Wycliffe'a.

Była bardzo obowiązkową dziewczyną, więc zrobiła, co do niej

należało. Zniosła jakoś krótką ceremonię, podczas której Raleigh stał przy niej sztywny i nieszczęśliwy, przetrzymała gratulacje gości, którzy wydawali się o wiele bardziej zadowoleni niż państwo młodzi. Udawała, że kosztuje wykwintnych dań, podanych na eleganckiej porcelanie Wycliffe'a, i pozwalała młodszemu rodzeństwu opychać się do woli ciastem.

Dopiero kiedy nadjechał służący z kuferkiem zawierającym jej skromny dobytek, wszyscy w domu uświadomili sobie w pełni sens wydarzenia i jego skutki. Pomiedzy naradą i przygotowaniem do ślubu Jane nie miała czasu pomyśleć poważnie o swojej przyszłości. Sądziła jednak, że jej życie będzie się toczyć po dawnemu, jej małżeństwo okaże się tylko formalnością, a Raleigh powróci do Londynu. Teraz poinformowano ją zniechęcająco, że powinna jak najprędzej wyjechać do rodzowego gniazda wicehrabiego. Na wiadomość o tym obdarzyła świeżo poślubionego małżonka spojrzeniem tak mało entuzjastycznym, że Charlotte zaciągnęła ją z powrotem do szafirowej sypialni, którą Jane zdążyła do reszty znienawidzić, rzekomo po to, by pomóc się siostrze spakować.

W rzeczywistości Charlotte próbowała tchnąć w siostrę nieco entuzjazmu, uprzednio wysławszy służącą, by przyniosła trochę jej własnych ubrań, mających uzupełnić ubożuchną garderobę Jane.

- Ile razy prosiłam cię, żebyś dała sobie poszyć jakieś eleganckie suknie! Teraz nie masz wyjścia i musisz wziąć to, co jest. Raleigh będzie musiał się nieźle wykosztować na twoją nową garderobę - dodała z uśmiechem.

Jane w milczeniu przyjęła powrót służącej z naręczem nocnej bielizny. Wiedziała, że stroje Charlotte będą na nią zbyt obszerne, tym razem jednak nie rozmiar przykuł jej uwagę, lecz ich wygląd. Pomyślała, że były tak znoszone, że prawie przezroczyste!

- Nie mogłabym włożyć czegoś takiego - szepnęła, kiedy służąca wyszła.

- Oczywiście, że mogłabyś - odparła Charlotte z wymuszoną serdecznością, która od razu nastroiła Jane nieufnie do jej intencji.

- Po co mi to dajesz? - spytała.

Charlotte zarumieniła się, co jeszcze wzmogło podejrzliwość Jane.

- Ponieważ naszej matki nie ma pośród nas, pomyślałam, że do moich obowiązków należy udzielenie ci paru rad przed nocą poślubną - oświadczyła radośnie.

Choć Jane miała raczej niejasne pojęcie o rozmnażaniu się, bo widziała to jedynie u licznych zwierząt na farmach i wzgórzach, wiadomość, że ludzie rozmnażają się w podobny sposób, przyjęła z najgłębszym przerażeniem. Ucięła rozmowę, odwracając się w popłochu, ale Charlotte uparcie próbowała wzbogacić nagie fakty dość odrażającymi szczegółami. Jane ani myślała jej słuchać i z ulgą przyjęła stukanie do drzwi i płacz niemowlęcia, które wzywało matki.

- Chcę ci tylko powiedzieć, Jane, że z kimś, kogo kochasz, to jest cudowne, cudowne ponad wszelkie wyobrażenie - dodała na koniec Charlotte, odbierając jedno ze swoich bliźniąt z rąk pokojówki.

Potakując, żeby się jej pozbyć, Jane powróciła do pakowania. Przecież ja go nie kocham i nigdy nie będę kochać, pomyślała. Czując dziwny ucisk w gardle, sprawnie pakowała frywolne stroje, choć wiedziała, że ich nigdy nie włoży.

Ani też nie dopuści się bezceństw, o jakich jej siostra wspominała z takim spokojem. Charlotte z Wycliffe'em i z Raleighem mogli zmusić ją do przyjęcia jego nazwiska, jednak reszta była wyłącznie jej własnością.

ROZDZIAŁ DRUGI

Stojąc obok męża, Charlotte zęgnęła wzrokiem oddalający się powóz. Powóz należał do nich; Raleigh przybył wynajętym koczem, który wcześniej odprawił. Jej drogi ojczulek twierdził, że Wycliffe ma więcej koni niż cała wieś razem wzięta. Faktycznie, koni i powozów miał aż za wiele, a teraz Charlotte cieszyła się, że może siostrze zapewnić choć trochę wygody.

Od rana dręczył ją dziwny niepokój, kładła go jednak na karb troski o bliźnięta. Kiedy usłyszała wrzaski pokojówek, w panice rzuciła się na górę, by z ulgą skonstatować, że nikt nie umarł ani nie został ranny.

Ale został skompromitowany

Charlotte westchnęła. Choć nie widziała innego wyjścia, miała wiele wątpliwości co do trafności doboru tej pary. Raleigh był raczej frywolny, a Jane tak poważna. Nie widziała, żeby wicehrabia kiedykolwiek dłużej zagrzał miejsca na wsi, podczas gdy Jane, gardząca Londynem, rzadko kiedy wystawiała z niej nos.

- Myślisz, że dobrze zrobiliśmy? - spytała cicho męża.

- Nie mieliśmy wyboru - odparł Max. Jego słowa były dla Charlotte nikłą pociechą. Dobrze wiedziała, że można było wszystko rozwiązać inaczej, i gdyby Jane pozostała nieugięta, a Raleigh nie był porządnym człowiekiem, nie wywierałaby nacisków, by to małżeństwo zostało zawarte.

- Czy Raleigh był bardzo nieszczęśliwy? - spytała, przypomniawszy sobie ponury wyraz twarzy beztroskiego zwykle wicehrabiego.

- Wkrótce przekona się, że wygrał los na loterii - odparł Max, jednak uwagi Charlotte nie uszło, że jej mąż wykrecił się od odpowiedzi. - Jane to

urocza dziewczyna, dobrze wychowana, ze złotym sercem.

- Wiem - skinęła głową Charlotte - ale tak już przywykła do bycia Pospolitą Jane, że ani zauważyła, kiedy wyrosła na atrakcyjną młodą kobietę.

- Przy tobie nikną wszystkie - oznajmił z zachwytem Max, obejmując ją ramieniem.

Charlotte uśmiechnęła się lekko, ale nadal było jej ciężko na sercu.

- Tyle się mówiło o moim podobieństwie do mamy, że obawiam się, czy Jane potrafi docenić własny typ urody.

- Raleigh z pewnością nie ma tego rodzaju uprzedzeń i ubierze ją, jeśli podoła, w najmodniejsze suknie - orzekł Max.

Wicehrabia jest bez wątpienia modnisiem, przyznała w duchu Charlotte, choć miała wątpliwości, czy uda mu się skłonić Jane, by podzielała jego upodobania. Jane jednak nie będzie mogła obracać się w towarzystwie bez większej ilości lepszej garderoby.

- Chyba nie sądzisz, że Jane nie będzie chciała ubierać się stosownie?
- zaniepokoiła się.

- Nie - odparł cierpko Max. - Chcę po prostu powiedzieć, że Raleigh nie pachnie zbyt groszem.

Mimo letniego wietrzyku Charlotte poczuła chłód.

- Przecież zawsze miał ładne ubrania, konie, i ten jego dom... - Jej głos był coraz bardziej niepewny.

- Dom w Londynie należy do ojca, który, jeśli chodzi o finanse, zawsze trzymał Raleigha bardzo krótko. Oczywiście jest jeszcze gniazdo rodowe, które kiedyś będzie należeć do niego, ale nie mam pojęcia, jakie ta posiadłość przynosi dochody.

Charlotte nastroszyła się, niezadowolona z takiego obrotu rozmowy

- Co ty opowiadasz?

Max pochmurnie zapatrzył się w dal.

- O ile mi wiadomo, Raleigh nie ma ani grosza - stwierdził.

- Och, Max, jak mogłeś dopuścić do ich ślubu!? - wykrzyknęła

Charlotte.

- Wiele osób jest w podobnej sytuacji, Charlotte. Raleigh przecież nie jest bankrutem... jeszcze.

Charlotte bała się spojrzeć na męża, przestraszona powagą w jego głosie, a dziwny niepokój, który nękał ją przez cały dzień, zamienił się w prawdziwą panikę.

- Jeszcze? - spytała szeptem.

Max przyciągnął ją do siebie i Charlotte wiedziała, że czeka ją tylko zła nowina.

- Hrabia ma dosyć sztywne zasady, podobnie jak jego żona... - Max zawiesił głos. - Modlę się, żeby do tego nie doszło, ale jeśli rodzicom Raleigha Jane nie przypadnie do gustu, bardzo możliwe, że odbiorą mu pensję.

Nie bacząc na przechadzających się wokół dworu gości, Charlotte z ciężkim westchnieniem wsparła głowę na piersi męża. Choć sama wychowała się w domu pełnym miłości, dobrze znała kaprysy londyńskiej elity. Wiedziała, że roi się wśród niej od sępów, gotowych w każdej chwili rzucić się na kolejną ofiarę.

- Max, cośmy najlepszego zrobili? - jęknęła znowu, zdjeta paniką i skruchą.

Raleigh rozparł się na miękkich poduchach i z przymkniętymi oczyma rokoszował się względnym powrotem do zdrowia. Od kiedy zwymiotował,

czuł się lepiej. Charlotte wlała w niego jakąś obrzydliwą herbatę, która pomogła mu przebrnąć przez uroczystość, a teraz liczył na to, że drzemka w powozie całkowicie postawi go na nogi. Jednak z chwilą, gdy przestały mu doskwierać żołądek i głowa, świadomość własnej sytuacji dopadła go z taką wyrazistością, że senność całkiem go opuściła.

Tym razem klamka zapadła na dobre.

Niejednokrotnie bywał w tarapatach z powodu długów, żyłki do hazardu czy nawet przewróconego dyliżansu, z którym zderzył się w czasach hulaszczej młodości, ale wszystkie dawne nieszczęścia bladły w porównaniu z tym, co mu się przytrafiło dzisiaj. Jak mógł się tak wplątać? Jęknął z przerażenia.

Zbyt wiele flaszek musiał odkorkować. Ciekawe, że im dłużej pił, tym więcej musiał wypić, żeby zachować spokój. I coraz dłużej trwało wychodzenie z kaca. Głowa bolała go tego ranka tak wściekle, że gotów był przystać na wszystko, byle tylko Wycliffe przestał się na niego wydzierać. Ten Wycliffe, który nigdy nie podnosił głosu. Skacowany, z nie całkiem czystym sumieniem, Raleigh zgodził się na wszystko, ale teraz, kiedy wrócił do zdrowia, zobaczył to w zupełnie innym świetle.

Wezbrała w nim pretensja, uczucie raczej mu obce. Trudno mu było winić o swoje obecne położenie Wycliffe'a i Charlotte, których znał i lubił - o wiele łatwiej Jane, którą znał słabo i której nie lubił. Uniósł głowę i otaksował spojrzeniem znajdującą naprzeciw niego kobietę. Siedziała sztywno, jakby połknęła kij. Splótłszy dłonie na kolanach, zwróciła zaciętą twarz do okna w niezłomnym zamiarze unikania go nawet tutaj, w ciasnym wnętrzu powozu. Raleigh nie był zdziwiony. Przez cały dzień, podobnie jak podczas całej znajomości, nie raczyła obdarzyć go przyjaznym spojrzeniem.

Naturalnie widywał ją już wcześniej, odwiedzał bowiem Casterleigh

wielokrotnie od czasu ożenku Wycliffe'a. Liczne rodzeństwo Charlotte witało go entuzjastycznie, jednak Jane zawsze usuwała się na dalszy plan w obecności żywszych od niej siostr i braci. Niezbyt schludny odludek wiecznie kopał w ogrodzie lub trzymał nos w książce. Cicha, poważna okularnica należała do typu kobiet, który nudził go śmiertelnie. W dodatku irytowała go łajaniem młodszego rodzeństwa.

Dobry Boże, znał ją niemal od dziecka! Właściwie nie zauważył, kiedy dorosła, osiągając zaawansowany wiek ni mniej, ni więcej osiemnastu lat. Podniósł do oka monokl, by przyjrzeć się jej uważniej. Miała na głowie obrzydliwy, żałośnie niemodny czepek i spraną sukienkę z podrózną narzutką do kompletu. Cerę miała czystą, ale nieokreślonego koloru włosy były ściągnięte wokół twarzy tak gładko, że nasuwało się pytanie, czy skóra jej nie boli. Czyżby właśnie dlatego kąciki jej ust wiecznie opadały?

Raleigh powędrował wzrokiem w dół. Owszem, miała pewne krągłości, które jednak nieporównywalne były z ponętymi kształtami siostry. Szczegóły trudno było dojrzeć pod luźną narzutką. Zaabsorbowany ocenianiem cielesnych przymiotów swej oblubienicy, Raleigh nie zauważył nawet, że Jane poruszyła się, dopiero jej nagłe, głośne prychnięcie zwróciło jego uwagę. Na widok spojrzenia, które spoczęło na nim z najwyższą pogardą, monokl omal nie wypadł mu z palców.

- Proszę przestać gapić się na mnie. - Jej głos był cichy, o miłym brzmieniu, jednak tak nasączony jadem, że Raleigh nie mógł wymyślić żadnej riposty. Patrzył po prostu w osłupieniu, jak Jane prostuje się z godnością i odwraca do okna, jakby dawała mu kosza w jego własnym powozie. To znaczy, ściślej biorąc, nie był to jego powóz, niemniej jednak...

Nachmurzył się. W życiu nie spotkał równie nieprzyjemnej białogłowy. Spodziewał się, że będzie nudna i nieelegancka, ale nie sądził,

że aż tak drażniąca! Czyż nieeleganckie, nudne kobiety nie bywały zwykle łagodne i potulne? Tylko on miał takiego pecha, że los rzucił go w objęcia wrednej istoty, która zadawała kłam wszelkim obiegowym opiniom! W przyływie obcej mu wściekłości przeklinał w myślach pannę młodą, swoją sytuację, rodziców i wreszcie sam los.

Ów paroksyzm, aczkolwiek podziałał oczyszczająco, zupełnie nie leżał w naturze Raleigha, który na co dzień był najbardziej uroczym mężczyzną pod słońcem, uwielbiał przyjemności i zawsze był miłym, skłonnym do żartów towarzyszem. Jednak teraz jego otwarta, zdawałoby się bezproblemowa natura została poddana ciężkiej próbie. To, co uważał za fantastyczną rozrywkę dziesięć lat temu, dzisiaj, gdy zbliżał się do trzydziestki, tchnęło śmiertelną nudą. Nie kończące się londyńskie przyjęcia, wizyty w jaskiniach gry, bibki, wyścigi dwukółek, modne stroje, umizgi do dam - straciły dawny powab. Ale jakież inne życie mógłby prowadzić?

Jego najlepsi przyjaciele pożenili się i rzadko zajeżdżali do miasta, a Raleigh, chociaż bardzo lubił odwiedzać ich wiejskie posiadłości, w tej atmosferze życia rodzinnego czuł się intruzem. Nienawidził swojego gniazda rodzinnego, rządzonego przez wiecznie skwaszonych rodziców, gdzie rój rezydentek nieustannie wypominał mu brak potomka.

Tęsknił za własnym domem, choćby miał być nie większy niż Casterleigh. Może nawet wystarczyłaby mu jeszcze mniejsza, bardziej przytulna posiadłość, nie stać go było jednak nawet na taką. Miał tylko niewielką pensyjkę, która z trudem starczała mu do końca miesiąca.

Żałował, że przed laty nie usłuchał rady Wycliffe'a i nie zainwestował części pieniędzy. Hrabia nieustannie powiększał swój niemały majątek mądrymi posunięciami i nalegał, by jego przyjaciele postępowali jak on, ale

z pensji Raleigha nigdy nie zostawało ani grosza na inwestycje. Musiał opłacać krawca, zaciągnięte przy zielonym stoliku długi, utrzymanie koni.

Teraz, kiedy myślał trzeźwiej niż kiedykolwiek podczas minionych lat, wydawało mu się to ogromną stratą. Czy to ostatnie wydarzenia sprawiły, że spadły mu klapki z oczu, czy morze alkoholu przepłukało wreszcie jego mózg?

Tak czy owak, Raleigh żałował swojej rozrzutności, która trzymała go na pasku skąpego ojca, jednak spalił za sobą wszystkie mosty. Jego rodzice od lat nalegali, by wziął za żonę posażną pannę; podejrzewał, że wzywali go teraz, by zażądać ożenku z kolejną jędzą o szpiczastym podbródku. To, co było nie do przyjęcia jeszcze wczoraj, dziś wydawało się rozsądnym wyjściem z finansowych opałów.

Niestety ta droga była dla niego zamknięta na zawsze, gdyż zamiast zastrzyku gotówki wprowadzał do rodziny dziewczę bez grosza. W dodatku bez dobrego pochodzenia. Córka zwykłego pastora, Pospolita Jane, przyprawi jego rodziców o apopleksję! Czy całkiem go wydziedziczą? Jęknął na sarną myśl o tym.

Kolejne głośnie sapnięcie sprawiło, że otworzył jedno oko i posłał swej małżonce żalosne spojrzenie. Ona jednak, zamiast wyrazić współczucie lub spytać o powód jego trosk, przeszła go miazdzącym wzrokiem, który przypomniał mu cioteczną babkę Hephzibah. Raleigh zadrzał. Opuszczając powieki po raz kolejny, znów jęknął, nie bacząc na niechybną pogardę swej towarzyszki. Jedyłą pociechę sprawiał mu fakt, że skoro już sięgnął dna nieszczęść, nie może upaść niżej.

O ile oczywiście jego rodzice, rzuciwszy jedno spojrzenie na jego niedobraną połówę, nie wydziedziczą go całkiem.

Jane obudziła się nagle, zdumiona tym, że zasnęła w powozie, ale

czyż nie udowodniła aż nadto, że potrafi spać bez względu na okoliczności? Spojrzała chmurnie na Raleigha i z ulgą stwierdziła, że on również śpi. Było coś irytującego w spaniu naprzeciw drugiej osoby. Świadczyło o słabości, której nie miała zamiaru okazywać swojemu świeżo poślubionemu mężowi. Zeszłej nocy oboje spali wprawdzie obok siebie w wielkim łożu szafirowej komnaty, ale dziś... Jane zadrzała. Nie lubiła, gdy ludzie patrzyli na nią, osądzając i porównując, więc była wdzięczna losowi, że Raleigh nie był w stanie tego zrobić.

Choć sama nie cierpiała być obiektem cudzej obserwacji, nie mogła oprzeć się okazji, by przypatrzeć się mężowi. Spał rozwalony nonszalancko na siedzeniu. Beztroski nawet we śnie, pomyślała z potępieniem. Jedną rękę włożył pod głowę, długą nogę w wymyślnej pozie oparł o siedzenie.

Dandys. Choć Jane rzadko bywała w Londynie, już wcześniej widywała mężczyzn tego pokroju. Naturalnie nie miała na myśli wyrafinowanej elegancji Wycliffe'a. W jej oczach Raleigh, zawsze wymuskany, z monoklem w dłoni, należał do młodych dandysów, dla których moda była najwyższym bóstwem. Rękawiczki wicehrabiego były zawsze nieskazitelne, chustki do nosa śnieżnobiałe, jego buty zawsze lśniły. Onieśmiał Jane, utyłaną nierzadko w ziemi podczas pracy w ogrodzie. Pamiętała świetnie, że ta wieczna nieskazitelność Raleigha irytowała ją od dziecka.

Niewiele się zmienił w ciągu tych lat. Choć Jane nauczyła się ostrożniej okazywać miłość do kwiatów, zdarzało jej się zabrudzić ziemią przy okopywaniu grządek. A Raleigh nadal był irytująco czysty, włosy miał zawsze w doskonałym ładzie, ani jednej zbędnej fałdki w garderobie. Podczas gdy innym gościom Casterleigh zdarzało się cuchnąć stajnią, on niezmiennie pachniał świeżo - mydłem i wodą kolońska.

Leniwy, pomyślała z potępieniem Jane. Z jego częstych, przeciągających się wizyt wynikało, że nie miał żadnych prawdziwych obowiązków. Lepiej pracować w pocie i znoju niż być takim nierobem, stwierdziła.

Wyglądał, jakby życie żądało od niego najwyżej tego, by stał bez ruchu u krawca, a może i mniej, gdyż trudno było powiedzieć o jego strojach, że były szyte na właściwą miarę. Surdut w dyskretny wzorek wydawał się tak obcisły, że Jane zastanawiała się, jakim cudem mógł w nim w ogóle oddychać. Podobnie spodnie z jeleniej skóry, które przylegały jak druga skóra do jego muskularnych ud, by zniknąć w wyglansowanych wysokich butach.

Jane nagle zabrakło tchu. Przeniosła wzrok z powrotem na twarz wicehrabiego, obramowaną absurdalnie wysokim, sztywnym kołnierzem. Przez chwilę studiowała skomplikowany węzeł jego fularu. Był chyba jedynym luźnym elementem jego stroju, gdyż nawet pąsowy płaszcz wyglądał, jakby za chwilę miał trzasnąć w ramionach, których barczystość dopiero teraz sobie uświadomiła.

Zaczerpnęła pośpiesznie powietrza i spojrzała raz jeszcze na jego twarz, układną nawet we śnie. Naturalnie nie można go było przyłapać na niczym tak przyziemnym jak chrapanie czy ślina ciekąca z kącika warg. Rysy jego twarzy nie rozmazywały się we śnie; złotawa poświata zmierzchu łagodnie ją oświetlała, czyniąc jeszcze bardziej pociągającą.

Ale nie dla niej. Nigdy - ślubowała sobie. Prychnęła z obrzydzeniem i odwróciła się do okna. Jęknęła cicho, kiedy na horyzoncie pojawiło się ogromne domostwo. Zemdlilo ją. Mogło to być tylko rodowe gniazdo Raleigha, Westfield Park. Potężna fasada miała dwa piętra, cztery surowe, graniaste wieże znaczyły cztery narożniki budowli, a niezliczone okna, w

których odbijało się zachodzące słońce, tak oślepiały Jane, że musiała zamrużyć, by pohamować łzy.

Czyżby miała zostać kiedyś panią tego wielkiego, odpychającego gmaszyska? Musiała mimo woli jęknąć z rozpaczy, gdyż Raleigh poruszył się przez sen i poprawił się z wdziękiem. Unikając jego spojrzenia, odwróciła się do okna, próbując zebrać w sobie odwagę. Z powodu frywolności Raleigh zawsze wydawał jej się mniej szlachetnie urodzony niż Wycliffe, teraz jednak dotarło do niej, że po śmierci ojca otrzyma tytuł hrabiowski. A do tego majątek - większy, niż jej się kiedykolwiek zamarzył.

Zrobiło jej się słabo.

- Jak wyglądam? - To absurdalne pytanie kazało jej spojrzeć na Raleigha, który jedną ręką wygładzał swój pałowy płaszcz, a drugą przeczesywał starannie ułożoną fryzurę.

- Jak ktoś przeczulony na punkcie swojego wyglądu - wypaliła.

- Nieźle - pochwalił, posyłając jej łobuzerski uśmiech, który stopiłby serce kobiety słabszej niż ona. Już otworzyła usta, by posłać mu miazdzącą replikę, jednak powóz zatrzymał się. Przywarła bojaźliwie do siedzenia, gdy Raleigh, potrącając ją, zaczął wysiadać.

- Staraj się wyglądać równie pocziwie i bezpretensjonalnie jak w Casterleigh - rzekł, zeskakując na ziemię i podając jej rękę. - Zgadzasz się ze wszystkim, co mówią, uśmiechaj się i kiwaj głową, a może uda się nam stąd wydostać bez większego szwanku.

Jane zeszywniała. Zadarłszy dumnie podbródek, pozwoliła pomóc sobie wysiąść z powozu. Raleigh z udawaną troską wziął ją pod rękę i nagle jej strach zniknął, ustępując miejsca irytacji, spowodowanej zarówno jego nieuczciwym postępowaniem, jak i pouczeniami. Co miały znaczyć jego słowa? Czy obawiał się, że przyniesie mu wstyd? Choć nie wiodła, jak on,

bogatego, próżniaczego życia, była pewna, że ma lepsze maniery od niego. Jej ojciec był przyzwoitym, dobrym człowiekiem, który wychowywał dzieci tak, by poszły w jego ślady, więc Jane z dumnie uniesioną głową pozwoliła poprowadzić się Raleighowi po stopniach rezydencji

Drzwi były już otwarte. Stał w nich szczupły, siwy mężczyzna z wyrazem unížonej uprzejmości na twarzy.

- Dobry wieczór, Pridham - rzucił niedbale Raleigh.

- Witaj, milordzie.

- Czy zechcesz powiedzieć rodzicom o moim przybyciu?

- Niezwłocznie, milordzie. - Jane poczuła chłodne spojrzenie i ponownie zeszywniała. - Jak mam zaanonsować towarzyszkę milorda?

Raleigh odchrząknął.

- Jako moją... żonę.

Jedynie ledwie zauważalny ruch głowy lokaja zdradził jego dezaprobatę. Jane uniosła brwi, Pridham był jednak zbyt dobrze wytresowany, żeby podjąć zaczepkę. Skinął głową, po czym zamknął drzwi za młodą parą.

- Dobrze, milordzie. Poprowadzę państwa od razu do salonu. - Choć Jane była pewna, że Raleigh doskonale orientuje się we własnym domu, lokaj prowadził ich, a oni szli za nim w milczeniu.

Idąc przez mroczne pokoje zdobione rokokowymi stiukami i pełne wytwornych sprzętów, znów przeżywała nawrót niepokoju. Wchodząc do przestronnego salonu, w którym ściany zdobione były festonami i alegorycznymi scenami z motywami muzyki i sztuk pięknych, poczuła bolesny ucisk w piersi. Wielkie zwierciadła w rzeźbionych, połączonych ramach wisiały nad filigranowymi stoliczkami, ciemny, bogaty dywan pokrywał podłogę. Jane wstrzymała oddech. Kiedy zorientowała się, że w

pokoju nie ma nikogo, odetchnęła z ulgą.

- Powiadomię hrabiego i hrabinę o państwa przybyciu - oznajmił lokaj.

Jane odprowadziła go wzrokiem. Przyzwyczajona do miłej bezceremonialności plebanii, nie mogła wprost uwierzyć, że zostali przyprowadzeni tutaj, by czekać, jak goście, na rodziców Raleigha. Kim dla nich są? Chociaż nie знаła jeszcze odpowiedzi, poczuła cień współczucia dla męża, stłumiła go jednak. Nie sądziła, by kiedykolwiek chciał zamienić swoje życie w luksusie i oziębłości na serdeczność i ubóstwo jej rodzinnego domu.

Czekali długo w ciężkim milczeniu. Raleigh chodził niespokojnie po pokoju, Jane przysiadła na brzeżku krzesła pokrytego jedwabnym adamaszkiem, tak pięknym, że niemal obawiała się go pognieść. Parę razy już miała spytać Raleigha o rodziców i instrukcje, których jej wcześniej udzielał, jednak wstrzymywała się, przypominając sobie, że nie należy do dobrych manier rozmawiać o gospodarzach domu, który się odwiedza.

- Deverell! - przemówiła od progu lodowatym tonem siwowłosa matrona i Jane aż się skuliła.

Kobieta, choć nie nazbyt wysoka ani tęga, górowała nad nimi jak królowa nad poddanymi. Ubrana w suknię z czarnej, delikatnej satyny, ze sznurem pereł na szyi, na głowie miała turban przybrany pękiem czarnych strusich piór. Przypominała kruka, jednak jej ostry wzrok wbity w Jane, przywodził na myśl raczej sępa.

Jane przełknęła ślinę.

- Co to ma znaczyć? - spytała hrabina. Choć patrzyła na Jane, zwracała się do Raleigha. - Pridham przybiegł do nas, bredząc o jakiejś twojej żonie. Zapewniłam go, że to wierutny nonsens.

Jane nie bardzo mogła sobie wyobrazić, żeby sztywny lokaj mógł kiedykolwiek biegać, jednak zachowała tę uwagę dla siebie. Kto jak kto, ale ona nie zamierzała dyskutować ze stwierdzeniem hrabiny, że małżeństwo jej syna to nonsens.

- Tak, musisz przestać dworować sobie ze służby, Deverell - oświadczył mężczyzna, który pojawił się obok matki Raleigha. Hrabia, wyższy i tęższy od żony, działał na Jane niewiele mniej onieśmialająco. Pompatyczny, przemknęło jej przez myśl, gdy surowy wzrok mężczyzny spoczął na synu. - Zbyt się z nimi spoufalaleś. To niestosowne u kogoś z twoją pozycją. W złym świetle stawia naszą rodzinę.

Jane poczuła ucisk w gardle, gdy porównała te dwie wyniosłe postacie z ciepłem jej rodzinnego domu. Nawet matka Wycliffe'a, jakkolwiek frywolną, była przyjazna na swój sposób. Jednak ta para była wprost antypatyczna. Żadne z nich nie postąpiło kroku naprzód, by przywitać się z synem, tkwili na tle drzwi jak dwa portrety o mrocznych twarzach.

- Oczywiście, ojciec, nie będę więcej dworował sobie ze służby, ale Pridham ma rację. Chciałbym przedstawić moją żonę, do niedawna miss Trowbridge, obecnie wicehrabinę Raleigh. - Do tej chwili rodzice Raleigha wyraźnie uważali Jane za niegodną uwagi, teraz jednak ich głowy zwróciły się w jej stronę w teatralnej zgrozie, a ona skuliła się w sobie pod ich bezlitosnymi spojrzeniami.

- Więc jednak nie żartowałeś - stwierdziła hrabina, patrząc na Jane z lekceważeniem, jak na mijaną na drodze wieśniaczkę.

- Trowbridge? Jakoś sobie nie przypominam tego nazwiska - mruknął hrabia w osłupieniu.

- Chyba nie miałaś okazji, ojciec - odparł Raleigh. Ku zdumieniu Jane przeszedł przez pokój i stanął za jej krzesłem. Czowała ciepło jego dłoni, które

położył na oparciu za jej plecami. Nie wiedziała, czy przyszedł dodać jej otuchy czy powstrzymać, gdyby zlekceważyła jego rady. Prawdę mówiąc, miała już taką pokusę, bo jak uśmiechać się i potakiwać wobec tak jawnie okazywanej pogardy?

- Jest siostrą hrabiny Wycliffe - oświadczył Raleigh.

- Wycliffe? Słyszałem, że ożenił się z jakąś piękną, córką pastora - powiedział hrabia. Patrzył z niedowierzaniem na Jane, dając do zrozumienia, że nie wierzy, by mogła być spokrewniona z kimkolwiek, kto ma miłą powierzchowność. Jane zrozumiała jego spojrzenie i poczuła nienawiść. W jej piersiach zapłonął gniew, którego jej ojciec by nie pochwalił, gniew podsycany wspomnieniami wcześniejszych upokorzeń.

- Deverell, chyba nie mówisz serio?! - Hrabina przeniosła wzrok z syna na Jane, jakby chciała sprawdzić, czy nie śni. Coś w spojrzeniu Raleigha musiało ją przekonać, że tak nie jest, gdyż na jej twarzy w miejsce karcącego niedowierzania pojawił się zimny, bezlitosny grymas.

Ojciec ujął sprawę dosadniej.

- To się naturalnie da unieważnić - zapewnił żonę, a lodowate spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości co do stanu jego uczuć.

- Naturalnie - potwierdził spokojnie Raleigh.

Jane jego pogodny ton przyjęła z najwyższym oburzeniem, choć nigdy nie słyszała, by podniósł głos - może wymagało to zbyt wiele wysiłku? Czy ujmie się za nią, czy może skorzysta z okazji, by zakończyć ich katastrofalny związek? Ze świadomością, że może tylko pogorszyć sprawę, uniosła się nieco z krzesła.

Palce Raleigha zacisnęły się na jej ramionach. Przez jego rękawiczki i swoją suknię czuła bijący od nich żar. Nie pamiętała, żeby jej kiedykolwiek dotknął, nie licząc koszmarnej, pośpiesznej ceremonii ślubnej. Uczucie,

jakie wzbudził w niej gest wicehrabiego, wytrąciło ją na chwilę z rozważań, czy chciał jej dodać otuchy, czy tylko powstrzymać.

Oniemiała, zastygła jak sparaliżowana, słuchając dalszych słów Raleigha.

- Jest to oczywiście możliwe, ale mogą wystąpić pewne trudności - wycedził.

Jane zobaczyła pogłębiające się zmarszczki na czole hrabiny i zwężające się źrenice hrabiego, choć nie pojmowała, skąd ta reakcja na odpowiedź ich syna.

- Trochę za duży pośpiech, co? - zauważył hrabia kostycznie i potrząsnął głową. - A ja już miałem na oku odpowiednią dla ciebie partię.

- Z pewnością nie jakąś pospolitą Jane czy inną córkę pastora. Jak masz na imię, moja panno? - spytała hrabina.

- Jane - odparła, dumnie unosząc brodę. Zmusiła się, by spojrzeć wprost w chłodne, błękitne oczy starszej damy.

- Hmm... A do tego, jak widzę, nie brak ci śmiałości - stwierdziła hrabina, obserwując Jane z coraz większym zainteresowaniem - Cóż więc masz do powiedzenia na swój temat, panno bez wychowania, posagu i dobrego pochodzenia?

- Moje pochodzenie jest nie gorsze od twojego, pani - odpowiedziała dumnie Jane. - Matka wywodzi się z hrabiów Avundel. A moje wychowanie należy do najlepszych, gdyż ojciec jest sługą bożym i gdyby nie jego nauki, by być dobrym dla wszelkich stworzeń, powiedziałabym pani, co sądę o niej, jej synu i całej tej farsie z naszym ślubem.

W salonie zapadła martwa cisza, Jane miała dosyć czasu, by pożałować swojej gwałtownej reakcji. W rodzinie Trowbridge'ów ona i Sarah uchodziły zawsze za wzór układności i powściągliwości. Drogi

ojczulek z pewnością byłby zmartwiony i rozczarowany, gdyby dowiedział się o jej wybuchu. Co ją napadło? Odwróciła się na moment i zerknęła za siebie, łowiąc w przelocie spojrzenie Raleigha, który uśmiechał się do niej w bardzo dziwny sposób. Przełknąwszy ślinę, odważyła się popatrzeć na jego ojca.

- Ha, niezły temperament - mruknął hrabia pod nosem. - Przynajmniej umie się bronić. Co o tym sądzisz, moja droga? - zwrócił się do żony. Nagle wydał się Jane bardziej ludzki, choć trudno jej było wyobrazić sobie, że te dwie lodowate istoty łączą jakieś cieplejsze uczucia.

- Hmm... - skrzywiła się, hrabina. - Jak dla mnie zbyt buńczuczna, ale zapewne powinniśmy być kontenci, że się wreszcie ożenił. - Jeszcze mocniej wbiła przenikliwe spojrzenie w Jane - Jak słyszałam, twoja siostra zdążyła urodzić Wycliffe'owi dwóch synów i córkę.

- Chłopca i parę bliźnięt - poprawiła Jane, zdumiona takim obrotem rozmowy.

- Cóż, mam nadzieję, że okażesz się równie płodna, bo już najwyższy czas, by mój syn dał nam dziedzica - oświadczyła hrabina.

Jane zaszokowana taką bezceremonialnością, spuściła głowę.

- To należy do jego obowiązków rodzinnych - powiedział hrabia łagodniejszym tonem.

Kiedy Jane opanowała się i podniosła głowę, zobaczyła, że wpatrują się w nią, jakby szacowali jej możliwości rozrodcze. Oblana pąsem, już otwarła usta, by ich poinformować, że nie ma najmniejszego zamiaru wydawać na świat jakichkolwiek potomków, jednak Raleigh, domyślając się, co zaraz nastąpi, wtrącił się do rozmowy.

- Jestem pewien, że Jane okaże się wzorową żoną - powiedział pośpiesznie i Jane zastanawiała się, czy ktoś oprócz niej zauważył jego

cierpki ton.

- Hmm. - Hrabina, splótszy dłonie, podeszła do kozetki i opadła na nią majestatycznie. - Będziemy niecierpliwie wyczekiwać dziedzica, jednak teraz mamy drobny problem z wujem Corneliusem, problem, który wymaga natychmiastowego rozwiązania...

- Właśnie! - przytaknął hrabia. On również usiadł, jakby sprawa małżeństwa syna została już rozstrzygnięta. Jane potrząsnęła głową oszołomiona.

- Cornelius Holroyd? - spytał Raleigh, nie kryjąc zdumienia. - Sądziłem, że zerwał z całą rodziną!

- Ja również - oświadczyła jego matka i Jane poczuła natychmiastową sympatię wobec osoby, która wzbudzała niemal tyle samo dezaprobaty co ona. - Niewątpliwie na starość musiał zrobić się sentymentalny, bo zapisał ci coś w testamencie.

Jane z żalem przyjęła wiadomość o odejściu czarnej owcy w rodzinie. Nikt z obecnych raczej nie podzielał jej uczuć.

- Mnie? - spytał Raleigh, z wdziękiem siadając na krześle obok. - Ależ ja go nigdy nie widziałem na oczy.

Jego matka zmarszczyła czoło.

- Tak czy owak, w chwili gdy mój wuj zmarł, byłeś jego jedynym męskim krewnym. Musiał dowiedzieć się jakoś o twoim przyjsciu na świat i zdecydował się wyznaczyć cię na swojego spadkobiercę, dzięki czemu wszedłeś w posiadanie... aż boję się o tym myśleć - dodała z wyraźnym niesmakiem.

- Zostawił ci swoją posiadłość, Craven Hall - wyjaśnił hrabia.

Uwagi Jane nie uszło ani zdumienie Raleigha, ani niesmak jego matki; stary hrabia natomiast wydawał się tą sytuacją zirytowany.

- Pewnie jakaś ruina w rozsypce! - wykrzyknęła hrabina. - Ten człowiek żył jak pustelnik i nigdy niczego nie pozwolił wyrzucić. Z tego, co mi mówiła matka, Craven Hall jest obskurną rudera, w każdej chwili gotową zwalić się na głowę.

Kątem oka Jane dostrzegła rozczarowanie Raleigha, które natychmiast ukrył. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Ludziom ich pokroju jedna posiadłość więcej czy mniej nie robiła żadnej różnicy, jednak Raleigh zachowywał się, jakby było inaczej. Czyżby był aż tak zachłanny, czy może kryło się w tym coś innego? Kolejny raz zrozumiała, że załóżnie nie dorasta do swojej roli, że nigdy nie znajdzie własnego miejsca pośród światowych, zamożnych i utytułowanych członków socjety.

- Prawdopodobnie zostawił ci więcej długów niż czegokolwiek innego - oznajmił kwaśno hrabia, zakładając nogę na nogę.

- Jakie są wasze życzenia w tej sytuacji? - spytał Raleigh lekkim jak zwykle tonem, jednak Jane wyczuła w nim ukryte napięcie. Czyżby wicehrabia był bardziej skomplikowany, niż na to wyglądał, czy też irytowały go jedynie kłopoty związane ze śmiercią krewnego?

- Przejeżdż się do hrabstwa Northumberland i rzuć okiem na Craven Hall. Każ je rozebrać, sprzedać, cokolwiek, żeby spłacić długi Corneliusa - powiedział hrabia, jakby nawet w ten sposób chciał upokorzyć nieboszczyka.

- I pamiętaj, żebyś nie wydał na to ani pensa z pieniędzy twojego ojca - dodała hrabina.

Jane oburzył ich brak szacunku dla zmarłego.

- Czy urządziliście mu chociaż godziwy pochówek? - spytała. Oczy wszystkich obecnych w salonie spoczęły na niej w zdumieniu. Poczowała, że znów się rumieni. Tylko siłą woli nadal trzymała dumnie podniesiony

podbródek i nie spuszczała wzroku.

- A co z Jane? - spytał Raleigh, głośno wyrażając myśli swoich rodziców.

- Możesz ją zatrzymać - oświadczyła hrabina, majestatycznie podnosząc się z sofy. Zanim Jane, ogłuszona tą niewyobrażalną arogancją, zdążyła otworzyć usta, podjęła monarszym tonem: - Ponieważ raczyliście przybyć po kolacji, każę podać wam coś do pokoju. Co się stało z twoim kamerdynerem? - spytała po chwili z dezaprobatą. - Ale chyba wolę nie wiedzieć... - Skinęła upierścienioną dłonią. - Przyślę pokojówkę dla twojej... żony. - Rzuciła Jane przeciągłe, pełne niesmaku spojrzenie, po czym znów zwróciła się do syna: - Możesz jutro jechać.

To był wyraźny rozkaz. Jane nie musiała nawet patrzeć na Raleigha. Nie wiedziała jednak, czy fakt, że została zaakceptowana w tym domu, powinien wywołać w niej ulgę czy przerażenie. Być może poczułaby się pewniej, gdyby wolno jej było po opuszczeniu salonu zostać w towarzystwie samego Raleigha.

- Ta pannica ma charakterek - zwrócił się hrabia do żony, gdy szli do swoich apartamentów. - Może się przy niej usatkuje.

- Cóż - odparła hrabina z wyrazem niesmaku na twarzy. - Zawsze można się łudzić.

ROZDZIAŁ TRZECI

Raleigh ochoczo zagłębił sztucce w puddingu z cieleciny, szynki i jarzyn na zimno. Przez cały dzień nie miał w ustach nic poza obrzydliwą herbatą i czuł się dostatecznie wyleczony, by pozwolić sobie na suty posiłek, a miejsce, w którym się znajdował, sprzyjało delektowaniu się jedzeniem. Zamiast jeść w pełnej przeciągów jadalni w otoczeniu niemrawej służby i sztywnych współbiedniaków, siedział w przytulnym saloniku, którego drzwi prowadziły do jego pokoi.

Towarzyszyła mu tylko jedna osoba

Rzucił szybkie spojrzenie na swoją oblubienicę. Wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia, że dotrzymywała mu towarzystwa. Kiedy wniesiono kolację, sądził raczej, że ucieknie z talerzem do swojego pokoju.

Tymczasem usiadła z nim, prosta jakby kij połknęła - jak zawsze. Czy ta dziewczyna nigdy nie odpoczywa? Zauważyła, że ją obserwuje i posłała mu mordercze spojrzenie; poczuł się jak wyrostek przyłapany na podglądaniu dziewczek przez dziurkę od klucza. Do diaska, nie wolno mu nawet na nią spojrzeć? Ponownie zajął się posiłkiem. Właśnie wbił nóż w tłustą bolońską parówkę, gdy poczuł na sobie wzrok Jane. Oczywiście ona mogła go obserwować do woli, podczas gdy jemu podobny przywilej nie przysługiwał! Ignorując jej zainteresowanie, jadł kartofle, jednak, przełykając, dostrzegł szczególne potępienie we wzroku swojej towarzyszki.

- Czyżbym poplamiał sobie fular? - spytał, odchylając się do tyłu i rozkładając szeroko ręce. Jane zarumieniła się, co sprawiło mu pewną satysfakcję.

- Nie, po prostu jestem zaskoczona ilością jedła, jaką... pan pochłania
- odparła, sięgając po szklankę wody. Oczywiście odmówiła wina.

Najwyraźniej jej podniebienie było równie mdłe jak cała reszta.

- Lubię jeść - przyznał. Chętnie ulegał przyjemnościom: uwielbiał dobre jedzenie, dobre trunki, drogie ubrania, piękne konie i czarujące kobiety. Niekoniecznie akurat w tej kolejności. Teraz jednak uznał, że chwila nie jest stosowna do podobnych rozmyślań. - Jak znajdujesz moich rodziców? - spytał, szczerze zaciekawiony,

Nadal nie był pewien, czy czuje ulgę z powodu ostrożnej aprobaty, z jaką przyjęto jego żonę. Zastanawiał się, czy unieważnienie małżeństwa nie byłoby jednak najlepszym wyjściem, gdyż Jane nie wydawała się nim bardziej uszczęśliwiona niż on. Było to oczywiście nadal możliwe. Trudno było się nie domyślić, że odseparowanie nowożeńców od pozostałych krewnych przebywających w Westfield Park miało na celu pozostawienie kwestii ewentualnej przyszłości ich związku otwartą.

Czy jednak bez presji rodzicielskiego gniewu będzie potrafił powiedzieć o unieważnieniu małżeństwa Wycliffe'owi i Charlotte?

Rozwagał niespiesznie, czy nie powinien przedyskutować tej kwestii z Jane, nie wiedział jednak, jak to zrobić. Zresztą nawet gdyby udało mu się zasugerować takie rozwiązanie, nie obrażając jej, czy ona sama, w wieku osiemnastu lat, mogła wiedzieć, co będzie dla niej najlepsze w przyszłości? Wydawała się żałośnie nieświadoma życia i rządzących nim praw.

Już w następnej chwili jego podejrzenia okazały się słuszne. Jane spojrzała na niego chmurnie.

- Pańscy rodzice wydali mi się niezmiernie arogancy - oświadczyła otwarcie, unosząc podbródek, jakby oczekiwała sprzeciwu.

Tymczasem Raleigh wybuchnął śmiechem, ubawiony jej trafną oceną.

Nie da się ukryć, Jane nie bawiła się w dyplomację.

- Tak, są niezmiernie arogancy. A do tego sztywni i ograniczeni - dodał i odchylił się do tyłu, patrząc na Jane, jakby widział ją pierwszy raz. - Na Boga, czyżbym ożenił się z własną matką? - zażartował.

Z satysfakcją obserwował jej reakcję na swoje słowa. W jej rysach odbiło się zaskoczenie, które natychmiast zastąpił niesmak, a potem zuchwałość.

- Trudno posądzać mnie o posiadanie przymiotów hrabiny! - zaprotestowała, oblewając się pąsem.

Dobry Boże, wyglądała teraz prawie jak człowiek z krwi i kości, zarumieniona, z oczami miotającymi błyskawice. Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Chyba przyznasz mi rację co do moich rodziców? - spytał łagodnie. Zrozumiał, że przejrzała go, bo rumieniec znowu zaróżowił jej twarz, a wargi rozchyliły się w odpowiedzi, ale zaraz zacisnęły się w wąską linię.

- Nie mam zamiaru spierać się z tobą... - stwierdziła świętoszkowatym tonem, który na pewno spodobałby się jego matce.

Raleigh potrząsnął głową. Kiedy wreszcie trafił na jakiś zabawny punkt, potrafiła mu się wymknąć. Diabelnie perwersyjne z jej strony. Bezradnie wzruszył ramionami i ponownie zajął się kolacją. Minuty mijały w milczeniu. Jane jadła tyle co ptaszek i odmawiała kolejnych potraw. Raleigh zachodził w głowę, co w nią wstąpiło.

- ...milordzie - zakończyła, a Raleigh tak był zdumiony tą formułą, że omal nie oblał się winem.

Chryste, czy ta mała czuje się zobowiązana do podobnych formalności nawet po ślubie? Poczul się nieswojo, gdyż nigdy nie przywiązywał, ku dezaprobachie rodziców, zbytnej wagi do swoich tytułów.

- Mów mi Raleigh, to znaczy... Deverell - mruknął. Jeszcze nie skończył mówić, a już pożałował swoich słów. Nikt poza rodziną nie zwracał się tak do niego, więc nie reagował na to imię ze zwykłą nonszalancją. Czekał, co Jane powie, ale ona w milczeniu wpatrywała się w półmisek z deserem.

- Poczęstuj się - powiedział i sięgnął po gruby kawał owocowej tarty, posypanej z wierzchu cukrem pudrem.

- Nie, dziękuję, już nie mogę - odparła, odwracając się, jakby zobaczyła węża, który wpełzł do jej ogrodu, proponując jabłko.

Raleigh potrząsnął głową zdziwiony. Prawie nic nie jadła, nie piła wina, a teraz nie chciała deseru. Co ta dziewczyna ma z życia? On sam nie zamierzał się tak katować. Ułamał kawał ciasta i włożył do ust.

- Pycha... - Zademonstrował swoją przyjemność, nie odmawiając sobie na koniec oblizania warg. Jednak to, co zaczęło się jako nieszkodliwa prowokacja, zmieniło się w coś niepokojącego, bo nagle dostrzegł jej wzrok, śledzący uporczywie ruchy jego języka. Przeszył go nieoczekiwany dreszcz podniecenia. Zdumiony spojrzał jej w oczy, ona jednak odwróciła twarz z niesmakiem i Raleigh zastanawiał się, czy cały ten epizod nie był wytworem jego wyobraźni. Przełknął ciasto, włożył do ust drugi kawałek i zaczął go żuć głośno.

- To dopiero! - powiedziała surowo, posyłając mu jędzowate spojrzenie, które wywołało w nim ten sam ekstatyczny triumf, jaki odczuwał, kiedy jako mały chłopiec straszył ciotkę Hephzibah okazami drobnej fauny i dręczył ją złym zachowaniem przy stole. Uśmiechnął się.

- Milordzie... Raleigh. Spadek. Trapi cię to - stwierdziła Jane i Raleigh poczuł, jak ostatni kawałek ciasta legł mu kamieniem w żołądku. Niech diabli wezmą tę małą, wreszcie dopięła swego - zepsuła mu wieczór!

Ledwie poczuł się lepiej - najedzony, rozluźnił się, mając już za sobą rozmowę z rodzicami - musiała mu przypomnieć o jego skromnych zasobach majątkowych!

Z westchnieniem podniósł się z krzesła i z kieliszkiem wina przeniósł się na otomanę. Rozparłszy się niedbale na poduchach, odchylił głowę do tyłu. Uznał, że nadszedł czas prawdy.

- Obawiam się, droga żono, że nie zrobiłaś dobrej partii... - zaczął dramatycznym tonem starego hrabiego.

- Co masz na myśli? - spytała ostro. Raleigh przymknął oczy. Zwlekał z odpowiedzią i próbował wyobrazić sobie Jane mówiącą łagodnym głosem. Z pewnością musiała bywać miłsza dla swojego młodszego rodzeństwa, do niego jednak zwracała się jedynie przykrym tonem. Wyglądało na to, że potrafi wyrażać tylko dwa uczucia: irytację i niesmak. Trudno mu było wyobrazić ją sobie radośnie podnieconą, zachwyconą czy w ekstazie. Na samą myśl o tym zdławił chichot, by nie narazić się na kolejną reprimendę.

- Mam na myśli, że póki hrabia nie odejdzie w zaświaty, jestem goły - wyjaśnił. - Rokowania nie są pomyślne, gdyż mężczyźni w naszej rodzinie są raczej długowieczni - nie licz więc na to, że szybko owdowiejesz - a choć nie cierpię tego starego durnia, to nie aż tak bardzo, by życzyć mu śmierci.

Otworzył jedno oko. Jane była wyraźnie zaszokowana, ale nie wiedział, czy jego słowami, czy też ich sytuacją majątkową. Wyprostowała się jeszcze bardziej.

- Nie potrzebuję bogactw. Zawsze żyłam skromnie - oświadczyła świętoszkowatym tonem. Raleigh przyjął jednak jej szlachetne wyznanie jako krytykę swojej rozrzutności.

- Niestety nie wszyscy są takim wzorem doskonałości jak ty - powiedział z przekąsem.

Natychmiast tego pożałował. Otworzył drugie oko i uniósł głowę. Jane siedziała przed nim na krześle z wysokim oparciem, sztywna i niewzruszona. Nie zdjęła nawet dotąd tego swojego znoszonego czepka i z trudem powstrzymał chętkę, by go jej zedrzeć z głowy. Gdyby była inną kobietą, odsłoniłby te jej ulizane włosy. Może gdyby je trochę zburzył, jej twarz nabrałaby łagodniejszego wyrazu. Może całe jej ciało by się rozluźniło.

Próżne nadzieje! Na pewno sypiała, siedząc na baczność z otwartymi oczami. Kąciki jego ust zadrgały, ale zaraz przypomniał sobie, jak spała przy nim pod kołdrami, zwinięta w kłębek. Uśmiech na jego twarzy zgasł i nagle zabrakło mu tchu. Jego myśli powędrowały podstępnie od wspólnego łóżka, które nieświadomie dzielili, do przygotowań do dzisiejszej nocy. Czy tego chciał, czy nie, ta dziwaczna, nudna istota była jego żoną i właśnie nadeszła noc poślubna. Łyknął więcej wina.

Lubił kobiety i, w przeciwieństwie do niektórych mężczyzn, nigdy nie miał upodobania do jakiegoś określonego typu, raczej czerpał przyjemność z nieskończonej różnorodności i wielości form, jakie przybierała kobiecość. W istocie od kobiet, które brał do łóżka, wymagał tylko jednego: poczucia humoru. Niestety Jane chyba przyszła na świat pozbawiona tej cechy, nie miała też w sobie ciepła, którym mogłaby skompensować tę swoją ułomność.

Obrzuciwszy ją ukradkiem wzrokiem, Raleigh stwierdził, że wcale nie jest nieatrakcyjną ale jej psychika była mu tak obcą iż nie sądził, by udało mu się znaleźć z nią wspólny język. Mimo wysiłków nie mógł sobie też wyobrazić, by jego radosne, wprawne pieszczoty, które słusznie zapewniły mu opinię doskonałego kochanka, mogły zamienić ją w namiętą partnerkę. A myśl o dotykaniu kobiety obojętnej czy nawet może pogardzającej nim

wydała mu się odpychająca. Przed oczami pojawił mu się obraz Jane, która zaciska powieki i prosi, by zrobił to jak najszybciej.

Zadrzał ze wstrętu na myśl o takim obrocie rzeczy i z trudem pohamował impuls, by wziąć nogi za pas. Miał wystarczająco wiele innych kłopotów, żeby jeszcze się martwić, jak sprawdzi się w takich okolicznościach. Nie dość, że był prawie bez grosza, to jeszcze spadły na niego długi po życiowym rozbitku, który się mienił jego krewniakiem.

Z westchnieniem przyznał, że tylko jemu mogło się zdarzyć, iż odziedziczył mniej niż nic. Wspomnił lata, w czasie których wygrywał całkiem pokaźne sumy przy zielonym stoliku, i stwierdził, że szczęście odwróciło się od niego, a stało się to tego poranka, gdy obudził się w szafirowej komnacie w Casterleigh.

Jego smutne rozmyślenia wróciły do punktu wyjścia. Podniósł się gwałtownie.

- Musisz być zmęczona - powiedział szorstko, gdy Jane spojrzała na niego z lekką paniką. - Zostawiam cię, byś mogła wypocząć. - Choć niemal słyszał Wycliffe'a, wymyślającego mu od tchórzy, nie odważył się spojrzeć żonie w oczy. Nie miał żadnych heroiczych ambicji i wolał raczej zaniechać małżeńskich obowiązków, niż spędzić następną parę godzin, próbując zagonić piszczącą dziewicę do swego łóżka.

Jeszcze raz skinąwszy stanowczo głową, odwrócił się energicznie i wyszedł z pokoju.

Westchnął z ulgą i wyciągnął przed siebie nogi. Wielogodzinna jazda powozem dała mu się we znaki, choć był to dobrze resorowany wehikuł, użyczony mu przez ojca na wyjazd do Northumberland. Upewniwszy się, że żona jest pogrążona we śnie, uniósł obute nogi i oparł je na siedzeniu obok.

Nieźle by mu się oberwało za taki brak manier, gdyby Jane nie spała.

Dziwna istota. Choć była córką zwykłego pastora, zachowywała się czasem równie sztywno i wyniośle jak jego matka. Raleigh był prawie pewien, że wolałaby podróżować ze służącą, jadącą za nimi w mniejszym powozie, niż z nim, jednak obecność hrabiostwa przy wyjeździe stłumiła jej protesty.

Ostatnie godziny upłynęły im głównie na milczeniu. Jane wyciągała szyję, wyglądając przez okno, a Raleigh starannie unikał patrzenia na nią. Miał ze sobą książkę, ostatnią powieść hrabiny Ravenscar, którą ponoć napisała z pomocą swego męża, Sebastiana, jednak nawet proza Prudence nie potrafiła przykuć jego uwagi, gdyż pobrzękiwanie łańcuchów i zawodzenie duchów napawało go mniejszym lękiem niż jego własna sytuacja.

Tak więc książka leżała wzgardzona na siedzeniu, a całą jego uwagę pochłaniała żona. Teraz, kiedy była uśpioną, miał szansę obejrzeć ją wreszcie dokładnie, choć odczuwał lekkie wyrzuty sumienia, że sobie na to pozwala. Jane zdecydowanie wyglądała na niedotykałską, a do tego również nieoglądałską. Jak to możliwe, że była siostrą Charlotte, tak pogodnej i czarującej istoty? Nawet najstarsza z rodzeństwa, dość opryskliwa Sarah, po oswojeniu stawała się bardziej przychylna. Jane zawsze utrzymywała dystans, jakby nikogo nie aprobowała - a zwłaszcza jego.

Ruszyła lawina wspomnień związanych z wizytami w Casterleigh, obrazów smukłego dziecka, milczącego i poważnego, które zawsze słało mu buntownicze spojrzenia.

Odchrząknął, gdy przypomniał sobie, jak w holu rezydencji Wycliffe'a przerwał zdejmowanie rękawiczek na widok pary oczu wlepionych w niego z najwyższą wrogością. Zdumienie na chwilę odebrało

mu mowę, a kiedy oprzytomniał, Jane zniknęła już, szeleszcząc spraną spódniczką.

W żaden sposób nie potrafił dociec, czym zasłużył sobie na jej niechęć. Był zdumiony, że jest na świecie ktoś - poza rodziną - kogo nie cieszy jego widok. Uchodził za wiernego przyjaciela, dobrego towarzysza zabaw i, generalnie rzecz biorąc, przyzwoitego człowieka. W gruncie rzeczy nie miał wrogów. A tu nagle jakaś Chuderlawa pannica nie kryje swej niechęci!

Kiedy Jane dorosła, nie wyczuwał już w niej otwartej wrogości, choć jej potępienie było dostatecznie wyraźne. Cóż, nie było to dokładnie to, czego człowiek szuka w żonie, stwierdził. Nigdy nie patrzył na siebie krytycznie i nie mógł pojąć, co upoważnia córkę zwykłego pastora do takiej arogancji i pogardy.

Nie przedstawia sobą zbyt ponętnego widoku, pomyślał, obserwując ją pogrążoną we śnie. Spała z policzkiem na dłoni, w dziwnie rozbrajającej pozie. Ha! Raleigh znów stłumił chichot. Wyniosła smarkula, nieczuła jak głąz i mniej więcej tak samo zabawna.

Binokle zsunęły jej się z nosa, odsłaniając nad podziw gęste rzęsy. Raleigh uprzytomnił sobie, że nie ma pojęcia, jakiego koloru są jej oczy, ale z pewnością nie mogły być jasnozielone jak oczy Charlotte, gdyż od razu by to zauważył. Charlotte bez wątpienia była boginią, Jane natomiast przypominała raczej mityczne, na wpół kobiece stwory, które tak upodobał sobie Wycliffe.

Nie da się ukryć, że bardzo przypominała ojca, ale jakkolwiek Raleigh szanował tego dobrotliwego, inteligentnego człowieka, nigdy nie pragnął się z nim żenić. Przynajmniej nie wyłysieje, pomyślał zgnębiony. Nagle przyszła mu do głowy przerażająca myśl. A jeśli jednak łysiała? W końcu

zakrywała włosy tak gorliwie, jakby odsłonięcie ich było grzechem. Jednak nie, w dniu ich ślubu mignął mu przecież gruby, ciężki warkocz na jej smukłych plecach.

Odetchnął z ulgą. Jane z pewnością nie była łysa, choć rzadko pozwalała oglądać swoje włosy. Powoli przysunął się do niej. Z zadowoleniem odkrył, że jeden kosmyk wymknął się z aresztu i opadł na policzek śpiącej. Miał głęboki, połyskliwy odcień ciemnego złota.

Raleigh cofnął się zaskoczony. Choć Jane nie miała kręconych, platynowych włosów swojej siostry, nie była wcale taka mdła, jak przypuszczał.

Nachylił się ponownie do przodu, zastanawiając się, czy nie pomylił się również w kwestii jej budowy. Jego matka, wstrząśnięta mizerną garderobą synowej, wcisnęła ją w przerobiony naprędce kostium jego siostry. Musiał przyznać, że różnica była zdumiewająca. Być może materiał koloru morwy nadał włosom Jane życia. Cóż za korzystna odmiana po ponurych szarościach i brązach, które zawsze nosiła. Zmieniła się nie do poznania.

Nie chciała się zgodzić na przyjęcie nowych ubrań, ponieważ jednak jego matka kazała już służącej zabrać dawną garderobę, Jane musiała się - niechętnie - poddać. Raleigh uśmiechnął się pod nosem. Niekiedy podziwiał metody hrabiny - zwłaszcza gdy nie on sam był ich ofiarą.

Jane westchnęła cicho i Raleigh, nieoczekiwanie dla samego siebie, zaczął wpatrywać się w jej usta. Leciutko rozchylone wargi po raz pierwszy nie krzywiły się z dezaprobatą, nabrały życia i zaróżowiły się ponętnie.

Odchrząknął, a potem poddał oględzinom niższe partie ciała swojej żony. Szyję omotała szalem, jednak we śnie zsunął się nieco i Raleigh mógł podziwiać matową biel jej dekoltu. Odetchnął głębiej. Widok niewielkiego

skrawka ciała Jane podniecił go może dlatego, że na co dzień zakrywała je tak szczelnie.

Popatrzył na jej pierś, przysłoniętą we śnie ręką. Jego oddech przyspieszył, policzki zaczerwieniły się jak u uczniaka - Jane zabiłaby go, gdyby odkryła, jak uważnie ją ogląda. Była jego żoną, nie miał jednak wątpliwości, że jego oględziny uznałaby za pogwałcenie swojej prywatności.

Urok zakazanego owocu podniecił go tak bardzo, że musiał w końcu, oddychając ciężko, odsunąć się jak najdalej od Jane. Niestety pech nadal go prześladował, gdyż w tej samej chwili jedno z kół powozu wpadło w jakąś dziurę i wicehrabia wyleciał z siedzenia, lądując na kolanach żony.

Wyrwana nagle ze snu, mruknęła coś gniewnie. Raleigh ze zboląłą miną opadł z powrotem na swoje miejsce.

- Przeklęte drogi! - wykrzyknął z oburzeniem. - Człowiek nie może nawet spokojnie wypocząć podczas jazdy!

Zaspana Jane posłała mu podejrzliwe spojrzenie. Raleigh z trudem powstrzymał uśmiech. Niewinnie odchylił głowę na oparcie i przymknął oczy, jednak jego myśli wcale nie były tak niewinne, gdyż lądując niechcący w objęciach swojej żony, dokonał pewnego odkrycia.

Była o wiele bardziej miękka, niż przypuszczał.

Jane ledwie dobrnęła do pokoju w zajeździe. Nie pamiętała, by kiedykolwiek była tak bardzo zmęczona. Chociaż wszędzie było czysto i schludnie, a wokół rozchodził się zapach dobrej stawy, z trudem znalazła w sobie siłę, by prosto usiąść na krześle przy podniszczonym dębowym stoliku.

Z ciężkim sercem pomyślała, że jej rodzeństwo z pewnością byłoby zachwycone tą podróżą. Chłopcy, Charlotte, Carrie i Kit mieli w sobie żyłkę

przygody. Tylko ona i Sarah lgnęły do ogniska domowego i lubiły, jak ich ojciec, krzątać się po domu.

Tymczasem Jane spędziła dwa dni, telepiąc się w powozie, a czekały ją jeszcze kolejne dni podróży. Była zgrzana, znudzona i bardzo rozżalona. Tęskniła za domem i własnym ogródkiem tak bardzo, że chwilami zbierało jej się na płacz. Próbowwała ucieczki w sen, ale śniła dziwne, niespokojne sny, a od chwili gdy nagle ocknęła się z mężem na kolanach, nie była w stanie zmrużyć oka. Raleigh zawsze był nieobliczalny i teraz również podejrzewała go o jakiś żart, jednak drogi rzeczywiście były w oplakanym stanie i chwilami sama z trudem utrzymywała się na siedzeniu. Modliła się, żeby być przytomną, kiedy... nie! Na samą myśl o tym oblała się rumieńcem. Z pewnością nie pragnęła żadnych zbliżeń z mężem, a on najwyraźniej odwzajemniał jej niechęć, ponieważ zeszłej nocy nie przyszedł do niej.

Jane czekała na niego, trochę zła i trochę przerażona tym, że będzie jej dotykał i robił z nią wszystkie te rzeczy, o których mówiła Charlotte. Wreszcie nad ranem zasnęła samotna w wielkim łóżu w Westfield Park. Wzdrygnęła się na wspomnienie tej nocy. Po co w ogóle czekała? Czyż nie wiedziała od dawna, że nie powinna sobie robić żadnych nadziei?

Była zbyt pospolita i prowincjonalna, by komukolwiek się spodobać - nawet takiemu ladaco jak wicehrabia Raleigh. Ogarnęła ją rozpacz. Choć wmawiała sobie, że wszystko zniesie, czuła, że jest na granicy załamania. Raleigh nic dla niej nie znaczył, w grancie rzeczy powinna się cieszyć z jego lekceważenia, gdyż był tylko dandysem nie stroniącym od wina.

Drgnęła na dźwięk jego głosu. Jej wzrok padł na wygasły kominek w kącie pokoju.

- Zamówiłem pieczoną gąskę, ozór i pudding wołowy - oświadczył

Raleigh radośnie, jakby całodzienna jazda w ciasnym powozie była jego ulubionym zajęciem. Bardzo możliwe, pomyślała Jane, przecież nie wymagało to z jego strony żadnego wysiłku, a on uwielbia nieróbstwo!

- A dla mnie będzie coś do jedzenia? - spytała łamiącym się głosem.

- A to co znowu? Naszej panienki trzymają się żarty? Własnym uszom nie wierzę! - uradował się, jak mały chłopiec na widok cukierka. - Rokujesz pewne nadzieje, kochanie. - Jednak te ciepłe słowa zawisły w nieznośnej ciszy. Jane, czując na sobie wzrok Raleigha, zerwała się z miejsca.

- Przestań się na mnie gapić! - burknęła i podeszła do okna.

- Jak sobie życzysz - mruknął.

Czyżby w jego głosie usłyszała urazę? Niemożliwe. Był przecież lekkoduchem, który kroczył beztróska przez życie tanecznym krokiem, niczym się nie przejmując. Niemożliwe, by jej słowa mogły mu zrobić przykrość.

- Wybacz, ale potrzebuję trochę świeżego powietrza - powiedział po chwili.

Miała ochotę zawołać go i przeprosić. Ale po co? Po to, by znów wpatrywał się w nią krytycznie i pogardliwie?

Mimo wszystko poszłaby chyba za nim, gdyby nie przybycie pokojówki, którą wmusiła jej hrabina. Choć pochodząca z Francji Madeleine po latach praktyki w Westfield Park była nienaganną pokojówką, Jane nie czuła się przy niej dobrze. Nie przywykła do tak perfekcyjnej obsługi, nawet w Casterleigh, poza tym miała wrażenie, że Madeleine nie jest zachwycona faktem, iż musi opuścić wielkopańskie domostwo.

Teraz, w ciszy, miała dość czasu, by pożałować swojego wcześniejszego wybuchu. Potraktowała Raleigha tak ostro z powodu własnych lęków i melancholii, a przecież zachował się wobec niej bardziej

niż przyzwoicie, proponując jej małżeństwo. Powinna mu odpowiedzieć tym samym.

Obiecawszy sobie, że będzie się odtąd odnosić się do niego tak, jak by sobie życzył jej ojciec, cierpliwie czekała na powrót męża, jednak podano kolację, a wicehrabia się nie pojawił. Służąca, wysłana, by go odszukać, wróciła z niczym i oznajmiła chłodno, że Jane ma siadać do stołu, nie czekając na męża. Tak też zrobiła, czując się dziwnie osamotniona. Z pewnością hulał w izbie biesiadnej zajazdu, myślała z pogardą, ale nie mogła pozbyć się uczucia, że miał dosyć jej ostrego języka.

Na plebanii, otoczona licznym rodzeństwem, tęskniła niekiedy za ciszą i spokojem, szukając ukojenia w pracach ogrodowych. Teraz jednak, samotna w obcym miejscu, w obliczu niewiadomej przyszłości, nie cieszyła się wcale owym spokojem.

Nie uradowało jej też, że będzie dzielić pokój z wyniosłą Madeleine, choć jednocześnie uspokajała ją świadomość, że nie grożą jej te dziwne rzeczy, jakie wiązały się z nocą poślubną. Mimo wszystko wołała pogodę i bez troskę Raleigha od pogardliwej wyższości pokojówki.

Jakież to ma znaczenie, przekonywała samą siebie, układając się w wielkim łożu. Po niespokojnej nocy w Westfield Park z pewnością zapadnie w kamienny sen. Przez otwarte oko dobiegały hałasy z dziedzińca i mimo zmęczenia Jane leżała sztywna jak kłoda, z otwartymi oczyma.

Znów poczuła dojmującą tęsknotę za domem. Brakowało jej swojskiego dźwięku głosów przekomarzających się braci, szczebiotu Carrie i ciepłego ciała Jenny, przychodzącej się przytulić, gdy przyśniło jej się coś straszego.

Zaciskając powieki, żeby powstrzymać łzy, powtarzała sobie, że nie jest samotna, ale równy oddech pokojówki, dochodzący z pryczy w rogu

sypialni, przeszkadzał jej zasnąć i nie dawał żadnej pociechy. Im dłużej leżała bezsennie, tym bardziej tęskniła za jedyną znajomą twarzą w zmiennym kalejdoskopie ostatnich wydarzeń.

Była to twarz o nieskazitelnym rysach, błękitnych oczach, ocienionych gęstymi rzęsami, spomiędzy których błyskały wesołe chochliki, jakby ich właściciel naśmiewał się ze wszystkiego, nie wyłączając własnej osoby. Jednak jego rozbrajający uśmiech był wolny od złośliwości. Prawdę mówiąc, Jane trudno było wyobrazić go sobie w gniewie. Jednak unikał jej tego wieczoru, czuła to wyraźnie. Czy był zirytowany ich wymuszonym małżeństwem, czy zły z powodu jej cierpkich uwag? A może tak już miało być zawsze? Czy będzie jej unikał? Charlotte wiele razy wspominała o związkach, w których małżonkowie żyli osobno.

Na czoło Jane wystąpił zimny pot, kiedy uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jakie Raleigh ma wobec niej plany. Gdy dowiedziała się, że wicehrabia jedzie do Northumberland, uznała za rzecz oczywistą, że będzie mu towarzyszyć. Co by jednak było, gdyby zostawił ją w Londynie, samotną i bez przyjaciół, lub, co gorsza, odesłał do Westfield Park? Na myśl o tym, że miałyby mieszkać z jego rodzicami, znów oblała się zimnym potem.

Teraz żałowała, że podczas długich godzin spędzonych w powozie nie porozmawiała z nim o tym, zamiast zżymać się na jego obecność. Czyjej się to podobało, czy nie, małżeństwo wiązało ją z nim na dobre i złe. Na myśl o tym zadrżała. Powinna była sprzeciwić się Charlotte i odmówić reszcie rodziny, zamiast wiązać się z tym człowiekiem! Teraz, w ciemnościach zajazdu, z dala od domu, zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, czemu ustąpiła.

Było już jednak za późno na wszelkie żale. Przestała powstrzymywać łzy, gdy w pełni dotarła do niej powaga sytuacji. Poczwała w piersi ucisk. Co

też zrobiła najlepszego? Co przyniesie przyszłość poza samotnością?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Raleigh zszedł do powozu. Gdzieś ulotnił się cały jego beztroski wdzięk. Choć wziął jednego ze służących rodziców, ubrał się sam. Poprzysiągł sobie kiedyś, że nigdy nie upije się tak, by nie móc sobie poradzić bez kamerdynera.

Nie zapominał o swoich ślubach wczorajszej nocy, kiedy właściciele oberży namawiali go do wypitki - bał się popaść w kolejne tarapaty, kto wie czy nie gorsze od dotychczasowych. Kiedy po osuszeniu pierwszej butelki zorientował się, że jego myśli coraz częściej wędrują do dziewiczej małżonki, której sztywność, jak się przekonał, nie dotyczyła krągłych kształtów, zdecydowanie udał się do łóżka - sam.

Obudził się więc zadowolony z siebie, ze swojego zdrowego rozsądku i z dobrego samopoczucia - udało mu się uniknąć bólu głowy, który nękał go często po przepitej nocy. Niestety fular nie chciał posłusznie ułożyć się na szyi, a płaszcz domagał się żelazka, co psuło nastrój Raleigha. Nie cierpiał pokazywać się w zaniedbanym stroju, nawet jeśli czekał go jedynie kolejny dzień podróży z żoną.

Zwolnił kroku, żałując przez chwilę, że nie wynajął konia, którym mógłby jechać obok powozu. Choć zazwyczaj chętnie odpoczywał w jego wygodnym wnętrzu, teraz czuł neodpartą potrzebę wytchnienia od jędzowatej żony. Mimo że jej kształty były łagodniejsze, niż się spodziewał,

język okazał się nad wyraz ostry. Zaklął pod nosem, widząc, jak stangret pomaga jej wsiąść do głównego powozu. Wszelkie nadzieje, że Jane zdecyduje się jechać z pokojówką, spełzły na niczym. Zmusił się, by dotrzymać jej towarzystwa.

- Dzień dobry - powiedział najradośniej, jak potrafił. - Czy smakowało ci śniadanie? - Kazał posłać jej tacę do sypialni, żeby samemu zjeść spokojnie we wspólnej izbie. Miał nadzieję, że potraktowała jego gest jako przejaw troski.

Ale oczywiście nie. Jane miała tak kwaśny wyraz twarzy, jakby jej śniadanie składało się z samych cytryn, i Raleigh przygotował się na ostrą ripostę. Jednak Jane, skinąwszy głową, podziękowała mu, co sprawiło, że przyjrzał jej się uważniej. Twarz miała niepokojąco bladą. Na Boga, co pocznie w drodze z chorą niewiastą?

- A tobie? - spytała, podnosząc wzrok. Zdumiała go siła jej spojrzenia, widoczna nawet przez szkła binokli. Zachodził w głowę, jak by wyglądała bez nich. Nigdy nie zauważył koloru jej oczu, teraz jednak odkrył, że były, o dziwo, zielone. Nie miały wiosennej zieleni oczu Charlotte, lecz bardziej nasycony odcień, przypominający kolor egzotycznych roślin w oranżeriach.

Jane i egzotyka? Ta myśl otrzeźwiła go i Raleigh uświadomił sobie, że wpatruje się w żonę. Odwrócił wzrok, usiłując przypomnieć sobie, o co go pytała. No tak, o śniadanie!

- Hmm, było całkiem niezłe. Proste, ale sycące. - Poklepał się po brzuchu. Nagle wydało mu się, że jej uwaga skupiła się przez chwilę na jego płaskim brzuchu. Do diaska, pewnie uraził ją swoją wulgarnością. Chyba był na straconej pozycji. Kaszlnął. Jak, na Boga, mieli być razem, skoro każde jego słowo wywoływało jej sprzeciw?

- Milordzie... Raleigh - zaczęła ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Raleigh pomyślał, że pewnie za chwilę zażąda, żeby się nią nie zajmował czy coś w tym rodzaju. Czasem nie chciało, mu się wierzyć, że Jane jest młodsza od niego, jej przewrażliwienie bardziej pasowało do jego ciotek, starych panien.

- Słucham? - ponaglił ją, kiedy umilkła.

Z sędziowską powagą na twarzy wbiła wzrok w splecione na kolanach dłonie, jakby szykowała się do wiekopomnej przemowy. Chyba jego odpowiedź nie zasłużyła na tak surowe potraktowanie? Miał ochotę chwycić ją pod brodę, ale oparł się tej pokusie.

- Chciałam przeprosić za moje przykre wczorajsze słowa - odezwała się nagle, wprawiając go w zdumienie.

- Zmęczyłam się podróżą i... nie powinnam się była wyżywać na tobie z powodu mojego złego humoru.

Zaskoczony Raleigh uśmiechnął się i rozparł z ulgą na siedzeniu. Najpierw podziękowania, a teraz przeprosiny? Czyżby cudom nie miało być końca? Może jego żona nie jest tak beznadziejna, jak mu się wydawało.

- Zapomnij o tym. Ja sam jestem potwornie znudzony - odparł i natychmiast pożałował tego wyznania. Oskarżył ją o to, że jest nudna, co zresztą było prawdą. Mimo to powinien okazać lepsze maniery.

- Czy byłbyś łaskaw wyjaśnić mi, co ze mną zamierzasz zrobić? - spytała, unosząc głowę, by spojrzeć mu w twarz.

- Zrobić z tobą...? - wykrztusił, otwierając szeroko oczy. Czyżby domagała się swoich małżeńskich praw?

- Jeśli zamierzasz zostawić mnie w Londynie, wolałabym raczej wrócić na plebanię albo zatrzymać się u Charlotte - powiedziała cicho.

Raleigh ściągnął brwi. O czym ona mówi?

- Londyn? Po co, u licha, miałbym cię tam zostawiać? - zapytał

głośno, choć oczywiście bez trudu mógł sobie wyobrazić parę powodów. Na jego korzyść przemawiał fakt, że nie pomyślał o nich wcześniej, gdyby jednak nawet tak było, nie bardzo wiedziałby, jak się jej pozbyć. W końcu była jego żoną.

- Nie mam ci za złe, że nie zachwyca cię myśl o jeździe do Northumberland - powiedział, wciskając się w róg i kładąc jedną nogę na siedzeniu. - Cholernie długa droga, ale przynajmniej jesteśmy razem. Wolałbym, żebyś mi towarzyszyła. Mogę potrzebować moralnego wsparcia przy oględzinach tej ruiny.

- Moralnego wsparcia? - powtórzyła, patrząc na niego niepewnie. W jej ustach zabrzmiało to niemal jak przestępstwo. Raleigh roześmiał się.

- Ramienia, na którym mógłbym się wypłakać - wyjaśnił, chwytając się za pierś w teatralnym geście rozpacz.

Ale Jane najwyraźniej nie podzielała jego rozbawienia.

- Nigdy nie mówisz poważnie? - spytała.

- Na Boga, nie! - odparł. - Dlaczego miałbym być poważny? To diabelnie nudne, w dodatku, zdaje się, szkodzi wątrobie.

Jane prychnęła z niechęcią.

- Nie wierzę, żeby sprowadzanie wszystkiego do żartów było zdrowe dla człowieka i jego charakteru.

Raleigh uniósł monokl i popatrzył na nią, chociaż spodziewał się jej protestów.

- Co cię skłania do takiego ponuractwa? Zarumieniła się i odwróciła twarz.

- Życie nie jest zabawne.

Raleigh przełknął rozczarowanie, że Jane nie dała się wziąć na

haczyk, i zaczął się zastanawiać, co w jej krótkim życiu mogło ją doprowadzić do takiego pesymizmu. Czyżby w dzieciństwie walczyła z ciężką chorobą? Ale przecież znał ją jako krzepką, choć cichą dziewczynkę.

Uświadomił sobie nagle, jak mało o niej wie. Poczł się winny. Naprawdę powinien poznać ją dokładniej, zwłaszcza teraz, kiedy została jego żoną. Na wieki. Na myśl o tym ogarnęło go onieśmienie. Postanowił skoncentrować się na chwili obecnej.

- Nie, moja droga - zaproponował. - Życie nie jest zabawne tylko wtedy, jeśli tak do niego podchodzimy.

Jane nachmurzona zapatrzyła się w okno.

- Nie spierajmy się - poprosił. - Zanim dotrzemy do Londynu, czeka nas wiele godzin jazdy. Opowiedz mi o swoich siostrach i braciach...

Jego intencja była dwojaka: chciał, żeby zaczęła rozmawiać, bo nie miał zamiaru spędzić kolejnego dnia w niezręcznej ciszy, a także chciał dowiedzieć się więcej o kobiecie, którą poślubił. Co sprawiło, że była tak różna od swojego rodzeństwa? Być może, gdyby więcej o niej wiedział, potrafiłby ją jakoś rozweselić. Choć zazwyczaj trudno mu się było zmobilizować, tym razem poczuł dziwną chęć uczynienia czegoś dla tej smutnej młodej kobiety.

Miewał swoje słabości. Ku uciecze - a czasem zakłopotaniu - swoich przyjaciół często odgrywał rolę swatki. Jednak Jane była już mężatką, więc nie wchodziło to w rachubę. Przez chwilę rozmyślał o tym z żalem, a potem zaczął się zastanawiać, co by ją mogło zmienić.

Nie miał dostatecznej fortuny, by obsypać ją podarunkami; Jane zresztą nie wyglądała na osobę, której by na tym zależało. Dziś znów miała na sobie jakieś bure okropieństwo, urągające dobremu smakowi. Jej niechęć do elegancji przerażała Raleigha, starał się jednak nie myśleć o tym. Czł

też, że ani dobre towarzystwo, ani jego pozycja nie zrobią na niej najmniejszego wrażenia.

Jak więc mógł jej pomóc? Widząc ponury wyraz jej twarzy, zapragnął nagle, by zaciśnięte wargi Jane rozluźniły się, a jej zmarszczone czoło wygładziło. Nagle doznał olśnienia. Uśmiechnął się chytrze i założywszy ręce za głowę, oparł się wygodnie na poduszkach.

Być może nie potrafi uszczęśliwić swojej żony, ale wie, jak wywołać uśmiech na jej twarzy.

Gdy wjeżdżali do Londynu, Jane zdążyła już ochrypnąć. Kiedy wreszcie zaczęła zwracać uwagę na miasto za oknem, oszołomiona uprzytomniła sobie, że nigdy w życiu nie wypowiedziała tylu słów. Wodząc nie widzącym wzrokiem po zatłoczonych ulicach, zaczęła się zastanawiać, jak Raleigh tego dokonał.

Gdy ją poprosił, żeby opowiedziała mu o swojej rodzinie, w pierwszej chwili, z czystej przekory, chciała odmówić. Czyż kiedykolwiek dotąd się nią interesował? Jednak jego stwierdzenie, że „przynajmniej są razem”, dziwnie ją poruszyło.

Wmawiała sobie wprawdzie, że to tylko czczy frazes, kolejne bez troskie powiedzonko, ale jego słowa podniosły ją na duchu. Do tego ogromną ulgę sprawiła jej wiadomość, że nie zamierzał zostawiać jej w Londynie.

Więc, choć z początku opornie, przychyliła się do jego prośby, i wkrótce, ku swojemu zdziwieniu, odkryła, że opowiadanie przychodzi jej coraz łatwiej. Ona, która rzadko mówiła dłużej nawet do swoich sióstr, nagle nabrała ochoty do rozmowy. Zaniepokoiło ją to i w duchu obwiniała o tę przemianę Raleigha. Wiedziała naturalnie, że uchodził za salonowca, ale nie

przypuszczała, że mógł być tak wspaniałym słuchaczem. Wytrąciło ją to z równowagi.

Cóż mógł obchodzić pies Kita czy koty Carrie takiego pięknoducha jak wicehrabia? Wyglądał jednak na zainteresowanego. Ilekroć przerywała, ponaglał ją kolejnymi pytaniami. Nie do wiary, ale znał z imienia wszystkie jej siostry i braci i wypytywał ją o każde z nich z osobna.

Czuła się tym dziwnie poruszona, choć usiłowała sobie wmówić, że jego zainteresowanie Trowbridge'ami nie obejmuje jej osoby. Była przekonana, że nigdy nie wypytywałby ich o nią w ten sposób. Jednak mówiła dalej, niezdolna przerwać zrećznie konwersację ani umiejętnie zwrócić ją ku innym tematom.

Parę razy zająknęła się, speszona tym, jak przyglądał jej się spod swoich gęstych rzęs. Choć wiedziała, że musi przywyknąć do tego, nadal czuła się nieswojo pod jego spojrzeniem. Nie okazywał jej wprawdzie politowania, jednak Jane dość się nacierpiała z powodu krytycznych spojrzeń ludzi i uciekała od nich, gdy tylko mogła. Ale zamknięta w powozie sam na sam z mężem nie wiedziała, jak umknąć błękitnym oczom, które patrzyły na nią z poufałością, do jakiej nie zamierzała dopuścić.

Odchrząknęła. Zaszło jej w gardle od mówienia. Zaczęła wyglądać przez okno i wsłuchiwać się w odgłosy Londynu, licząc na to, że odwróci uwagę Raleigha od siebie, jednak wyglądało na to, że miasto mało go obchodzi, ona zresztą również nie umiała podziwiać widoków w jego obecności, zwłaszcza gdy czuła na sobie jego wzrok.

Noga Raleigha, nonszalancko wyciągnięta na siedzeniu, nie ułatwiała sytuacji Jane, aż nadto świadomej jego odzianej w rękawiczkę dłoni, spoczywającej na muskularnym udzie. Przypomniała sobie dotyk palców wicehrabiego, kiedy zacisnęły się na jej ramionach podczas rozmowy z

rodzicami. To wspomnienie zirytowało ją do reszty. Odwróciła gwałtownie wzrok. Tylko skończony bufon mógł tak ostentacyjnie rozwalać się na siedzeniu. Dżentelmen na pewno przybrałby skromniejszą pozę. Nawet gdyby jedynym współpasażerem była jego własna żona.

Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, Jane poczuła, że ogarnia ją niepokój. Znajdowali się na West Endzie, jak wyjaśnił Raleigh, choć nazwa ta nie bardzo zdawała się pasować do czystych brukowanych ulic i eleganckich placów, otoczonych okazałymi domami z cegieł. Miejska rezydencja Raleigha wznosiła się nad ulicą na wysokość trzech pięter i Jane patrzyła na nią z drżeniem, modląc się, by nie okazała się równie wroga jak Westfield Park.

Nie była. Przyjazny uśmiech odzwiernego zdawał się nadawać ton całemu domowi. Służba zachowywała się bardzo miło. Raleigha witano ze szczerą radością, a nie z surowym dystansem, jak w Westfield Park. Jane odetchnęła z ulgą. Wnętrze, jakkolwiek luksusowe, było o wiele skromniejsze. Pachniało woskiem i suszonymi płatkami kwiatów. Hol i pokoje reprezentacyjne ozdobiono marmurowymi posągami i delikatnie rzeźbionymi gzymsami, za to na piętrze wielobarwne tapety i lekkie sprzęty wzbudzały raczej zachwyty niż onieśmienie.

Jane zaglądała właśnie do jednego z salonów, gdy energicznym krokiem nadszedł niski, żyłasty, nienagannie ubrany człowieczek.

- Milordzie! - zawołał i Jane, nie wierząc własnym oczom, zobaczyła, że Raleigh śpieszy mu na powitanie.

- Antoine! Bogu niech będą dzięki! Bałem się, że mnie porzuciłeś! - wykrzyknął, obejmując niższego mężczyznę.

Kim on jest? - zastanawiała się Jane. Krewnym?

- Nie, milordzie, ale byłem bardzo zagniewany, kiedy dowiedziałem

się o twoim odjeździe. - Miał mały, ciemny wąsik, który podskakiwał przy każdym słowie, jakby chciał zganić wicehrabiego.

- Wlałem w siebie o jeden kielich za dużo - przyznał z łobuzerskim uśmiechem Raleigh. - Ale spójrz tylko na mnie! Bez ciebie jestem skończony. - Wicehrabia rozpostarł ręce.

Człowieczek cofnął się o krok i potrząsnął z niesmakiem głową, dokonawszy inspekcji osoby swego chlebowdawcy. Jane nie pojmowała, co mogło być nie tak w nienagannym wyglądzie jej męża. Granatowy płaszcz leżał na nim jak ulał, ściśle przylegając do ramion, które nie wymagały wcale watowania. Jane ze zdumieniem odkryła, że Raleigh jest o wiele wyższy, niż sądziła. Tak często widywała go z ogromnym, zwalistym Wycliffe'em, że wysoki wzrost męża uszedł jej uwagi. Raleigh, choć szczupły, musiał liczyć sobie co najmniej sześć stóp.

Nagle odwrócił się do niej. Jane, zawstydzona, że przyłapał ją na tym, jak mu się przygląda, oblała się pasem. Jeśli nawet to zauważył, nie dał po sobie nic poznać, lecz skinął ręką w stronę oczekującego jegomościa.

- Jane, poznaj Antoine'a, mojego kamerdynera, wynalazcę Niezrówanego - oznajmił, uśmiechając się z dumą.

Jego kamerdynera? Jane z trudem powstrzymała okrzyk zdumienia. Raleigh tak traktował swojego kamerdynera? Zresztą nie powinna się dziwić. Tego rodzaju teatralne gesty nie mogły dziwić u człowieka, który nade wszystko w świecie cenił własny wygląd.

- Niezrówanego...? - powtórzyła, nie rozumiejąc.

- Jednego z najczęściej kopiowanych wzorów fularu - wyjaśnił Raleigh, a mały człowieczek pokraśniał z dumy. - Antoine, to moja żona, wicehrabina.

- Pańska żona! - wykrzyknął zdumiony kamerdynier. Widząc jego

bystre spojrzenie wędrujące od wygniecionego podróżnego kostiumu do jej twarzy, Jane uniosła dumnie głowę, jakby chciała go ostrzec przed jakąkolwiek uwagą na temat zaskakującego małżeństwa jego pana. Antoine przez chwilę stał z szeroko otwartymi oczami, zanim odzyskał panowanie nad sobą.

- Pańska żona - powtórzył. - Ależ naturalnie! Gratulacje, milady. Gratulacje, milordzie. Cóż za niezwykła nowina! No, ale po podróży trzeba trochę zadbać o wygląd, prawda? - Chociaż człowieczek zwracał się do Raleigha, Jane podejrzewała, że jego słowa skierowane są do niej. Zesztywniała. Jej dobry nastrój natychmiast prysł. I do tego miejsca również nie pasowała!

- Słucham? - spytał niezbyt przytomnie Raleigh. - Nie, zajmiesz się moją garderobą, kiedy się będę ubierał do obiadu.

- Ależ, milordzie...

Raleigh przerwał mu machnięciem ręki:

- Za chwilę, Antoine. Najpierw chcę oprowadzić moją żonę po domu.

Co też uczynił. W miarę jak pokazywał jej dom, Jane czuła, że jej napięcie ustępuje. Był, jak zwykle, przyjazny i dowcipny, żartował, wygłaszał zabawne uwagi, a zarazem sprawiał, że czuła się coraz bardziej swojsko. Obchód skończyli w jego gabinecie, gdzie rzucił się na fotel, kładąc nogi na biurko z jasnego drewna.

Powstrzymując się od uwagi o niestosowności takiego zachowania, Jane przysiadła na parapecie, chłonąc zapachy z otoczonego murem ogrodu. Przyrzekła sobie obejrzeć go przed dalszą podróżą, jednak teraz było już ciemno i z przyjemnością siedziała w ciszy, podczas gdy Raleigh przeglądał zaległą korespondencję.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna wyjść. Charlotte powiedziała jej, że większość mężczyzn spędza dzień osobno - załatwiając interesy, przesiadując w klubach lub jeszcze gorszych miejscach - a w tym czasie ich żony robią zakupy albo składają wizyty. Informacja ta przestraszyła i zasmuciła Jane, której bynajmniej nie podobał się taki porządek rzeczy. Co teraz zrobi Raleigh? Choć najwyraźniej nie miał tu żadnych interesów, mógł przecież wyjść na miasto, by pić lub oddawać się hazardowi, a ona nie miała nic do powiedzenia.

Z ponurych rozmyślań wyrwał ją okrzyk męża:

- Spójrz tylko na to!

Odwróciła się. Coś białego wylądowało u jej stóp na dywanie. Pochyliła się i podniosła starannie wykaligrafowane zaproszenie na letni bal w Bradley House.

- Obrzydliwa impreza - rzucił Raleigh przez ramię. - Cieszę się, że nas to ominie! - Temu komentarzowi towarzyszył szelest następnym rzucanych papierów. - Koszmarny natręt! Straszny prostak! - Jane w osłupieniu obserwowała, jak jej mąż beztrąsco poczyną sobie z kartkami papieru, całkiem jak jej braciszek, kiedy robił papierowe strzały.

Zrobiła ruch, by je pozbiierać, ale zaraz uświadomiła sobie, jak głupio musi wyglądać, więc tylko posłała Raleighowi karcące spojrzenie. Uśmiechnął się, daleki od skruchy.

- W lecie mamy tu nudy na pudy! - narzekał, a na grubym dywanie rosła pomiędzy nimi sterta zmiętych zaproszeń na rauty i wieczorki taneczne. - Prawie nie mogę się doczekać, kiedy znajdziemy się w Northumberland - oświadczył. - Prawie - dodał z naciskiem, posyłając jej łobuzerski uśmiech. Odwrócił się z powrotem do biurka i odchylił się niebezpiecznie do tyłu w fotelu. Już miała mu powiedzieć, żeby się nie

huśtał, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nie był ani Jamesem, ani Kitem, lecz dorosłym mężczyzną, który po prostu nie zamierzał zachowywać się jak należy.

Niestety odkryła, że coraz trudniej jej się dąsać na niego przez dłuższy czas. Dziś poświęcił jej całą swoją uwagę, co zamąciło jej w głowie. Jego reputacja czarującego mężczyzny była jak najbardziej zasłużona, choć Jane solennie obiecała sobie, że mu nie ulegnie.

Musiała jednak przyznać, że lubi towarzystwo Raleigha. Tryskął humorem, który zdawał się wypełniać cały pokój, omiatając Jane jak powiew letniego wiatru. Jego obecność działała na nią ożywczo; po spędzonym z nim dniu nie czuła się wyczerpana, jak po dniu spędzonym z rozbuchanym Kitem. Nie, to było coś zupełnie innego - coś, z czym nieczęsto spotykała się na plebanii

Ogarnęło ją poczucie winy - ale w jej rozmyślaniach tkwiło ziarno prawdy. Jej dobry i troskliwy ojciec był bardzo zajęтым człowiekiem, a po śmierci matki Jane musiała opiekować się młodszym rodzeństwem. Kochała ich wszystkich, czasem jednak było tyle zgiełku i pracy, że tęskniła, za spokojem, jakiego zaznawała jedynie w ogrodzie.

Kiedy ten sam nieokreślony spokój spłynął na nią w łagodnym świetle świec gabinetu Raleigha, próbowała wyprzeć się swoich uczuć. Musi być zmęczona, nie jest sobą. Bo inaczej z pewnością nie pociągałoby jej towarzystwo mężczyzny, którego największym problemem był właściwie zawiązany węzeł fularu.

Jednak spokój towarzyszył jej aż do chwili, gdy udała się do pokoju przebrać się do kolacji i uświadomiła sobie, że w towarzystwie wicehrabiego czuje się doskonale, natomiast bez niego - o wiele gorzej. Zwolniła kroku, dochodząc do swoich drzwi. Jej wzrok powędrował za sylwetką męża i

nagle ogarnęła ją nieprzeparta ochota, by pójść za nim, zamiast wracać do wyniosłej pokojówki. Zdumiona swoimi myślami, otrząsnęła się z niedorzecznego kaprysu, który mógł być tylko skutkiem znalezienia się w obcym otoczeniu. Raleigh był tu jedyną znajomą twarzą, więc było naturalne, że lgnęła do niego. Ale naturalne wcale nie znaczy mądre. Jane jeszcze wyżej uniosła podbródek i ruszyła w stronę swojego pokoju z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

- Przygotowałam dla pani piękny strój, milady - oznajmiła pokojówka, wyciągając w jej stronę suto zdobioną falbanami suknię. Jane zdławiła okrzyk zgrozy. Wyglądałaby jak gęś w tych duszkach. Poza tym nie nosiła pastelowych kolorów.

- To nie moja suknia - zaprotestowała słabo.

- Owszem, milady, to pani suknia. Przed odjazdem z Westfield Park pokojówka hrabiny przyniosła mi naręczę garderoby. Przedtem wszystkie te ubrania należały do siostry wicehrabiego, ale ona każdej wiosny i jesieni szyje sobie na miarę zupełnie nową kolekcję, żeby dotrzymać kroku modzie.

- Madeleine obrzuciła spojrzeniem pełnym nagany żałośnie staromodny kostiumik Jane.

- Gdzie ona teraz przebywa?

- Sadzę, że odwiedza przyjaciół. Bał się trochę przeciągnął, więc nie wie jeszcze o ślubie brata.

Jane próbowała odgadnąć, jaka będzie reakcja siostry Raleigha. Czy wrodziła się w brata, czy w rodziców? Wyobraziła sobie chłodną, arogancką pannę, a potem flirciarę o ptasim mózdzku. Zadrżała.

- Dziękuję, ale dzisiaj nie muszę być tak wykwintnie ubrana na wieczór - odparła. Było późno, na plebanii jadało się znacznie wcześniej. Czowała, że po bezsennej nocy niedługo wytrwa na nogach. Pogrzebała w

kufrze i wyciągnęła swoją starą, prostą sukienkę, która jakoś uchowała się z pogromu w Wertfield Park.

- Ależ, milady... - zaczęła Madeleine, ale urwała, kiedy Jane spojrzała na nią ostro. Wzdychając z rezygnacją, potrząsnęła wygniecionym materiałem. - Hrabina uważa, że zawsze należy ubierać się stosownie, nawet kiedy nie ma gości - oświadczyła.

Jane zignorowała tę uwagę. Mało ją obchodziło zdanie hrabiny. Nigdy nie zamierzała być arystokratką i nie będzie nosić rzeczy, które jej nie odpowiadały, tylko dlatego, że musiała przyjąć tytuł wicehrabiny. Nie miała też zamiaru w żaden sposób wzorować się na rodzicach Raleigha.

Nie znaczyło to wcale, że nie umie zachować się w towarzystwie. W Sussex dwór Wycliffe'a był dla niej i jej rodzeństwa drugim domem. Tam jednak nikt nie pamiętał, by tytułować Maksa milordem. W hrabiowskim domu byli zawsze mile widziani, a Charlotte - poza tym, że zaczęła się elegancko ubierać, zostawszy hrabiną - nie zmieniła się ani na jotę. Natomiast Raleigh zawsze był... po prostu Raleighem. Był jeszcze bardziej swobodny i bezpośredni niż Max. Zbyt swobodny i bezpośredni, pomyślała Jane, wspominając, jak uwielbiało go jej rodzeństwo.

- Milady, błagam, pani włosy... - jęknęła Madeleine. - Ten czepek zupełnie nie nadaje się do kolacji! - Niemal siłą posadziła Jane na foteliku przed inkrustowanym stolikiem, na którym stało lustro w pozłacanej ramie. Z wyrazem niesmaku na twarzy zdarła z głowy Jane kompromitujące nakrycie, jakby chciała wyrzucić je do śmieci.

Jane na chwilę pozostała sam na sam z lustrem. Z trudem zmusiła się, by spojrzeć w jego taflę i ujrzeć prawdę. Z lustra wyjrzała na nią ponura dziewczyna w binoklach, z bezbarwnymi włosami ściągniętymi na czubku głowy; ta sama pospolita twarz, która ją wszędzie ścigała.

Odwróciła się, zamierzając odejść, ale Madeleine zatrzymała ją rozpaczliwym okrzykiem:

- Milady, proszę zaczekać! Muszę ułożyć pani włosy!

- Nie - sztywno odparła Jane. - Nie ma potrzeby. - Ani sensu, dodała w myślach. Podniosła się. Była taka, jaka była, i nie zamierzała się tego wstydzić.

- Ależ, milady, pozwól chociaż, że trochę je rozluźnię! Parę loków dokoła twarzy i już będzie pani wyglądać jak trzeba. To uczesanie godne damy.

Jane roześmiała się gorzko.

- Madeleine, nic w świecie nie jest w stanie sprawić, by moje włosy się kręciły. Są proste jak drut.

- Ależ, milady...

Nie zważając na protesty pokojówki, Jane wyszła na korytarz. Nie miała zamiaru poddawać się bezwolnie tego rodzaju zabiegom. Mimo zapewnień siostry wiedziała, że żadne wysiłki nie poprawią jej urody, więc dawno już pogodziła się z tym stanem rzeczy.

Lepiej spojrzeć prawdzie prosto w oczy, niż się oszukiwać, pomyślała i zaczęła schodzić na kolację. Jej dotychczasowa wesołość zgasła. Kiedy zrobiła parę kroków po schodach, zobaczyła nagle jakiegoś mężczyznę rozmawiającego z Raleighem. Przystanąła, chwytając się poręczy, gdyż nagle obudziło się w niej dziwne uczucie.

Nie była to zazdrość.

Nigdy nie była zazdrosna o swoje urodzive siostry, skąd więc dziwne ukłucie na widok Raleigha, obejmującego tego mężczyznę? Czy dlatego, że kładło to kres nadziejom na godzinę idylli sam na sam? Jane odetchnęła głębiej, strofując się w myśli. Idylli? Najwyżej towarzyskiej pogawędki. Nie

sądziła zresztą, by Raleigh miał ją zabawiać w nieskończoność. Był mile widziany w każdym towarzystwie, o czym świadczyła sterta zaproszeń w jego gabinecie, jak więc mogła wymagać, by zamykał się z nią w domu? Mimo że była jego żoną.

- Musisz zostać! Nalegam! - mówił właśnie do nieznanego. Nie widzieli jej, ale ich słowa wyraźnie docierały do uszu Jane. Raleigh polecił przynieść dodatkowe nakrycie. Tłumiąc rozczarowanie, Jane zmusiła się, by zejść na dół. Zaraz jednak tego pożałowała.

- Wybacz, mój drogi, a kogóż tutaj mamy? - wykrzyknął nieznajomy na jej widok. Choć nie zamierzała zwracać uwagi na podobny brak manier, zeszywniała, gdy wyciągnął monokl, by jej się przyjrzeć. - Zdawało mi się, że twoja siostra wyrosła z guwernantek - skwitował swoją inspekcję.

Jane zeszywniała. Dawno już nie robiono podobnych uwag na jej temat, choć od czasu do czasu podstarzałe matrony gdakały między sobą: „Biedna Jane, cóż za pospolita uroda”. Wtedy ze wszystkich sił musiała odwoływać się do chrześcijańskiej pokory, by nie powiedzieć im, co o tym myśli. Teraz była dorosła i wybuchy dziecinnej wściekłości dawno miała za sobą, jednak dawna gorycz ożyła na nowo.

Czy wszyscy przyjaciele Raleigha będą ją traktować w ten sposób? Jeszcze godzinę temu była zadowolona, ale teraz zastanawiała się gorączkowo, jakim cudem kiedykolwiek dopasuje się do świata swego męża. Jeśli tak to właśnie miało wyglądać, czy nie lepiej byłoby, gdyby została w Sussex? Może Raleigh w Northumberland mógłby się wypłakiwać na ramieniu swojego przyjaciela, a ona spokojnie wróciłaby do domu?

Jednak ten pomysł nie przypadł jej wcale do gustu, więc zesza sztywno wyprostowana, pozdrowiwszy obu stojących przy schodach mężczyzn chłodnym skinieniem głowy. Choć dostrzegła błysk niepokoju w

oczach Raleigha, przypisała go trosce o wygląd fularu, bo przecież nie spowodował go wygląd żony.

- Ejże, Pimperington, czy guwernantka zachowywałaby się w tak wyniosły sposób? - spytał Raleigh, przyglądając się Jane z denerwującą poufałością. - Przedstawiam ci mego przyjaciela, pana Pimperingtona, moja droga.

- Słucham? - Mężczyzna wodził wzrokiem od Jane do Raleigha.

Jane poczuła mimowolne uznanie dla aktorskich talentów Raleigha, bo nawet ona prawie dała się zwieść dumie posiadacza, jaka zabrzmiała w jego głosie. Niestety wiedziała, że to tylko występ na użytek Pimperingtona.

- Na Boga! Chcesz powiedzieć, że to twoja żona? - zdumiał się gość. Ponownie podniósł monokl do oka i zaczął studiować Jane z taką miną, że miała ochotę wepchnąć mu ten obmierzły przedmiot w gardło.

- Pan wybaczy, ale nie zezwalam na to w moim domu - oświadczyła.

- Na co? - zdumiał się Pimperington.

- Monokl - powiedziała Jane głośno i dobitnie. - Będzie pan się musiał obejść bez niego. - Nie zwracając uwagi na pełen aprobaty śmiech Raleigha i osłupienie gościa, minęła obu mężczyzn i skierowała się ku jadalni.

- Co ona chce od mojego monokla? - gonił ją grzmiący głos Pimperingtona.

- Wicehrabina nie lubi, gdy się na nią gapią - wyjaśnił swobodnie Raleigh. - Umartwia się, skrywając swoją urodę.

- Urodę! Hmm, tak, oczywiście, rozumiem - odparł Pimperington stropiony.

Odpowiedź Raleigha sprawiła, że usta Jane drgnęły lekko, zaraz jednak zacisnęła je mocno. Cóż mogły ją obchodzić tego rodzaju uwagi na jej temat! Nie miała najmniejszego zamiaru zachęcać męża do dalszych

żałosnych dowcipów.

Raleigh dogonił ją, zanim doszła do drzwi jadalni, i kiedy szarmancko podał jej ramię, nie miała wyboru. Po chwili wahania, choć rozgniewał ją błysk rozbawienia, jaki dostrzegła w oczach męża, opuściła wreszcie lekko dłoń na rękaw jego surduta.

Elegancki materiał był gładki, a ramię wicehrabiego muskularne. Skąd taki dandys jak Raleigh mógł mieć mięśnie, przemknęła przez głowę Jane niewyraźna myśl. Zaraz potem oblała się rumieńcem. Z ulgą puściła jego rękę, kiedy podprowadził ją do krzesła, on jednak uściśnął jej ramię, sadzając ją, i Jane zadrżała, ogarnięta idiotyczną słabością.

Po co to zrobił? - zżymała się w duchu. Nie pozwoliła mu traktować się w ten sposób! Jej uczucia musiały być widoczne na twarzy, bo dostrzegła zaciekawione spojrzenie Pimperingtona, który natychmiast pośpiesznie odwrócił wzrok. Z pewnością wziął sobie do serca ostrzeżenie Raleigha, by nie patrzeć na Jane. Mimo to czuła cały czas, że przygląda jej się bacznie, i próbowała się do tego przyzwyczaić. Miała prawo sądzić, że wszyscy znajomi Raleigha będą na nią patrzyli z równym zaskoczeniem, gdyż niewątpliwie stanowili z wicehrabią dość niedopasowaną parę. Mezalians - pomyślała posepnie.

- Więc wzięłeś sobie żonę, he? - zagrzmiał Pimperington. - Diabelnie się z tym pośpieszyłeś. Chyba że... nie chcesz chyba powiedzieć, że twoja wybranka dziedziczy fortunę... gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Nie - odparł Raleigh z kpiącym uśmiechem, kiedy służba zmieniała talerze do następnego dania. - Lady Raleigh nie dziedziczy wielkiej fortuny, lecz jest siostrą hrabiny Wycliffe.

- Wycliffe! Ach, tak, znam hrabiego. Trochę nudziarz, ale przyzwoity człowiek. - Jane nastroszyła się, czekając na nieuchronne porównania z

Charlotte, które jednak, o dziwo, nie nastąpiły. Pimperington widać słabo pamiętał jej siostrę i nie bardzo wiedział, jak wygląda.

- Podkochiwałem się w mojej żonie od dawna... - tłumaczył Raleigh z uśmiechem. Jane upuściła łyżkę z wrażenia.

- Przestań! - szepnęła, czując lodowaty chłód. Mogła znieść wszystko, ciekawskie spojrzenia obcych i nawet pogardę służby, ale nie udawany afekt. Nie to.

Raleigh uciszył ją nonszalanckim gestem.

- Ależ, kochanie, nie chcielibyśmy chyba skandalu wokół naszych zaślubin - mruknął. Po raz pierwszy w jego spojrzeniu była powaga i Jane umilkła. Raleigh, uspokojony jej uległością, rozparł się wygodniej i sięgnął po swoje wino. - Odwiedzałem dom Wycliffe'a w Sussex, żeby potajemnie spotykać się z moją wybranką, gdy nagle ogarnęło nas miłosne uniesienie i nie byliśmy w stanie czekać ani chwili dłużej - oświadczył, zwracając się do Pimperingtona.

Jane zakrztusiła się. Sięgnęła po szklanekę wody.

- Poza tym nie chciałem, by moi rodzice uczestniczyli w ślubie... chyba wiesz, o czym mówię? - dodał Raleigh, uśmiechając się cierpko.

- A to czemu? Ach, rozumiem! - zagrzemiał jowialnie Pimperington. - Naturalnie, nie zaaprobowałiby tego mariażu. Dziedziczyć tytuł to diabelna niewygoda. Wiem, że hrabia marzył o jakiejś posażnej pannie dla ciebie, ale jeśli szybko postarasz się o syna, powinno to zamknąć im usta.

Na wzmiankę o dziecku Jane zaczerwieniła się i nie podniosła więcej wzroku na żadnego z współbiesiadników. Wzięła do ręki łyżkę, jednak jej apetyt zniknął bezpowrotnie. Ugodziło ją nie tylko kłamstwo Raleigha, ale również radosny ton, jakim je wygłosił. Wolałaby raczej, żeby traktował ją źle albo odesłał do domu, niż udawał uczucia, których nie żywił. Jego

kłamliwe oświadczenie trafiło w czuły punkt, o którym dawno zapomniała i do którego nie miała najmniejszego zamiaru powracać.

Przebrnęła jakoś przez kolację, podczas której Pimperington rozwodził się głośno nad ludźmi, których nigdy nie widziała na oczy. Kiedy Raleigh próbował ją wciągnąć do rozmowy, odpowiadała monosylabami, a gdy przestali na nią zwracać uwagę, pogрузzyła się w rozważaniach, jak kiedykolwiek mogła się dobrze czuć w obecności tego bezdusznego, beztroskiego dandysa.

Kiedy skończyli jeść, wymówiła się od wspólnego wieczoru. Wahala się przez chwilę, czy ma udawać ból głowy, ale Raleigh przyjął jej wyjście z nie skrywaną ulgą.

Gdy szła na górę pod niechętną opiekę Madeleine, przyrzekła sobie w przyszłości trzymać Raleigha z jego uprzejmymi gestami na dystans. Dziś wprawdzie okazała się słaba, co może zdarzyć się każdej kobiecie, teraz jednak ze zdwojoną siłą będzie pogardzać mężczyzną, którego nienaganny wygląd maskował jedynie wewnętrzną pustkę.

Raleigh był nie tylko dandysem, ale również draniem. Postanowiła nigdy więcej nie dać mu się zwiść.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jeszcze nigdy Raleigh nie był tak zadowolony z odejścia Pimperingtona. Jego często denerwujący przyjaciel zasiedział się po kolacji zbyt długo, nim wreszcie pożegnał się, mamrocząc coś o wicehrabim jako świeżo upieczonym żonkosiu. Kiedy Raleigh usłyszał, że lokaj wyprowadził gościa, opadł na najbliższy fotel, z westchnieniem odrzucając głowę do tyłu. Czemu akurat Pimperington odwiedził go tego właśnie dnia?

Niewielu z jego przyjaciół i znajomych było takimi plotkarzami jak Pimperington. Nie dość, że wieść o jego ożenku natychmiast się rozniesie, to jeszcze całe miasto dowie się, że jego żona wygląda jak guwernantka, jeśli nie gorzej!

Wzdrygnął się. Z pewnością sam nie dbał o to, co ludzie pomyślą o nim i jego małżeństwie. Poruszanie się w jego środowisku wymagało pewnej gruboskórności. Jednak żal mu było Jane, ogromnie żal. Poczul bolesny ucisk w żołądku, kiedy wyobraził sobie socjetę, używającą sobie na niej za jej plecami. Ponieważ żołądek nigdy go nie bolał, najwyżej wskutek nadużycia jadła i trunku, przyjął tę nagłą niedyspozycję z zaskoczeniem. Nie zwykł też przejmować się cudzym losem.

Prawdę mówiąc, im więcej zastanawiał się nad sytuacją swojej żony, tym bardziej robiło mu się niedobrze. Zdecydował nie myśleć o tym więcej. Kiedy wróca do Londynu, zażąda, żeby coś zrobiła ze swoją koszmarną garderobą. Powinno się ją spalić, pomyślał z najwyższą niechęcią. I te jej włosy! Miały nawet nie najgorszy kolor, ale należało je choć trochę rozluźnić, żeby twarz Jane nie wydawała się aż tak napięta. Twarz nawet

niebrzydka, jeśli udało się na niej wywołać uśmiech.

Nowe stroje i szczypta dobrego humoru dobrze by jej zrobiły, rozmyślał Raleigh. Wtedy, gdy będzie prezentował ją w towarzystwie, wszyscy przekonają się, że nie jest tą skwaszoną istotą, o jakiej na pewno rozpowie Pimperington.

Podjąwszy takie postanowienie, wstał z fotela i lżejszym krokiem poszedł do sypialni. Do diaska, strzeli sobie łyżeczek brandy przed snem. Ledwie jednak stanął w progu, a już dopadł go Antoine. Wąsik kamerdynera drgał ze wzburzenia.

- Nareszcie! Co pana tak zatrzymało? Nie chcę nawet słyszeć, że to ta ohydna kreatura, Pimperington! - mówił, niemal siłą zdzierając surdut ze swojego pana.

- Ej, po co ten pośpiech? Czyżbym się oblał zupą? - zażartował Raleigh, odwracając się przez ramię, by spojrzeć w twarz kamerdynerowi.

- Po co ten pośpiech? Oto cały Anglik! Nie śpieszy się panu do panny młodej, która czeka od Bóg wie kiedy? - zdumiał się Antoine, przekrzywiając głowę.

Raleigh zaśmiał się na wyobrażenie Jane dyszącej w miłosnym uniesieniu. Gdyby wdarł się do jej sypialni, żądając spełnienia małżeńskiego obowiązku, powitałaby go zapewne, piszcząc z przerażenia. Ta myśl go otrzeźwiła.

- To nie ten rodzaj małżeństwa, Antoine - powiedział do kamerdynera, który zaczął szcztokować surdut.

- Rozumiem. - Francuz skinął głową. - Nie sądziłem, że to związek z miłości, bo milady nie wygląda jak pańskie dawne kochanki.

- Jane wygląda jak trzeba - mruknął Raleigh.

- Ależ naturalnie, milordzie - zgodził się skwapliwie Antoine, jednak

w jego tonie czuło się powątpiewanie. - Ale jej garderoba jest doprawdy szkaradna!

Raleigha rozbawiło oburzenie kamerdynera.

- Owszem, będę musiał dopilnować tej sprawy po powrocie z podróży. Hrabina kazała zapakować kilka sukien mojej siostry, ale Jane jest zbyt uparta, by je włożyć.

- Chce wyglądać jak czupiradło? - spytał ze zgrozą Antoine. - Jaka kobieta chciałaby tak wyglądać? - Kamerdyner, obdarzony doskonałym wyczuciem stylu, niewątpliwie uważał Jane za kandydatkę do domu wariatów z powodu jej kiepskiego gustu. W innej sytuacji te uwagi rozśmieszyłyby Raleigha, teraz jednak poważnie go zastanowiły.

Dlaczego Jane upierała się ubierać tak brzydko, zwłaszcza będąc siostrą Charlotte, która zawsze chodziła elegancko ubrana? Instykt podszeptał mu, że obie te sprawy mogą być ze sobą związane. Dotąd sądził, że ponure kolory stanowiły nieodłączny element jej bezbarwnego wyglądu, teraz jednak przyszło mu do głowy, że może kryć się za tym coś więcej.

- Wy, Anglicy, jesteście bardzo dziwni. Nigdy was nie zrozumiem. Ubieracie się jak na pogrzeb, a żenicie dla konwenansu! - przerwała jego rozmyślenia gniewna przemowa Antoine'a.

- Nie ożeniłem się dla konwenansu - odparł cierpko. - Chodziło o pośpiech. - Choć nie miał zamiaru informować świata o swoich błyskawicznych zaślubinach, wiedział, że Antoine'owi może ufać. Zresztą będąc tak blisko swego pana, z pewnością niebawem i tak sam odkryłby prawdę.

Usadowiwszy się na krześle, Raleigh czekał, aż sługa ściągnie mu długie buty.

- Pobraliśmy się z powodu wypadku, zwykłej pomyłki. Żadne z nas

nie miało na to ochoty.

- No tak - mruknął Antoine, odsuwając na bok lśniącego wellingtona.
- Czemu jednak wobec tego ona podróżuje z panem? Byliście przecież w Westfield Park. Nie można jej było podzucić rodzicom?

- Słucham? Nie, nie całkiem - odparł Raleigh, czując, jak rumieniec wypełza mu na twarz na wspomnienie przyjęcia, jakie zgotowali im rodzice. Zamiast skorzystać z ich dezaprobaty, stanął za krzesłem Jane, kładąc jej ręce na ramionach na dowód milczącej solidarności.

Spochmurniał na wspomnienie swojego niecodziennego zachowania, ale szybko doszedł do wniosku, że zostawienie kogokolwiek na łasce rodziców byłoby okrucieństwem, na które nie zasługiwał nikt, nawet nie chciana żona. Wzruszył ramionami.

- Znasz mnie, Antoine. Wiesz, że zawsze lubiłem robić im na przekór. Kamedyner cmoknął z naganą.

- Wieczny buntownik... I dokąd to pana doprowadziło, milordzie? Bez ziemi, bez pieniędzy, w dodatku z nie chcianą żoną, szarą myszką, niegodną tego, by w przyszłości nosić tytuł hrabiny! - Potrząsnął głową, prostując się. Raleigh zmarszczył czoło.

- Dosyć tego, Antoine - powiedział ostro. - Jane jest moją żoną. - Nadal siedząc swobodnie w fotelu, posłał kamerdynerowi ostrzegawcze spojrzenie, które sprawiło, że Francuz pochylił głowę.

- Milordzie, proszę o wybaczenie. Jestem pańskim pokornym sługą. Raleigha rozbawiły te komiczne przeprosiny Antoine'a, który rzadko zachowywał się służalczo, co zresztą wicehrabia bardzo w nim cenił. Francuz był nie tylko doskonałym sługą, ale i zabawnym człowiekiem i wicehrabia lubił się z nim przekomarzać.

Ale nie tego wieczoru. Nagle miał ochotę skrócić kark zarozumiałemu

Francuzikowi. Antoine najwyraźniej wyczuł jego nastrój, bo skłonił się nisko i wycofał w stronę drzwi.

- Prawdziwie angielski obyczaj ten cały pośpiech... i żona, co nie jest żoną. Czupiradło, które nie jest czupiradłem - powiedział po wyjściu z pokoju.

Raleigh potrząsnął w zdumieniu głową. Czuł niepojęty impuls, by chronić żonę. Było to dla niego nie znane uczucie, bo nigdy nie troszczył się tak naprawdę o nikogo. Zresztą jego siostra z pewnością nie potrzebowała opieki, bo dawno już nauczyła się lepiej niż on manipulować rodzicami i gardziła jego pomocą.

Uświadomił sobie, że Jane również go nie potrzebuje, jednak jest jej mężem, czy tego chciała, czy nie. A potem przypomniał sobie nagle, jak siedziała skulona na parapecie okna jego gabinetu, usiłując łapać zaproszenia, które rzucał w jej stronę. Wydawała się taka młodziutka, jakby była dziewczynką. Ślubował sobie, że nikt jej nigdy nie sprawi przykrości. Ani nie nazwie czupiradłem - choćby to nawet była prawda.

Z odchyłoną do tyłu głową rozmyślał nad słowami, jakimi pożegnał go Antoine. Prowadził płytkie życie, wypełnione towarzyskimi obowiązkami, grą w karty i przelotnymi znajomościami. Choć czasem dostrzegał to, czego inni nie chcieli widzieć - zwłaszcza w swoich związkach miłosnych - na co dzień nie studiował charakterów bliźnich, zwłaszcza rodzaju żeńskiego.

Kobiety, w których gustował, nie były zbyt skomplikowane, zadowalały się króciutkim flirtem, żartem, swoją kolejką w jego łóżku. Ale Jane była inna. Parę dni temu nie poświęciłby jej nawet jednej myśli, jednak od dnia ślubu zaczął traktować ją inaczej.

Ściągnął brwi. Jego żona mogła skrywać w sobie więcej, niż

przypuszczał. Skoro za parą grubych szkieł odkrył dwoje intrygujących, zielonych oczu, jakich nigdy nie spotkał u żadnej kobiety, miał prawo sądzić, że Jane ukrywa również inne skarby ducha i ciała.

Przy kolacji, choć małomówna, wydawała się bardziej harda niż nudna. Roześmiał się głośno, wspominając, jak zażądała od Pimperingtona, by rozstał się z monoklem. Rozbawiony, założył ręce za głowę. Stwierdził, że z przyjemnością myśli o dalszej wspólnej jeździe do Northumberland. Kto wie, czy to małżeństwo nie było właśnie sposobem na nudę, która go ostatnio dręczyła.

Uśmiechając się do siebie, bawił się myślą, że, na przekór wszystkiemu, Pospolita Jane potrafiła go jednak zainteresować.

Jane była tego ranka milcząca. Rozpamiętywała bez końca kłamstwa męża i zniewagi, jakie spotkały ją ze strony jego przyjaciela. Chociaż Raleigh czarował ją, jak mógł pomiędzy kolejnymi kęsami śniadania składającego się z dwóch dań, była zdecydowana nie poddać się jego uwodzicielskim manewrom.

Nawet siedząc z nim twarzą w twarz w powozie w drodze do Northumberland, zamierzała go ignorować. W tym celu wzięła z biblioteki londyńskiej rezydencji kilka książek, przedkładając lekturę nad udręki konwersacji z wicehrabią. Licząc na to, że mąż uszanuje jej skupienie, otworzyła jedną z nich, stosowną do jej nastroju, moralizującą przypowiestkę pióra Hannah More. Jednak spokój nie był jej pisany. Ledwie otworzyła książkę, jej mąż odezwał się kpiąco:

- Na Boga, skąd to wzięłaś?

Jane opuściła książkę i przeszła go karcącym spojrzeniem.

- Znalazłam ją, mój panie, w twojej własnej bibliotece.

- Zdawało mi się, że przeszliśmy już na mówienie sobie po imieniu... Raleigh lub Deverell. Albo po prostu Dev. Tak mówiła do mnie siostra, kiedy byliśmy mali - wyjaśnił. - To wcale nie jest moja biblioteka, tylko hrabiego - dodał. - Boże, co za brednie!

Powiedział to z tak komicznym wyrazem twarzy, że Jane z trudem udało się powstrzymać od śmiechu. Zmusiwszy się do powagi, zajrzała do tekstu.

- Gdybyś przeczytał tę książkę, nie znalazłbyś się w takim smutnym położeniu - oświadczyła patetycznie, starając się mówić jak jej ojciec, gdy upominał wiernych.

Raleigh pochylił się i wyjął książkę z jej ręki. Prychnęła gniewnie, kiedy wziął tom obleczoną w rękawiczkę dłonią, ale gdy smukłe palce musnęły jej rękę, nagle zabrakło jej tchu.

- „Rady dla poszukującego małżonki: ogólne obserwacje manier i nawyków gospodarskich, religijności i cnót”. Jane, to duby smalone. Naprawdę bierzesz to serio?

- A czemu nie? - spytała opryskliwie.

- Czemu? - Wertując stronicę, Raleigh przeczytał na głos fragment, w którym młody bohater indaguje rodziców ewentualnej małżonki. Tekst w zamiśle autorki miał być wzruszający i pouczający, ale w ustach Raleigha bohater zamieniał się w zadowolonego z siebie nudziarza. W dodatku wicehrabia czytał jego wypowiedzi falsetem i Jane z najwyższym trudem powstrzymywała śmiech.

Raleigh skończył i spojrzał na żonę, unosząc kpiąco brwi.

- Na Boga, nie powiesz mi chyba, że takiego męża byś chciała?

Z gniewnym grymasem na twarzy Jane wyszarpnęła mu książkę z rąk.

- Przyznaję, że może brzmi trochę... pompatycznie - powiedziała. -

Może to któreś z jej gorszych dzieł.

Ta anemiczna obrona Hannah More spotkała się z głośnym wybuchem śmiechu.

- Nie wiem, co w tym widzisz zabawnego. Ośmielę się powiedzieć, że mój drogi ojczulek na pewno pochwaliłby taki dobór literatury.

Raleigh zaśmiał się jeszcze donośniej.

- Literatury? Hannah More? Jane zaczerwieniła się.

- Ojciec mówi, że jest niestrudzoną bojowniczką o moralność.

Raleigh przestał wreszcie się śmiać i spojrzał na Jane z nieprzyzwoitym, jej zdaniem, błyskiem w oku.

- Chcesz powiedzieć, że twoja moralność jest na niskim poziomie? - spytał cicho.

Jane zadrżała i przez chwilę była zdolna tylko patrzeć na niego, czując gwałtowne bicie serca. Raleigh przymknął oczy, jego uśmiech nieco zbladł, a ona przyłapała się na tym, że przygląda się ustom męża.

Natychmiast odwróciła wzrok. Uniosła książkę na wysokość twarzy, uznając dyskusję za skończoną, jednak znów pojawił się palec w rękawiczce i pchnął tom do dołu. Nie miała innego wyjścia, musiała spojrzeć Raleighowi w oczy, chociaż wszystko się w niej buntowało przeciw takim manierom.

- Jestem pewien, że twój drogi ojczulek wolałby, żebyś czytała Homera lub Eurypidesa! - oświadczył. - Czyż nie jest znawcą starożytnej Grecji?

Zapomniała, że doskonale znał jej rodzinę i upodobania jej członków.

- Do pewnego stopnia, ale tak naprawdę to Charlotte i Max są prawdziwymi wielbicielami antyku - powiedziała, ponownie podnosząc książkę.

- A ty nie?

Z głośnym prychnięciem zatrzaskała książkę.

- Słabo mi się robi od tego całego Plutarcha i jemu podobnych! - wykrzyknęła, chcąc sprowokować wicehrabiego.

To nie był jednak Max, tylko Raleigh. Roześmiał się, jakby jej słowa sprawiły mu przyjemność.

- I słusznie! Wygląda na to, że mamy ze sobą coś wspólnego. Kiedy twoja siostra i jej mąż zaczynają jedną ze swoich zawiłych dysput, zasypiam.

Rozparł się leniwie na siedzeniu, w jego błękitnych oczach czały się iskierki humoru, kąciki ust drgały z rozbawienia i Jane całym wysiłkiem woli musiała powstrzymać się, by nie odpowiedzieć mu uśmiechem. Przygryzła dolną wargę. Powinna unikać jego towarzystwa, uznała. Tak jak należy unikać wina, słodyczy i luksusu - oraz żądz, gniewu i zawiści. Powściągliwość. Ćwiczyła tę cnotę przez całe życie, a teraz powinna ją zastosować w kontaktach z mężem. Sapnąwszy zniechęcająco, jeszcze raz otworzyła książkę.

- Będę ci musiał dobrać lekturę - odezwał się nie zrażony tym Raleigh. - Coś bardziej stosownego dla młodej mężatki niż te beznadziejne nudy. - Tylko on potrafił złożyć podobną propozycję tonem sugerującym, że jego wybór będzie z pewnością niestosowny. Zignorowała go.

- Jane...

Nachmurzyła się. Musiała walczyć z sobą, by nie poddać się jego urokowi.

- Tak? - zapytała, nie podnosząc wzroku.

- Chciałem przeprosić cię za Pimperingtona - Jego słowa brzmiały szczerze, ale Jane, zasłonięta książką, nie dała po sobie poznać, że w nie

uwierzyła.

- Nie musisz. Masz prawo wybierać sobie przyjaciół i zapraszać ich na obiad, kiedy zechcesz - odparła, udając, że nie rozumie, o co mu chodzi.

- Wierz mi, on jest nieszkodliwy - powiedział Raleigh. - Jest przygłuchy i dlatego mówi tak głośno. Do tego jest trochę nieogłodzony, stąd jego bezmyślne i nieuprzejme uwagi, że przypominasz guwernantkę. Jeśli jednak nadal będziesz się upierać przy swoich strojach, więcej osób może popełnić podobny błąd.

Jane zaczęła ogarniać wściekłość. Raleigh usiłował ją obarczyć winą za naganne zachowanie swojego przyjaciela.

- W moim stroju nie ma nic niewłaściwego - stwierdziła sztywno.

Raleigh roześmiał się.

- Przyznaj się, Jane, że specjalnie wybierałaś ciemne kolory, żeby wyglądać jak w żałobie!

Kolejny raz zatrzęsnęła książkę. Nikt jakoś dotąd nie krytykował jej strojów, oczywiście oprócz Charlotte, która była przyzwyczajona do drogich sukien, podkreślających jej urodę.

- Noszę to, co jest dla mnie stosowne - oświadczyła. Czyż Sarah nie mówiła zawsze, że nie ma sensu stroić wróbla w pawie pióra?

- Rozumiem, ale teraz jesteś wicehrabiną i możesz nosić coś więcej niż czerń, szarość i brąz - powiedział Raleigh. Zanim zaprotestowała, dodał:

- A co się tyczy Pimperingtona, to choć, jak zapewne zauważyłaś, mówi głośno i bez zastanowienia, jest porządnym człowiekiem. Kiedy zaś brakuje mu pieniędzy, znajduje jakiś pretekst do wizyty, żeby go nakarmić.

Jane poczuła niechętny podziw dla męża. Słusznie czynił, karmiąc Pimperingtona, choćby tamten był odrażającym potworem. Była pewna, że jej ojciec gorąco poparłby takie zachowanie. Zaczęła się zastanawiać, czy

aby Raleigh w rzeczywistości nie dbał o coś więcej niż węzeł fularu.
Spojrzała na niego uważnie.

- Sam często bywałem w takiej sytuacji i musiałem zdać się na pomoc przyjaciół - przyznał z łobuzerskim uśmiechem. Podziw Jane zniknął. A więc to wyjaśniło jego nagłe miłosierdzie! Zrobiło jej się niedobrze na myśl, że ten bogaty, rozpieszczony dandys wyłudzał posiłki od przyjaciół. Uosabiał sobą wszystko co najgorsze.

- Proszę, zamilcz! - zawołała, kryjąc się kolejny raz za książką. To, że jej najgorsze podejrzenia na temat Raleigha się sprawdziły, wcale jej nie pocieszyło. Przeciwnie, pragnęłaby, żeby jej mąż był innym człowiekiem, takim, który nie kłamie, nie trwoni pieniędzy i nie podziwia się w lustrze.

- Co się dzieje, Jane? Nie mów mi, że wciąż się gniewasz na Pimperingtona. To wcale nie jest taki potwór!

Jane starała się opanować, ale wzburzenie sprawiło, że powiedziała z gniewem:

- To nie moja sprawa, gdzie lubisz się stołować. Jednak nie zamierzam tolerować banialuk na mój temat!

- Chętnie ci przypomnę - odparła, odkładając na bok powieść Hannah More. - Wmawiałaś swojemu przyjacielowi, że od dawna ci się podobałam, co nie jest prawdą! Mogę tolerować wiele rzeczy - dodała, obrzucając niechętnym wzrokiem jego wymuskaną postać - ale żądam uczciwości między nami.

Ale on, zamiast spłonąć ze wstydu, rozparł się tylko wygodniej na siedzeniu.

- A skąd ta pewność, że mi się nie podobałaś? - spytał z uśmiechem.

Jąkając się z oburzenia, Jane oświadczyła:

- Nie jestem jedną z twoich... licznych miłostek, milordzie, proszę

więc nie traktować mnie w ten sposób! Nie uwierzysz może, ale twoje zaloty nie robią na mnie najmniejszego wrażenia!

Raleigh westchnął dramatycznie.

- Wiem, moja droga, ale nie możesz mieć mi za złe, że nie rezygnuję.
- Na jego policzkach pojawiły się dołeczki, w oczach zamigotał błysk przekory.

Jednak Jane nie zamierzała się poddać. Wzruszyła zirytowana ramionami.

- Cóż, nie wątpię, że to dla mojego dobra i że pojawiłaś się w moim życiu, żeby nauczyć mnie pokory - powiedział pozornie pojednawczym tonem. - Ale nie możesz mi mieć za złe tego, co powiedziałem Pimperingtonowi. Musiałem mu coś powiedzieć. To jeden z największych plotkarzy, a ja nie życzę sobie żadnych domysłów na temat naszego małżeństwa. Zrobiłem to, żeby cię chronić, Jane.

- Tak tylko mówisz - odparła, sznurując usta. Okazał się kłamcą, jak więc mogła poznać, kiedy mówi prawdę? Lepiej być ostrożną w ocenie. - Nie wiem, po co się tak wysilałeś - dorzuciła wyniośle. - Nikt ci i tak nie uwierzy.

- Nie byłbym tego taki pewien - odparł. Jego ton sprawił, że podniosła oczy, lecz szybko odwróciła wzrok, widząc rozbawienie na jego twarzy. Łajdak bez serca! Wzięła do rąk książkę, jednak uwagi męża odebrały jej całą przyjemność lektury. Młody bohater powieści odtąd zawsze będzie przemawiać kpiącym głosem Raleigha.

Tak więc przez resztę dnia jechała na północ, nie mogąc wyzwolić się z gniewu. Podróż upłynęła bez większych niespodzianek. Raleigh chyba zrozumiał jej życzenie, gdyż jechał wierzchem obok powozu, dopóki deszcz nie zmusił go, by ponownie dotrzymał jej towarzystwa.

Jane nie wiedziała, co było gorsze. Gdy go nie było, luksusowe wnętrze wydawało się puste i niewygodne, a jazda nużyła ją, kiedy nie przekomarzał się z nią przyjaźnie. Wbrew sobie wciąż odkładała lekturę, by zerknąć przez okno, czy nie widać męża, bez którego dzień wydawał się mroczny, a powietrze chłodne.

Ale kiedy był przy niej, czuła się rozdrażniona jego nieustającym dobrym humorem. Nie lubiła jego żartobliwego tonu, nienagannej garderoby i przede wszystkim kpiącego błysku w oku, który nie oszczędzał nikogo - z nim samym włącznie. Wprawdzie wmawiała sobie, że Raleigh, mimo wszystkich swoich wad, był lepszym towarzyszem niż pokojówka, i że jego towarzystwo było lepsze niż żadne, jednak nękało ją dziwne niezadowolenie.

Być może to warunki podróży wprawiły ją w zły humor, a może fakt, że jej spokojne życie nagle legło w gruzach. Jednak jakkolwiek by na to patrzeć, wyszła za mąż za nieodpowiedniego człowieka, którego nie interesowała pod żadnym względem.

W każdym zajeździe dostawała wspólny pokój z pokojówką i z przerażeniem uświadomiła sobie, że tak będzie odtąd wyglądać jej małżeństwo. Pomimo żartobliwych uwag Raleigh nie mógł widocznie zmusić się do tego, by spłodzić z nią dziedzica. Choć Jane ignorowała jego zaloty, a nawet przysięgła sobie, że się im nigdy nie podda, zastarzała gorycz wciąż powracała, przypominając, że nie jest zdolna zdobyć serca jakiegokolwiek mężczyzny.

Choć ta myśl jak bolesny refren nie milkła w jej głowie, gdy leżała samotnie w obcym łóżku w ciemnościach, pocieszała się, że nie ma to znaczenia. Tym razem już nie, bo tym razem to ona nim gardziła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po trwającej wiele dni wyczerpującej podróży Raleigh z ulgą przyjął fakt, że zbliżają się wreszcie do celu, choć okolica wydawała mu się raczej mało przyjazna. Tylko on mógł odziedziczyć majątek tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, rozmyślał posepnie, rozglądając się po rozległych wrzosowiskach i łąkach u podnóży Penninów.

- Diabelne pustkowie, nie uważasz? - mruknął, choć nie spodziewał się żadnej odpowiedzi. Jane od dawna traktowała go jak powietrze, a wszystkie jego wysiłki, żeby ją rozchmurzyć, spełzały na niczym.

Zasepił się. Jeśli chciał się czuć nikim - wystarczyło, by odwiedził rodziców. Fakt, że był przykuty do żony, która wywoływała w nim podobne uczucia, uznał za złośliwość losu. Tego samego losu, rozmyślał ponuro, który obdarował go dworem w tej zapadłej dziurze.

Zadrzał na myśl o pustych wrzosowiskach i wietrze hulającym z taką siłą, że powóz kolebał się na wszystkie strony. Powinni byli zostać tam, gdzie zajechali wieczorem na kolację, w ponurym zajeździe „Pod Cierniem i Różą”, na krańcu ostatniej wioski. Ale dowiedziawszy się, jak niewiele drogi pozostało im do Craven Hall, Raleigh rozkazał woźnicy ruszać natychmiast, by nie spędzać nocy w podupadłym zajeździe.

Teraz, kiedy zapadł zmierzch, pożałował swojej pochopności i przeklinał ludzi zebranych przy szynkwasiu, którzy skłonili go do takiej decyzji. Dostatecznie często bywał w tarapatach, by nauczyć się ufać swoim instynktom, a coś w zajeździe „Pod Cierniem i Różą” i jego gościach budziło w nim niedobre przeczucia.

Tubylcy wydawali się ostrożni i mniej przyjaźni niż w innych miejscach po drodze, gdzie wypatrywano podróżnych i nowin z dalekiego świata. Zapytani o Craven Hall, mamrotali pośpiesznie wskazówki, po czym odwracali się tyłem do Raleigha i rozpływali w tłumie ziomków. Nie wiedział, jak ma rozumieć ich zachowanie.

- Diabelnie dziwny naród - powiedział do Jane. - Ile razy pytałem o Craven Hall, spuszczały oczy i szeptały coś między sobą. Myślałby kto, że pytam o zamek Frankenstein! To miejsce jest pewnie tak upiorne, że boją się o nim mówić, a co dopiero je odwiedzać!

- Z pewnością przesadzasz - odparła Jane, nie podnosząc oczu znad lektury.

- Ani trochę - obruszył się Raleigh. - Słowo daję, nigdy nie widziałem tak osobliwych spojrzeń. To było naprawdę niesamowite!

- Pewnie poraziłeś ich swoim jaśniepańskim blaskiem - stwierdziła Jane cierpko. - Sam twój surdut mógł ich oślepić...

Raleigh roześmiał się, ucieszony rzadkim przejawem humoru Jane, choć jego ostrze skierowane było przeciwko niemu.

- Wiem, że wzbudzam podziw, i cieszę się, że wreszcie to dostrzegłaś - powiedział. - Boję się jednak, że ich reakcje były bliższe przerażeniu niż podziwowi. Te ich ponure spojrzenia i wymowne milczenie... Niewątpliwie mój wuj Cornelius nie cieszył się wśród nich zbyt wielką sympatią.

Zapewne łupił wieś do cna, pomyślał, zdecydował się jednak zachować to podejrzenie dla siebie.

- Dni feudalnych przywilejów mamy już za sobą. Co mógł według ciebie zrobić, by zasłużyć sobie na taką niechęć? - spytał od niechcienia.

- Pewnie trzymał się z dala od wszystkich. Niektórzy nie ufają ludziom mniej od nich towarzyskim - odparła Jane ze znaczącym

spojrzeniem.

Raleigh roześmiał się, rozczulony tą zawołaną próbą skarcenia go. Musiałaby zdobyć się na wiele więcej, by dorównać, reprimendam, jakich wysłuchiwał od rodziców.

- Prawdopodobnie masz rację - odparł lekko. - Z pewnością tym właśnie ich uraził. Ludzie z okolicy mieli do niego pretensję, że nie spotykał się z nimi nad szklanicą piwa.

Jane zmarszczyła brwi, szykując się do ostrej riposty, ale on spojrzał w okno i zawołał:

- Dobry Boże, spójrz tylko na to!

Za oknem, nad płataniną powykręcanych dębów, jak zły sen wyrastała piramida żółtoszarych kamieni. Budowla powstała w epoce Tudorów, ale w ciągu lat przybyło jej doklepanych na chybił trafił przybudówek, które odzwierciedlały każdy możliwy styl, jaki pojawił się od tamtych czasów.

Dwie kondygnacje okien z kolumnkami przeplatały się z niezliczonymi ozdobnymi występami w murze. Pochyły dachy sąsiadowały z blankami. Do budowli doczepiona była niesymetrycznie ośmiokątna wieża, wyrastająca z czegoś, co przypominało oranżerię. Po tym wszystkim, aż po kominy, pięła się ciemna, ciernista roślina, przypominająca liszaj.

- Cóż za monstrum - wzdrygnął się Raleigh. - Mieszanina wszystkich koszmarnych stylów, jakimi architekci amatorzy szpecili krajobraz przez stulecia. Z pewnością rozsypie się, kiedy tylko naciśniemy kłamkę. - Przymknął oczy i odchylił głowę, jakby chciał przegonić upiorną wizję. Zważywszy na pech, jaki go ostatnio prześladował, liczył się z czymś okropnym, ale najbardziej ponure wizje nie dorównywały rzeczywistości.

Nigdy nie widział równie brzydkiej budowli.

- Na pewno daleko mu do doskonałości - odezwała się Jane. - Trzeba

tu włożyć sporo pracy. O tutaj, popatrz! Paru silnych mężczyzn potrafiliby odrestaurować te kamienne lwy i tę uroczą, starą bramę.

Uroczą? Czy cokolwiek w Craven Hall było urocze? Raleigh otworzył oczy i ujrzał bramę wejściową, pozarastaną przerażającym zielskiem, bardzo stosownym dla rudery, którą ziemia powinna pochłoniąć.

A ta rudera była jego własnością.

Przez długi czas po prostu patrzył na ohydną budowlę wznoszącą się na pustkowiu. Wokół mrocznego kształtu fruwały liście i trawy.

- Przeklęci Holroydowie. Tylko moja matka ma jakie takie poczucie stylu, i to też nie zawsze - mruknął.

Nagle uprzytomnił sobie, że Jane patrzy na niego uważnie. Widocznie nie zachowywał się w jej oczach stosownie, ale w jej postawie kryło się coś więcej niż potępienie, do którego już przywykł - wyczuł w nim odcień goryczy, która go zastanowiła. Chyba nie spodobało jej się Craven Hall? Z wysiłkiem odrzucił myśl, by zawrócić tam, skąd przybył, i wysiadł z powozu.

Kiedy pomagał Jane wysiąść, nagły podmuch o mało nie przewrócił go na ziemię. Wiatr z potępieńczym wyciem szarpał ich peleryny i próbował zedrzeć Jane czepek z głowy, gdy biegła w stronę schodów frontowej, północnej strony dworu. Raleigh niepewnym krokiem stąpił po wszędobyłskim pnączu, które oplótło cały budynek.

Kiedy wreszcie dotarli do drzwi, wydał z siebie westchnienie ulgi, była to jednak krótkotrwała ulga, gdyż stukanie ozdobną kołatką w kształcie wilczej głowy nie wzbudziło żadnego oddźwięku. Raleigh czuł się bardzo nieswojo, patrząc w oczy mosiężnego zwierza.

- To pewnie drobiażdżek, którym stary Cornelius odstraszał gości - mruknął.

- Co? - zapytała Jane, walcząc zawzięcie o zachowanie nakrycia głowy. Niechby wiatr je porwał, pomyślał Raleigh, ale nic nie powiedział. Spojrzawszy za siebie, zobaczył Antoine'a i francuską pokojówkę Jane, którzy, wysiadłszy z drugiego powozu, zachowując pełen szacunku dystans, kulili się z zimna. Z dworu nadal nie nadchodziła żadna odpowiedź.

- Myślisz, że dom jest opuszczony? - krzyknęła Jane.

- Nie wiem, ale najwyżej się włamiemy - odparł. Gestem ręki nakazał jednemu ze swoich stangretów, by obszedł dom dokoła, i już miał zawrócić wszystkich do powozów, gdy masywne drzwi otwarły się nagle, odsłaniając wielką czarną dziurę. Widok ten zbił go w pierwszej chwili z tropu, zaraz jednak uświadomił sobie, że podmuch wiatru musiał pogasić wszystkie światła we wnętrzu. Ale czemu na ścianach nie było świeczników, a u sufitu kandelabrow? Skoro taka pogoda zdarzała się tutaj często, służba powinna być na to przygotowana.

Ale gdzie była ta służba? Raleigh odniósł niemiłe wrażenie, że drzwi otworzyła jakaś nadprzyrodzona siła, jednak po chwili z ciemności odezwał się kobiecy głos, chłodny i nieprzyjazny:

- Kto przybywa do Craven Hall?

- Dobry Boże - mruknął Raleigh. Tylko on mógł odziedziczyć to ponure domiszcze, wypełnione upiorami służących. Odetchnął głębiej i siłąc się na wielkopański ton, powiedział: - Wicehrabia Raleigh, nowy właściciel. Pokaż się - zażądał, mimowiednie oczekując, że w ciemnościach rozjarzy się świetlista plama.

Jednak postać, która pojawiła się w drzwiach, była kobietą z krwi i kości, a nie nadprzyrodzoną istotę.

- Gospodyni Graves - przedstawiła się z namaszczeniem. - Witaj w Craven Hall, milordzie.

Zapaliła latarnię, knot zapłonął, rozpraszając niewielki skrawek spowijających wejście ciemności. Błady połysk oświetlał kościstą dłoń gospodyni i głębokie cienie pod jej oczami. Ta kobieta, pomyślał Raleigh, wygląda na tak ponurą i skwaszoną, że Jane wydaje się przy niej uosobieniem radości życia. W bezkrwistej, bladej twarzy gospodyni uwagę zwracały gęste, czarne brwi. Kąciki jej ust opadały w dół w grymasie cierpienia. Cała ta scena ma w sobie coś niebywale teatralnego, pomyślał Raleigh.

- Z bardzo kiepskiego teatru - mruknął do siebie, przekraczając próg domu. Jane szła tuż za nim.

Natychmiast otoczyły ich ciemności, poczuli też wyraźną woń stęchlizny. Raleigh skrzywił się i zaczął się zastanawiać, czy jego wuj nie zapisał mu tego domiszczka tylko po to, by torturować go za jakieś krzywdy rodzinne. A skoro tak, nie zamierzał postąpić ani kroku dalej. Miał już odwrócić się, gdy nagle rozbłysło światło i zaczęło wędrować w ciemnościach. Pani Graves ruszyła przodem.

- Przygotowałam dla państwa apartament - rzuciła przez ramię.

Raleigh, stojąc w miejscu, patrzył, jak Jane rusza w ślad za nią. Już otworzył usta, by zaprotestować, ale zrezygnował. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko pójść ich śladem. W miarę jednak, jak kolejnymi korytarzami zagłębiali się w labirynt domu, jego pierwsze wrażenie pogłębiło się. Nie oczekiwały ich przyjazne, oświetlone pomieszczenia; przez uchylone okna nie napływało świeże powietrze. Napotykali jedynie ciemność.

- Na Boga - zwrócił się do Jane - jeśli cały budynek jest w takim stanie, zaraz stąd wyjeżdżam...

- Pomieszczenie, które przygotowałam, na pewno państwa zadowoli -

powiedziała pani Graves.

- Z pewnością zadowoli miejscową populację gryzoni - mruknął Raleigh. Jego ramię otarło się o coś i zaczął kląć szeptem. Był bardzo wymagający. Kapał się co dzień. Antoine utrzymywał jego garderobę w nienagannym stanie, on sam zaś dbał o swe ciało i pielęgnował je starannie.

Tu jednak pakuje się w Bóg wie co, myślał z obrzydzeniem, strząsając z siebie coś, co mogło być pajęczyną. Zatrzymał się.

- Pani Graves - odezwał się, naśladowując ton swego ojca - prosiłbym o zapalenie jakichś lamp czy świec, żebyśmy mogli cokolwiek zobaczyć, zanim poskręcamy sobie karki.

W odpowiedzi na jego słowa ochmistrzyni zatrzymała się i odwróciła, oświetlając pokój latarnią. Oczom osłupiałego Raleigha ukazał się przerażający widok: krzesła i stoły zavalone książkami, czasopismami i różnymi przedmiotami, poplamiony, wydeptany dywan, wreszcie, przetarte firanki, które łopotały w przeciągu.

To miał być jego spadek?

- Prawdę mówiąc, wolałbym tego chyba nie oglądać - mruknął.

- Obawiam się, że nie ma zbyt wielu świec ani oliwy, bo w domu się nie przelewa - powiedziała kwaśno gospodyni.

Nie ma pieniędzy, ale z pewnością są długi, pomyślał zrezygnowany Raleigh. Gdyby nie obecność Jane, upadłby chyba na kolana i zapłakał jak dziecko.

- Obawiam się, że nie będziemy mogli tu zostać, jeśli nasze pokoje nie będą przyzwoitsze od tego, co tutaj widzimy - oznajmił, trzęsąc się na myśl o zarobaczonej pościeli i butwiejącym tynku.

- Przygotowałam dla państwa apartament - powtórzyła pani Graves ze stoickim spokojem. Raleigh pomyślał, że chyba jest głucha albo ograniczona

umysłowo.

- A co ze służbą? Czy też dostaną odpowiedni nocleg? - spytał, nie ruszając się z miejsca. Pani Graves znów odwróciła się do niego. Była starsza, niż mu się wydawało: miała siwe włosy, upięte w ciasny węzeł. Cienie padające na twarz nadawały jej wygląd upiora.

- Nie - odparła.

- Co to znaczy? - spytał Raleigh zaskoczony.

- Nie mamy dla nich miejsca - oświadczyła pani Graves.

- Oprócz stangretów mamy ze sobą kamerdynera i pokojówkę. Na pewno coś się dla nich znajdzie - powiedział.

- Może w skrzydle bocznym? Albo w piwnicy?

Żaden mięsień nie drgnął w twarzy pani Graves.

- Piwnica nie nadaje się do użytku, milordzie - oznajmiła spokojnie.

- Gdzie wobec tego sypia służba? - spytał oszołomiony Raleigh.

- Nie ma tu żadnej służby poza mną. A reszta domu nie jest w dostatecznie dobrym stanie. Może za parę dni...

Urwała i zamarła, jakby oczekiwała na wyrok.

- Ależ miała pani dość czasu, żeby przygotować się na nasz przyjazd!
- wybuchnął.

- Nie mieliśmy pieniędzy, milordzie, a cała służba odeszła dawno temu.

Było jeszcze gorzej, niż przypuszczał. Choć strudzony podróżą, wiedział, że nie mogą pozostać w tym miejscu.

- Pożałowania godna sytuacja - oświadczył. - Ale nie ja tu zawiniłem i nie zamierzam ponosić konsekwencji. Nie mam zamiaru narażać mojej żony na nocleg w... kostnicy!

Był zdegustowany, rozczarowany i nawet trochę speszony faktem, że

Jane musi oglądać ten jego mało zachęcający spadek. Były to obce mu z gruntu uczucia. Wieleby dał za to, żeby znaleźć się z powrotem w Londynie, w miłej kompanii, z butelką.

Jane, jakby wyczuwając jego zdenerwowanie, przysunęła się bliżej i Raleigh ze zdumieniem poczuł uścisk jej dłoni na ramieniu. Spojrzał w dół i zobaczył dłoń w rękawiczce, zaciskającą się na rękawie jego płaszcza. Nagle zakreśliło mu się w głowie. Uświadomił sobie, że Jane nigdy jeszcze nie wykonała takiego gestu. Uniósł wzrok ku jej twarzy. Poświata latarni złagodziła jej rysy, a całą postać czyniła delikatną i kruchą. Jego żona wydała mu się nagle równie nierzeczywista jak otoczenie. Miał dziwne uczucie, że są sami w ciemnościach. Zapragnął pogłaskać ją po policzku, poczuć jedwabistość jej skóry.

- Może powinieneś odesłać służbę do zajazdu? - spytała Jane.

- A to co znowu? - zirytował się. - Może wszyscy powinniśmy wrócić do zajazdu albo jechać przed siebie tak długo, dopóki nie zostawimy za sobą hrabstwa Northumberland! - zawołał z gniewem.

- Przygotowałam apartament dla państwa - powtórzyła raz jeszcze pani Graves.

- Serdeczne dzięki - odpalił. Zaczął się zastanawiać, czy nie jest to otwarty grób, który ta upiorna istota naszykowała pod spróchniałą podłogą. Poprzysiągł sobie, że nazajutrz każe całe to miejsce zrównać z ziemią. Jego ojciec, chociaż dusigrosz, na pewno w końcu zgodzi się pokryć te wydatki. Westchnąwszy, nachylił twarz do twarzy żony.

- Jane, tutaj straszy. „Pod Cierniem i Różą” nie jest bardzo daleko stąd. Możemy tam przenocować.

- Przecież tam też ci się nie podobało - powiedziała.- Jestem zmęczona. Odpocznijmy tutaj, a rano pošlemy po służbę. Obejrzymy całość

zaraz po przebudzeniu. Jestem pewna, że wszystko wyda się lepsze w świetle dnia - zapewniła z powagą.

- Doceniam twój optymizm, Jane, ale jeśli tu przenocujemy, możemy zostać pogrzebani pod tą ruiną - szepnął.

- Bzdura! - Odparła. - Te mury stoją tu od stuleci i na pewno są mocniejsze od murów plebanii. Po prostu wewnątrz jest zaniedbane, brudne i zagracone. Wystarczyłoby tu tylko sprzątnąć.

- Myślę, że kula armatnia zrobiłaby tu najlepszy porządek - mruknął do siebie Raleigh, rozglądając się ponad ramieniem Jane.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Craven Hall w świetle dnia okaże się jeszcze gorszą ruiną, kiedy jednak zwrócił się do żony, by podzielić się z nią tą uwagą, coś go powstrzymało. Nie wiedział, skąd to wie, ale nagle poczuł, że pozostanie w tym koszmarnym miejscu jest dla niej bardzo ważne. Ponieważ ślubował sobie, że będzie starał się sprawiać jej przyjemność, nie miał innego wyjścia, jak ustąpić, choć nie miał pojęcia, co jej się tak tu podobało. Może była po prostu zmęczona, ale czuł, że chodzi o coś więcej. Czyżby w głębi ducha była romantyczką? Ta myśl go rozbawiła, jak również pomyślał, że Craven Hall mogło się komuś wydawać romantycznym miejscem.

Wzruszył ramionami.

- W porządku. Jeśli przeznaczony dla nas „apartament” nadaje się do zamieszkania, odeślę służbę do zajazdu. - Z ukłonem uwolnił się od jej dłoni, zaraz jednak wziął Jane za rękę i wsunął ją sobie pod pachę. - Ale kiedy ich odeślemy, zostaniesz wyłącznie pod moją opieką - uprzedził.

- Mury na pewno nie padną - zapewniła go z przekonaniem.

Uśmiechnął się pod nosem, bo jej odpowiedź przypominała mu o jeszcze innych barierach, które mogłyby paść, jednak nie dał się ponieść tym

myślom.

- Wobec tego, moja droga, ruszajmy do naszego apartamentu! -
zawołał.

Pani Graves, bynajmniej nie rozbawiona, poprowadziła ich dalej.
Jane rozejrzała się po niewielkim pokoju. Według niej był bez
zastrzeżeń. Jego ściany wyszorowano do czysta i nie pokrywał ich pył,
gotów osypać się przy najlżejszym podmuchu.

Meble były stare, ciemne i ciężkie. Wśród nich królowało wielkie
łóżko. Kiedy Jane zorientowała się, że pościel została już przygotowana,
oblała się nagłym rumieńcem. Gdy ochmistrzyni powiedziała „apartament”,
wyobraziła sobie dwa osobne pokoje.

Natychmiast pożałowała, że namawiała Raleigha, by z nią został,
choć intencje miała dobre. W przeciwieństwie do wicehrabiego, odbierała
to miejsce jako źródło energii i dobrych mocy. W świetle zmierzchu
dostrzegła kulika wypatrującego gniazda i ogarnęła ją fala podniecenia.

Rozległe przestrzenie Craven Hall miały dla niej urok, którego nie
umiała wyjaśnić ani sobie samej, ani tym bardziej swojemu mężowi. Raleigh
cenił wyłącznie powierzchowne piękno, obce surowej urodzie
Northumberland. Jane poczuła tajemniczą więź łączącą ją z tą krainą, a na-
wet z samym dworem, który wydawał jej się romantyczny i fantastyczny.
Poczuła w sobie naiwny poryw. Musi ożywić Craven Hall, przywrócić je do
życia, tak jak przywracała do życia zaniedbane ogrody.

Oczywiście dwór nigdy nie stanie się podobny do nienagannie
utrzymanego Westfield Park, w tym jednak tkwiła jego osobliwość.
Raleighowi na pewno nie spodoba się ten pomysł, stwierdziła.

Nadal nie miała pojęcia, dlaczego jej mąż zgodził się zostać na noc w
tym mrocznym, ponurym budynku. Kiedy mu powiedziała, że wszystko

będzie lepiej wyglądać nazajutrz, skrzywieniem warg dał jej znać, że jest odmiennego zdania. A jednak...

Przez chwilę miała wrażenie, że na całym świecie istnieje tylko ich dwoje, poczuła ciepło jego silnej ręki w swojej dłoni.

Nerwowo uniosła drżący palec, by poprawić niesforny kosmyk. Błękitne oczy wicehrabiego zdawały się posyłać jej serdeczne spojrzenie. Gdzieś znikła jego zwykła ironia. Co jednak pomyśli sobie teraz? Czy z litości zgodził się na takie rozwiązanie kwestii noclegu?

Na myśl o tym zrobiło jej się niedobrze. Pani Graves zapaliła wysoki, staroświecki świecznik i stała teraz w milczeniu przy drzwiach. Jane odwróciła się i z westchnieniem ulgi zobaczyła, jak Raleigh wtyka głowę przez drzwi, pomysłowo przysłonięte freskiem na ścianie.

- Garderoba z kozetką - oświadczył, puszczając do niej oko. Jane popatrzyła na niego, nie wiedząc, czy powinna odczuć ulgę, czy nie. Prawdopodobnie wolał spać na kozetce niż z nią, ale przecież o to jej właśnie chodziło, prawda? Podeszła do okna i odsunęła ciężkie, stare kotary, by ochłodzić twarz powiewem tłukącej w okiennice wichury. Po dniach podróży i nocach spędzanych w różnych dziwnych miejscach czuła się zmęczona i musiała wypocząć, by odzyskać jasność myślenia. Może rzeczywiście nazajutrz wszystko będzie wyglądać lepiej.

- Pani Graves, proszę zawiadomić służbę, że ma wrócić na noc „Pod Cierń i Różę” i zjawić się tu rano - powiedział Raleigh. - Jeden ze stangretów niech przyniesie tu nasze kutry.

Nie skinąwszy nawet głową, ochmistrzyni wyszła z pokoju. Zapadła niezręczna cisza. Niejednokrotnie zostawali sam na sam z Raleighem, jednak nie w sypialni, przynajmniej nie od czasu brzemiennej w skutki nocy w domu Wycliffe'a.

- Na Boga, spójrz na mój płaszcz! - wykrzyknął nagle Raleigh.
Odwróciła się od okna. Stał z wyciągniętą ręką, z komicznym przerażeniem na twarzy. Zrobiła krok do przodu i zobaczyła grubą warstwę pyłu na rękawie jego eleganckiego granatowego płaszcza.

- To tylko odrobina kurzu - zbagatelizowała.
- Odrobina? To cała hałda kurzu! Mój płaszcz jest zniszczony!
- Wyszczę ci go - obiecała Jane z westchnieniem. W chwilach takich jak ta miała wrażenie, że rozmawia z jednym ze swoich braciszków, a nie z dorosłym mężczyzną.

- Odesłałem kamerdynera. Kogo mam prosić, żeby mi go wyczyścił? Panią Upiorną? Nie, dziękuję! Nie życzę sobie, żeby dotykała moich rzeczy. Gotowa namoczyć go w siarce!

- Zajmę się tym - westchnęła ponownie Jane.
- Ty? - Posłał jej niedowierzające spojrzenie. Jane energicznie skinęła głową.

- Owszem. Sądzę, że doskonale poradzę sobie z męskim płaszczem, skoro przez lata prowadziłam gospodarstwo ojcu.

- Co...? No tak, racja - przyznał niechętnie. - Doskonale, tylko że to jest jeden z najdelikatniejszych Westonów. .. Musisz bardzo uważać - poinstruował ją. - Pomożesz mi go zdjąć? - Odwrócił się. Jane wspięła się na palce, by sięgnąć do jego ramion.

Na końcu języka miała już cierpką uwagę na temat niestosownej obcisłości płaszcza, jednak słowa zamarły jej na wargach, gdy tylko dotknęła pleców męża. Chociaż asystowała wielokrotnie ojcu przy rozbieraniu, to było coś zupełnie innego. Raleigh był o wiele wyższy i szerszy w ramionach, a jego ciało promieniowało ciepłem, które rozchodziło się po jej dłoniach.

Zsuwała płaszcz z jego muskularnych ramion, czując dziwny niepokój. Potargane wiatrem jasnobrązowe kędziory wicehrabiego muskały wysoki, sztywny kołnierz. Jane przyłapała się na tym, że jej wzrok wędruje dalej, tam, gdzie haftowany surdut obejmował talię jej męża, uwypuklając jego zgrabną sylwetkę.

Odetchnęła głębiej i cofnęła się nagle o krok, przytłoczona emanującą z niego męskością. Potrząsnęła lekko głową, kiedy odwrócił się w jej stronę. Pozbawiony modnego odzienia, wyglądał bardziej jak zwykły człowiek, a jeszcze bardziej jak mężczyzna. Śnieżnobiała lniana koszula lekko wydymała się na jego ramionach, kamizelka obciskała smukłe ciało.

Wyglądał jak młody bóg.

- Nie połam mi kołnierza! - zawołał.

Jane, przestraszona, spojrzała na swoje dłonie zaciskające się na jego płaszczu, a potem odetchnęła z ulgą. Jednak nie doszło do końca świata. To tylko dandys, który trzęsie się nad każdą zmarszczką na kosztownym fatałaszkę pomyślała z niechęcią.

- Będę uważać - obiecała.

- Dobrze. Dziękuję ci. - Westchnął. - W życiu nie widziałem równie paskudnej rudery - dodał.

- Wystarczyłoby tu tylko dokładnie posprzątać - oświadczyła.

Poczuła jego wzrok na sobie i spuściła głowę, żeby nie odczytał jej myśli. Ale właśnie przyniesiono kufry, co odwróciło uwagę wicehrabiego od Jane. Dwaj stangreci odstawili bagaże i pośpiesznie podążyli za panią Graves i jej latarnią. Bez wątpienia woleli nocować w stajniach niż we dworze. Jane wydawała się jedyną osobą, której odpowiadało Craven Hall.

Raleigh stał, obserwując ich przez chwilę, a potem odwrócił się i zatrzasnął drzwi.

- Ta kobieta wygląda jak jakaś zjawka z kart powieści lady Ravenscar - mruknął. - Może ona miałaby ochotę kupić ode mnie tę posiadłość? Gdyby zabrakło jej inspiracji, zawsze mogłaby sobie uciąć małą pogawędkę z panią Makabrą,

Tłumiąc śmiech, Jane sięgnęła do kufra po nocną koszulę.

- Kim jest lady Ravenscar? - spytała.

- Kto? A, Prudence. Pisze gotyckie powieści. Wyszła za mąż za mojego przyjaciela, Sebastiana, hrabiego Ravenscar. Wszyscy uważają, że to właśnie on jest pierwowzorem bohatera „Twierdzy na Krwawych Wrzosowiskach”. To był niezły skandal. - Zaśmiał się, rozbawiony tym wspomnieniem. - Słyszałaś oczywiście o niej?

W bibliotece siostry Jane natknęła się na egzemplarz „Twierdzy na Krwawych Wrzosowiskach”, ale nigdy tej powieści nie czytała. Teraz była z tego nawet zadowolona, gdyż zabolęła ją ciepła nuta w głosie męża, gdy mówił o autorce. To nie zazdrość, przekonywała samą siebie.

- Nie czytuję tych horrorów - oświadczyła z potępieniem w głosie.

- Na Boga, Jane, czy cokolwiek na świecie doczeka się twojej aprobaty? - spytał Raleigh z przygnębieniem, jakiego nigdy u niego nie widziała. - Nie męczysz cię to stanie bez przerwy na piedestale i spoglądanie z góry na nas, śmiertelników?

- Na nikogo nie spoglądam z góry - zareplikowała ostro Jane. Bo przecież to wszyscy inni patrzyli z góry na nią. „Biedna Pospolita Jane... Ta buzia nie przysporzy rodzinie fortuny!” Złapała koszulę nocną i ruszyła w stronę wielkiego, masywnego łóżka, patrząc spode łba na mężczyznę, który nie zamierzał jej towarzyszyć.

On również patrzył na nią ze zdumionym wyrazem twarzy

- Chcesz powiedzieć, że tylko na mnie patrzysz z góry? - spytał z

niedowierzaniem.

Jane, zmęczona, zła, miotana sprzecznymi emocjami, których nie pojmowała, wybuchnęła:

- Jeśli chcesz wiedzieć, uważam, że twoje ubranie, maniery, a nawet cała twoja natura są czcze i frywolne.

Raleigh przez chwilę stał nieruchomo, jakby musiał dojść do siebie po ciosie. Potem skłonił się lekko.

- Znaczy to, moja droga żono, że się znalazłaś w doborowym towarzystwie, jako że moi rodzice są identycznego zdania.

Zawstydzona swoim wybuchem Jane chciała odwołać pochopne słowa, ale Raleigh oświadczył:

- Myślę, że warunki do spania w garderobie o wiele bardziej odpowiadają moim upodobaniom.

Powiedział to lekko i z wdziękiem, jakby jej złośliwe uwagi nie dotknęły go w najmniejszym stopniu. Z pewnością niełatwo się czymś przejmował, pomyślała Jane. Czemu więc mimo to odniosła wrażenie, że jej bezmyślne uwagi zraniły głęboko ich oboje?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jane nie mogła zasnąć, dręczyło ją wspomnienie wieczornego wybuchu niezadowolenia. Jej ojczulek nauczał przecież chrześcijańskiego miłosierdzia; jak mogła się tak okropnie zachować wobec swojego bliźniego? Mimo swych wszystkich wad, Raleigh był dla niej zawsze uprzejmy, zgodził się nawet spędzić noc w Craven Hall, by spełnić jej życzenie. A teraz spał na niewygodnej kozetce, pozbawiony usług kamerdynera. Mimo to, jeśli nie liczyć marudzenia z powodu płaszcza, ani razu się nie poskarżył.

Czemu więc w porę się nie powstrzymała? To nie było podobne do niej. Zawsze była uosobieniem powściągliwości! Chociaż Raleigh swoim kpiącym spojrzeniem i nonszalancją budził w niej najgorsze instynkty, jej przykre słowa były niewybaczalne. Zamrugwała, by strącić z rzęs łzy wstydu. Zamiast wypoczywać, leżała w ciemnościach, obmyślając upokarzające przeprosiny, które nie wiedzieć kiedy zamieniały się w intymne wyznania. Raleigh pochylał się ku niej bez tego swojego kpiącego uśmiešku...

Nagle usłyszała jakiś rumor.

Jane zastygła. Zazwyczaj w nocy nie zwracała uwagi na żadne hałasy, jednak trudno było zachować zimną krew, słysząc stłumione kroki, którym towarzyszyło pobrzękiwanie metalu. Wstrzymując oddech, słuchała w napięciu. Tak, teraz słyszała wyraźnie, mimo wycia wiatru i łomotu okiennic, miarowe kroki.

Przyciskając koldrę do piersi, usiadła, próbując przeniknąć wzrokiem ciemności pokoju, w którym nie płonęła żadna świeca, gdyż sama starannie

je pogasiła, kładąc się spać. Była równie praktyczna jak Sarah i niełatwo ulegała lękom i fantazjom, teraz jednak była samotna, w nie znanym sobie miejscu, i dziwne pobrzękiwania przyprawiły ją o gęsią skórę.

Może to Raleigh chodzi po garderobie, mówiła sobie. On i pani Graves byli poza nią jedynymi mieszkańcami domu, a ponieważ gospodyni nie wyglądała na osobę krążącą o tej porze po domu, więc mógł to być tylko wicehrabia. Kiedy oswoiła wzrok z ciemnościami, uwagę jej przyciągnęła ściana przeciwległa do ściany sąsiadującej z garderobą, stamtąd bowiem dobiegały owe dziwne odgłosy.

Znów głośny rumor.

Wielkie nieba, brzmiało to, jakby ktoś wędrował przez dom, ciągnąc łańcuch! Z trudem opanowując panikę, próbowała przeniknąć wzrokiem ciemności, ale nie udało jej się nic dostrzec. Postanowiła zapalić grubą świecę, kiedy jednak sięgała w stronę ozdobnego stolika przy łóżku, zauważyła, że niektóre fragmenty fresku są jaśniejsze. Zastygła z wyciągniętą dłonią. Nie mogła oderwać wzroku od malowidła na ścianie. Nagle wydało jej się, że jeden fragment ożył.

Jej cichy jęk przeszedł w głośny krzyk, kiedy ruch zmałał. Jane zamrugała. Czy ciemność splatała jej figła, czy wyobraźnia? Dysząc ciężko, podciągnęła kołdrę pod brodę. Bała się drgnąć.

Nagle dobiegł ją hałas z drugiej strony pokoju. Drzwi garderoby otwarły się gwałtownie i do sypialni wpadł Raleigh.

- Co się dzieje? Wszystko w porządku, Jane?

Zaśmiała się niepewnie, odczuwając taką ulgę na jego widok, że miała ochotę wyskoczyć z łóżka i paść mu w objęcia. Stary, dobry Raleigh, tak mówił o nim zawsze Wycliffe, a ona prychała z potępieniem. Teraz tamto określenie wydawało jej się tak trameę, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak... w porządku. Coś słyszałeś? - spytała.

- Słyszałem twój krzyk - odparł. Jego niewyraźna w półmroku sylwetka promieniowała ciepłem i zdawała się rozpraszać mroki samym swoim istnieniem.

Światło! Jane, nareszcie zdolna poruszyć się, sięgnęła po binokle. Po chwili poszukiwań w ciemnościach znalazła je i założyła. Drżącymi dłońmi zapaliła świecę i zachłysnęła się z przerażenia. Raleigh stał tuż obok jej łoża nagi jak go pan Bóg stworzył.

Z trudem zaczerpnęła tchu.

- Ale ty... ty... nic na sobie nie masz! - wyjąkała.

- Oczywiście, że nie. Właśnie próbowałem zasnąć - odparł, pocierając twarz. Nagle w jego oczach pojawił się złośliwy chochlik. - Znów coś ci nie odpowiada w moim stroju, kochanie? - spytał niewinnie, jednak jakaś nutka w jego głosie sprawiła, że Jane przeszył dreszcz.

- Ale... ale... ojczulek i bracia zawsze nosili koszule nocne! - powiedziała, nie mogąc oderwać wzroku od jego nagiego ciała. Parę razy widziała braci częściowo roznegliżowanych, sprawiali jednak wrażenie chudych i mizernych. Raleigh wydawał się silny. Biła od niego jakaś moc.

Odarty z wykwintnych strojów, wydawał się jeszcze wyższy, bardziej barczysty i muskularny. Był smukły i gładki jak antyczny posąg. Szeroka klatka piersiowa zwężała się i przechodziła w płaski brzuch, a niżej... Jane z trudem oderwała wzrok od gęstwiny brązowych włosów. Krew dudniła jej w uszach tak głośno, że ledwie słyszała jego głos.

- Nie pojmuję, jak można spać w koszuli nocnej. To już dawno niemodne, moja miła. Wiecznie na biało, do tego wszyscy mężczyźni wyglądają w takim stroju, jakby mieli krzywe nogi.

Teraz już wiedziała, że sobie z niej kpi, odgrywając się na niej za

wcześniejsze uwagi. Czyż mogła go o to winić? Spąsowiała. Zamknęła oczy i usiłowała sobie przypomnieć przeprosiny, jakie komponowała, zanim to wszystko się zdarzyło. Powinna go teraz przeprosić, ale nie mogła skupić uwagi na niczym, z wyjątkiem szokującego wyglądu Raleigha.

- Wybacz, Jane, myślałem, że ktoś cię morduje. Nie zdążyłem nawet włożyć spodni - powiedział łagodniejszym tonem. Poczowała, że ściąga z łóżka jeden z kocy. Materac ugiął się, kiedy przysiadł koło niej. Ułożywszy pośpiesznie przeprosiny, Jane podniosła powieki, ale ponownie straciła wątek.

Raleigh siedział blisko niej, zbyt blisko. Owinął biodra kocem, ale pierś miał naga, a smukłe krzywizny mięśni, których istnienia Jane nawet nie podejrzewała, wieńczyły ciemne koła sutek.

W oszołomieniu zaczęła się zastanawiać, jaka jest w dotyku jego skóra. Czy była aż tak gładka, jak się wydawała? W słabym świetle lśniła pięknym odcieniem, o ileż piękniejszym od bladości jej własnej skóry. Znow uniósł rękę, by przetrzeć oczy, i Jane dostrzegła smugę ciemnych włosów pod pachą.

- Jane - ponaglił ją, więc zmusiła się, by skupić uwagę na jego twarzy. Wpatrywał się w nią intensywnie, z wyrazem lekkiego rozbawienia. Natychmiast się najeżyła. Błogie rozmarzenie, które ogarnęło ją wcześniej, ustąpiło miejsca tępemu pulsowaniu. Powoli odzyskiwała kontenans.

- Słyszałam hałas - wyjaśniła.

- Pozwól, że zgadnę - powiedział Raleigh. - Okiennice stukały, wiatr wył jak chór potępieńców... Czy ściany zatrzęsły się, zanim ostatecznie runęły?

Jego komiczny opis niemal ją rozbawił.

- Nie - odparła, starając się zachować powagę. - To nie było zwyczajne skrzypienie starego domu, ale coś innego, jakiś stłumiony

dźwięk, który zdawał się wydobywać zza ściany - dodała, pokazując na fresk.

- Szczury! - wykrzyknął Raleigh, wzdrygając się. - Chryste, z pewnością roi się tutaj od nich.

Jane zmarszczyła czoło.

- To wcale nie brzmiało jak szczury. Bardziej jak odgłos kroków. - Zdecydowała się nie wspominać o pobrękiwaniu łańcuchów, żeby Raleigh nie wziął jej za histeryczkę.

Raleigh ze ściągniętymi brwiami przyglądał się majaczącemu w mrokach portretowi.

- To zapewne nasz drogi dobroczyńca... Ucieka stąd, żeby nie oglądać ostatecznej ruiny swojego domostwa.

Wstał i Jane z fascynacją patrzyła, jak koc zsuwa się z jego szczupłych bioder, odsłaniając pępek i płaski brzuch poniżej. W ostatniej chwili wicehrabia złapał koc i ściągnął w zaimprovizowany węzeł. Patrzyła jak zahipnotyzowana, kiedy odwrócił się i poszedł do drzwi, niknąc w ciemnościach. Słyszała, jak sprawdza zamek. Serce Jane podskoczyło, gdy wyłonił się ponownie z mroku, wysoki, połyskujący nagą klatką piersiową.

Czuła gorące fale pod skórą. To był Raleigh? Ten mężczyzna był jej mężem. Na myśl o tym zabrakło jej tchu, a dudnienie serca bez trudu mogłoby zagłuszyć brzęk łańcuchów. Miotaly nią niepojęte impulsy. Miała ochotę pogłodzić dłonią jego nagą pierś lub wręcz rzucić się w jego ramiona. Nagle pomyślała, że powinna siego pozbyć. Było coś niewłaściwego w tej sytuacji - jego nagość, ich dwoje siedzących w ciszy starego domu.

- Nie to miałam na myśli! - wybuchnęła, zaszokowana brzmieniem własnego głosu.

- O czym ty mówisz? - zdumiał się Raleigh, a Jane znów zabrakło

tchu, kiedy przysiadł obok niej na materacu. Jego biodro zdecydowanie zbyt blisko sąsiadowało przez kołdrę z jej stopą. Cofnęła nogę, z trudem hamując impuls, by jednym ruchem zrzucić krępujące ją okrycie. Nie wiedziała, czy w pokoju zrobiło się tak gorąco, czy to jej podniosła się temperatura. - Co ci jest, Jane?

Siedział tak blisko niej, gładki i złocisty w świetle świecy.

- Chodzi mi o to wszystko, co o tobie powiedziałam... Przepraszam - powiedziała z westchnieniem ulgi. Przeprosiła go, więc mógł już sobie pójść, a ona mogła zasnąć snem sprawiedliwego.

Raleigh uśmiechnął się i Jane wiedziała, że musi skończyć, zanim mąż znów ją zdenerwuje albo zanim sama ulegnie pokusom, które przyprawiały ją o szaleństwo. Na przykład pokusie, by pogłaskać złocistą skórę jego ramienia.

- Rozzłościłam się i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie poza tym, że niecały tydzień temu pojechałam pomóc siostrze przy dzieciach, a dzisiaj... - Urwała. A dzisiaj siedzę z tobą sam na sam w ciemnościach i jesteś inny, niż sądziłam, pomyślała.

- A dzisiaj siedzisz w zaszczurzonej ruderze. Spora zmiana, i to wcale nie na lepsze, zgadłem? - Raleigh uśmiechnął się krzywo, jakby kpił z samego siebie.

Jane zaprotestowała gwałtownie.

- Nie o to mi chodzi. Po prostu nie przywykłam być tak daleko od wszystkich i tak blisko... ciebie. - Zbyt blisko, krzyczał w niej jakiś głos.

Z łagodnym uśmiechem uniósł dłoń i Jane zastygła z oczyma rozszerzonymi z przerażenia. Strach i tęsknota walczyły w niej o lepsze, ale on tylko chwycił pasemko jej włosów i wetknął z powrotem w warkocz.

- Rozpuszczasz czasem włosy? - spytał.

Nie, ponieważ nie są lśniące i puszyste jak włosy Charlotte, tylko proste i matowe.

- Nie - ucięła ostro, unikając jego spojrzenia.

- Powinnaś.

Jane potrząsnęła głową.

- Ja... ze mną już wszystko w porządku. Kładź się z powrotem spać.

Przepraszam za to całe zamieszanie.

Wstał, nie obdarzywszy jej więcej spojrzeniem. Jane poczuła się, jakby go odepchnęła. Już, już otwierała usta, by go zawołać, jednak jej uwagę przykuł nagle błysk światła na jego włosach. Choć wiedziała, że włosy wicehrabiego potargały się nieco we śnie, miała wrażenie, że widać na nich ślady jej własnych palców. Jęknęła.

- Czemu nie zostawisz sobie świecy na noc? - spytał Raleigh, wyraźnie nieświadom targających nią uczuć. - Myślę, że stać mnie jeszcze na kupno świec. - W jego beztroskim głosie pojawiła się nuta gorzkości. Wargi Jane poruszyły się bezsilnie. Próbowwała coś powiedzieć, ale on już się oddalał, jego smukłe ciało rozplątało się w ciemnościach. - Nie masz nic przeciwko temu, że wezmę ze sobą koc? - rzucił przez ramię.

Usłyszała tylko jego śmiech, a potem drzwi garderoby się zamknęły. Rzuciła się na poduszki. Nikczemnik! Jednak gniew z powodu jego złośliwości szybko zastąpiły inne wrażenia.

Widziała nagiego mężczyznę! I to nie było kogoś, ale Raleigha. Prezentował się wspaniale. Jane znów się zarumieniła. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że pod wykwintnym strojem mogło kryć się takie piękne ciało. Był szczupły, nie miał ani jednego zbędnego grama tłuszczu, a przy tym nie był kościsty. Nie potrzebował watawać ramion płaszczem ani nogawek obcisłych spodni czy...

Z cichym jękiem wcisnęła się w łóżko, naciągając kołdrę na głowę, jakby chciała zasłonić się przed własnymi nieprzyzwoitymi myślami. Musi wymazać z pamięci widok nagiego ciała męża i wszystkie dziwne uczucia, jakie ten widok w niej budził. W każdym razie przeprosiła go i może już spać spokojnie, bez wyrzutów sumienia, rozmyślała sennie.

To była jej ostatnia refleksja, zanim odpłynęła w krainę snu. Jeśli nawet coś w nocy stuknęło, a jakieś drzwi się otwierały, dźwięki te nie zakłóciły snu Jane. Śniła o złotym bożku, nachylającym się nad jej łóżkiem

Obudziła się. Kołdra szczelnie spowijała jej ciało. Przenikała ją niepojęta tęsknota. Przez chwilę sądziła, że może jest chora, zaraz jednak przypomniała sobie wszystko: Raleigh. Nagi. Stłumiwszy westchnienie, zerwała się z łóżka i pośpiesznie ubrała, nie odrywając oczu od drzwi do garderoby. Po włożeniu jednej z codziennych sukienek zawahała się. Nie miała pojęcia, jak poruszać się po domu, a przecież nie było nikogo ze służby, więc nikt nie mógł wskazać jej drogi.

Nie należała do osób, które siedziałyby z założonymi rękami. Wstrzymawszy oddech, wyszła na korytarz, gdzie natychmiast owionęło ją stęchłe, wilgotne powietrze. Zmarszczyła nos i obiecała sobie najszybciej, jak się tylko da, przewietrzyć i wysprzątać całe Craven Hall.

Otwierając kolejne drzwi, wędrowała przez labirynt ciemnych, zakurzonych pokoi, w których narastały latami sterty śmieci, książek, obrazów, papierów i różnych dziwnych przedmiotów. Ciężkie kotary, mimo wielu dziur, utrzymywały wnętrza w wiecznych ciemnościach. Jane z trudem powstrzymywała się przed ich rozsunięciem. Jednak przed rozpoczęciem porządków chciała zjeść śniadanie i znaleźć jakiś fartuch, który ochroniłby jej suknię przed kurzem.

Parę razy pomyliła drogę, ale wreszcie trafiła na główne schody, którymi zeszła do jadalni, mrocznej i ponurej jak reszta domu, choć wolnej od rupieci, zalegających w innych pokojach.

- Dzień dobry! - zawołała, zaglądając do pokoju kredensowego. Przepisnęła się przez pomieszczenie, które wyglądało jak przechowalnia win, i znalazła się w kuchni, ale pani Graves nie było nigdzie w polu widzenia. Obejrzała kuchnię, kiwając z aprobatą na widok czystych blatów i solidnych garnków.

Wzięła się do rozpalania w piecu, gdy na podłogę padł cień - tak nagle, że aż się wzdrygnęła. Obróciła się. W drzwiach z ponurym wyrazem twarzy stała gospodyni.

- Przestraszyła mnie pani, pani Graves - odezwała się tonem usprawiedliwienia Jane. - Właśnie stawiałam wodę na herbatę. - Gospodyni nadal patrzyła na nią bez słowa i Jane poczuła się nieswojo. - Czy mogę jakoś pomóc przy szykowaniu śniadania? - spytała niepewnie.

- Nie, milady - odparła pani Graves. Nie dała po sobie poznać, że propozycja wicehrabiny, by pomagać jej w kuchni, zaskakuje ją, więc Jane nie musiała się tłumaczyć swoim skromnym pochodzeniem.

- Wobec tego po prostu zaczekam w jadalni - oświadczyła. Zrobiła krok do przodu, jednak pani Graves ani drgnęła i przez chwilę Jane sądziła, że gospodyni nie pozwoli jej przejść. Kiedy odsunęła się wreszcie, Jane siłą musiała się powstrzymać, by nie rzucić się biegiem przed siebie. Odniosła wrażenie, że gospodyni próbuje ją onieśmielić, uznała jednak tę myśl za nonsensowną.

W jadalni rozsunęła najszerzej, jak się dało, kotary na wysokich oknach, wpuszczając nieco światła do pokoju. Chociaż dzień był pochmurny, widok wrzosowisk podziałął na nią kojąco. Przez chwilę stała

przy oknie, oczarowana. Gdyby nie to, że miała tyle do zrobienia, z przyjemnością poszłaby na długi spacer po porośniętych wrzosem wzgórzach. Z zadowoleniem skonstatowała, że jest jej na duszy różniej niż kiedykolwiek od chwili pośpiesznego zamążpójścia.

Myśl o zameściu przywołała niepokojące wspomnienia o panu młodym, które sprawiły, że spłonęła rumieńcem. Mnąc w rękę kotarę, walczyła z naporem niepożądanych obrazów.

- Nie wolno ci rozmyślać o męskiej nagości... o niczyjej męskiej nagości, przynajmniej przed śniadaniem - mruknęła sama do siebie.

- Milady...?

Odwróciła się gwałtownie. Za nią stała pani Graves. Albo gospodyni poruszała się wyjątkowo cicho, albo Jane tak bardzo zatopiła się w swoich myślach, że nic do niej nie docierało. Z wymuszonym uśmiechem skinęła kobiecie głową i zajęła miejsce przy stole, na którym znajdowała się herbata, ciemna grzanka i jajecznica z jednego jajka.

Popatrując podejrzliwie na ten dość nieapetycznie wyglądający posiłek, wysiliła się na kolejny uśmiech.

- Dziękuję, pani Graves, to dla mnie zupełnie wystarczy, ale obawiam się, że wicehrabia będzie chciał zjeść o wiele więcej. Ma... zdrowy apetyt - dodała.

- Doprawdy? - Wprawdzie twarz pani Graves nawet nie drgnęła, jednak ton jej głosu sprawił, że Jane spłonęła gwałtownym rumieńcem. Nie wiedzieć czemu, wspomnienie Raleigha oblizującego się smakowicie po cieście sprawiło, że przeszło ją dziwne drżenie. Zaciśnęła dłoń na widelcu, starając się odgonić natrętne wspomnienie.

- To wszystko, co jest - oznajmiła pani Graves ponuro.

Jane spojrzała na wodnistą jajecznicę i przypaloną grzankę. Zdarzało

jej się jadać gorsze rzeczy, ale Raleigh...

- Jestem pewna, że można wziąć coś na kredyt we wsi - zasugerowała. Wiedziała, ile jedzenia potrzeba w niewielkim nawet gospodarstwie i chociaż nie zabrali wiele służby, jednak kamerdyner i pokojówka mieli się wkrótce pojawić i musieli dostać śniadanie.

Pani Graves przyjęła te uwagi z niewzruszonym wyrazem twarzy, po czym bezszelestnie odeszła do kuchni. Jane zastanawiała się, czy kobieta zrozumiała ją do końca. Może była ciut głucha albo upośledzona umysłowo? Ale choć kąciki ust miała ściągnięte do dołu jak u staruszki, mówiła zupełnie normalnie. Jane potrząsnęła głową. To przecież w końcu nie jej sprawą. Wkrótce będzie mieć pełne ręce roboty.

Choć podejrzewała, że Raleigh będzie chciał wyjechać stąd najszybciej, jak się da, sama czuła niepojęte pragnienie, by zostać. Na samą myśl o Westfield Park i londyńskiej rezydencji, w których nigdy nie będzie się potrafiła odnaleźć, miała ochotę zaprzeć się rękami i nogami w Craven Hall. Gdy rozglądała się po żałośnie opuszczonym domu, ogarniało ją poczucie, że ma misję do spełnienia, poczucie, jakie towarzyszyło jej jedynie przy pracy w ogrodzie.

Ani w Westfield Park, ani w Londynie nie miała nic do zrobienia, tu natomiast roboty był huk. Tu jej praca miała sens, choćby polegała tylko na doprowadzeniu domu z powrotem do porządku, tak by Raleigh mógł go sprzedać. Choć na myśl o tym ścisnęło ją w żołądku, wiedziała, że nigdy nie przekona męża, by uczynił tę dziwną budowlę swoim domem.

Nie, nie zamierzała liczyć na to, co nierealne. Zamierzała polegać wyłącznie na sobie, a to znaczyło, że musi przekonać męża, iż powinni przynajmniej przekopać się przez śmiecie zgromadzone w Craven Hall. Gotowa do czynu, chwyciła za nóż i dokładnie oskrobała grzanekę, zanim

ugryzła pierwszy kęs.

Właśnie dopijała herbatę, gdy z progu dobiegł ją głos Raleigha.

- Już myślałem, że nigdy nie dotrę do cywilizacji - oświadczył, opierając się o framugę z wyrazem komicznej ulgi na twarzy.

Powściągając uśmiech, Jane odstawiła filiżankę, jednak nie mogła oderwać wzroku od męża. Poruszał się z beztroskim wdziękiem, wypełniając cały pokój swoją osobą i rozpraszając ciemności skuteczniej niż anemiczne światło. Miał na sobie zielony surdut, brunatne bryczesy i lśniące buty, które przykuwały uwagę do jego nienaganej sylwetki.

Teraz wiedziała już, jak bardzo nienaganej. Dopijając herbatę, próbowała przekonać samą siebie, że jego sztuczki nie robią na niej wrażenia, jednak z trudem udało jej się przełknąć ostatni łyk herbaty. Kiedy Raleigh usiadł przy stole, zadzwoniła po gospodynię.

- Gdzież się, u diabła, podziewa Antoine? - denerwował się Raleigh. - Kiedy wstałem, próbowałem trzech fularów, ale nie udało mi się ani razu zawiązać porządnego węzła.

Jane pokręciła głową, rozdrażniona jego małostkowymi problemami. Raleigh i jego garderoba! Wołała już rozmyślać o swoim mężu bez garderoby. O czym ona myśli! Ale wizja Raleigha z nagim torsem, połyskującym w świetle świec, tkwiła w jej umyśle, nie dając się wypędzić.

- Zapewne Antoine nie sądził, że wstaniesz do południa - zakpiła.

Raleigh zbył ją śmiechem.

- Nawet ja nie potrafię wylegiwać się na wystrzępionej sofce, myślę jednak, że nie poniosłem większego uszczerbku na zdrowiu. Może nawet ten nowy tryb życia dobrze mi robi. Jak sądzisz?

Jane przytaknęła skwapliwie, rozpaczliwie usiłując się nie zarumienić. Raleigh nie odrywał od niej uporczywego, badawczego spojrzenia.

- Słyszałaś coś jeszcze tej nocy? - spytał przyjaźnie i Jane straciła wszelką nadzieję, że uda jej się ukryć przed nim rumieniec.

- Nie, spałam jak zabita,

- Ja też - przyznał Raleigh. - Choć ciągle śniło mi się, że trzaskają drzwi.

Jane poczuła, że jego słowa z czymś jej się dziwnie kojarzą, jednak nie mogła sobie tego przypomnieć, zwłaszcza że właśnie weszła pani Graves, wnosząc żalosne porcje jedzenia. Raleigh wykrzywił się komicznie i Jane musiała zacisnąć usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

Gospodyni, postawiwszy śniadanie na stole, chyłkiem zaczęła wycofywać się do kuchni, ale Raleigh zatrzymał ją.

- Pani Graves... - zaczął zduszonym głosem. - Widzę, że pani potrzebuje pomocników na czas naszego pobytu. Może mogłaby pani wynająć kogoś we wsi na parę dni?

Gospodyni powoli odwróciła się do stołu.

- Nikt tu nie przyjdzie - oświadczyła dramatycznym tonem.

- Dlaczego? - spytał Raleigh zaskoczony.

- Czyżby to było aż tak daleko? - dodała Jane.

Pani Graves nie raczyła jej zaszczyścić ani jednym spojrzeniem, nadal wpatrywała się z niewzruszoną twarzą w Raleigha.

- Nikt nie przyjdzie do Craven Hall. Nigdy - stwierdziła i ponownie ruszyła do wyjścia.

- Niemniej byłbym bardzo wdzięczny, gdyby się pani zajęła tą sprawą! - zawołał za nią Raleigh.

Ale ona bez słowa zniknęła w mrokach pokoju kredensowego.

Jane, speszona zachowaniem gospodyni, podniosła wzrok na Raleigha. Jednak zamiast spodziewanego zdumienia dostrzegła na jego

twarzy komiczny wyraz przerażenia. Z trudem stłumiła chichot.

- Niezły kubek zimnej wody - mruknął Raleigh, a potem chwycił za widelec i spojrzał na talerz. Skrzywił się. - Wodnista jajecznica i przypalona grzanka! Do tego tyle, co kot napłakał. Myślisz, że ona próbuje się nas pozbyć?

Jane w milczeniu potrząsnęła głową, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Jakby zdrowy na umyśle człowiek potrzebował dodatkowych powodów, żeby opuścić tę koszmarną rudere - wycedził przez zęby Raleigh. Właśnie podniósł porcję jajecznicy do ust, kiedy odgłos kroków sprawił, że oboje odwrócili się jednocześnie w stronę drzwi.

Jane zamruwała ze zdumieniem na widok Antoine'a, który wpadł do jadalni, jakby gonił go duch. Raleigh z brzękiem upuścił widelec na talerz.

- Milordzie! - wykrztusił kamerdyner. Z przekrzywionym fularem i drżącym rozpaczliwie wąsikiem wyglądał żałośnie.

- Antoine, co się z tobą dzieje, do diabła? - wykrzyknął Raleigh zdumiony.

- Zostaliśmy wzięci do niewoli przez tych... przez tych kretyków z mordowni, udającej zajazd - odparł Francuz, dysząc ciężko ze wzburzenia.

Jane posłała Raleighowi zaniepokojone spojrzenie, ale jej mąż przyglądał się swojemu słudze z chłodnym zainteresowaniem.

- Ktoś przetrzymywał was wbrew waszej woli? - spytał niedowierzającym tonem.

- Ci okropni wieśniacy! Najpierw nie chcieli nas przenocować, a potem nie chcieli nas wypuścić!

Raleigh nadal wydawał się sceptyczny, dopóki do ich rozmowy nie włączyła się Madeleine, która wbiegła do jadalni za kamerdynerem.

- To prawda, milordzie - potwierdziła. - Kiedy zajechaliśmy tam

wieczorem, odmówiono nam noclegu!

- *Sacre bleu!* Nazwali mnie tchórzem! - wykrzyknął Antoine z oburzeniem. - Oskarżyli nas o to, że zostawiliśmy was tutaj i uciekliśmy, żeby ratować własne życie. Kiedy wreszcie wbiliśmy im w ich tępe angielskie łby, że zostawiliśmy was zdrowych i całych, zaczęli raczyć nas informacjami na temat marnego losu, jaki was tu czeka.

- Coś gorszego od stęchłych pokoi i robactwa? - spytał cierpko Raleigh.

- Krwawa śmierć - oznajmiła Madeleine, krzywiąc się z niesmakiem. - W życiu nie słyszałam podobnych bredni! A kiedy wreszcie dostaliśmy pokoje, okazało się, że są w oplakany stan - dodała, posyłając Raleighowi oskarżycielskie spojrzenie. Jane skurczyła się na krześle. Nie widziała jeszcze pokojówki równie wzburzonej.

- Wygląda na to, że nędzne warunki noclegowe to plaga hrabstwa Northumberland - zauważył Raleigh.

- Ja w każdym razie nie zamierzam dłużej znosić takich warunków. Otrzymałam wychowanie dla panien z dobrych domów i do tego szkoliłam się pod okiem osobistej przybocznej hrabiny! - oznajmiła Madeleine.

- Może tu ci się bardziej spodoba - odparł wicehrabia, mrugając porozumiewawczo do Jane. - Najlepiej porozmawiaj o tym z gospodynią.

Jane nie wiedziała, czy śmiać się, czy gniewać na męża, który wyraźnie kpił z pokojówki. Raleigh skinął głową w stronę pomieszczeń kuchennych.

- Kiedy będziesz z nią rozmawiać, przypomnij jej, żeby załatwiła dodatkową pomoc ze wsi.

- *Sacre bleu!* Milordzie, nie chce pan chyba powiedzieć, że mamy tutaj zamieszkać? - spytał Antoine ze zgrozą.

- Czemu nie? - Raleigh uśmiechnął się krzywo. - Ja już tu mieszkam. A teraz, ponieważ moje... hmm... śniadanie i tak już wystygło, wybiorę się osobiście do wsi na spotkanie z administratorem moich dóbr. O ile, naturalnie, uda mi się znaleźć wyjście z tego domu.

Antoine, który najwyraźniej wciąż jeszcze nie doszedł do siebie, w milczeniu skinął głową i pokazał kierunek wyjścia.

- Milady, czy zechce mi pani towarzyszyć? - spytał Raleigh, podchodząc z ukłonem do Jane.

Przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, że mówi do niej, dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że wobec służby, przynajmniej nominalnie, była wicehrabiną. Wstała, potrząsając głową.

- Chciałabym zająć się domem - oświadczyła.

- Zająć się domem? - powtórzył Raleigh oszołomiony.

Bez dalszych wyjaśnień wzięła go pod ramię.

- Chętnie odprowadzę cię do wyjścia - powiedziała. Po chwili wahania Raleigh ruszył przed siebie. Jane z przyjemnością szła u jego boku. Jego ramię pod suknem surduta wydawało się silne i ciepłe. Walczyła ze sobą, żeby go nie pogłaskać. Powstrzymywał ją tylko lęk, że mąż ofuknie ją o zagniecenie materiału. Raleigh pokręcił głową na widok otaczającego ich kurzu i bałaganu.

- Może administrator wskaże mi jakiś lepszy zajazd i będziemy mogli zabrać się stąd przed nocą - rzekł.

- Nie! Dlaczego? - zaniepokoiła się Jane.

- Dlaczego? Choćby z powodu jedzenia i spania. To chyba wystarczy - oświadczył cierpko Raleigh.

- Ale jak ja będę mogła obejrzeć dokładnie dom, skoro nie będziemy w nim mieszkać? - zaprotestowała.

- A cóż tu jest do oglądania? Wszystkie pokoje są jednakowo brudne i zagracone. Ten dom to rudera, którą należałoby puścić z dymem!

Jane, nie wiadomo czemu, bardzo zirytowała opinia Raleigha na temat Craven Hall. Wyszarpnęła rękę spod jego pachy i wskazała na sterty książek, papierów i skrzyń.

- Przecież tutaj może być coś wartościowego. Nie zamierzasz chyba tego wszystkiego wyrzucać?

Raleigh podszedł do masywnego stołu zawalonego mnóstwem rupieci. Zdmuchnął pył z grzbietu książki, po czym z grymasem niesmaku na twarzy podniósł coś w dwóch palcach. Jane zobaczyła, że trzyma starą rękawiczkę.

- Jedyne, co możesz tu znaleźć, to więcej tego rodzaju obiektów plus rachunki, długi, ewentualnie rodzinę wiewiórek, która uwiła sobie gniazdo pod meblami. - Schylił się i ostrożnie zlustrował ciemności pod stołem.

Chociaż w domu było chłodno, Jane poczuła, że na czoło wystąpił jej pot. Co zrobić, żeby Raleigh ją zrozumiał, skoro sama nie wiedziała, dlaczego to wszystko jest takie dla niej ważne? Powinna zbyć ten dom machnięciem ręki, coś jednak kazało jej się trzymać go z desperacją.

- Kto wie, co tutaj może być. Między śmieciami mogą kryć się różne cenne rzeczy... - powiedziała, starając się zaapelować do jego zmysłu praktycznego. Zauważyła, że się zawahał, i zaatakowała mocniej: - Nie wszystko leży na wierzchu. Najcenniejsze rzeczy mogą kryć się na samym spodzie.

Jej głos musiał zdradzać desperację, bo Raleigh znieruchomiał i zaczął się jej przyglądać z uwagą. Jane zaczerwieniła się. Ujął ją pod brodę i zwrócił jej twarz ku swojej.

Znów po raz kolejny uświadomiła sobie, jaki jest, zadzierając głowę,

by spojrzeć mu w oczy. Był od niej wyższy co najmniej o głowę, mimo to jego urodziwa twarz znalazła się nagle zbyt blisko jej własnej twarzy. Serce Jane skoczyło do gardła, gdy musnął ją kciukiem.

- Masz rację, moja droga - powiedział łagodnie. - Przejrzyj te graty. Często patrzymy na coś i nie widzimy tego, co trzeba. Nawet najzwyczajniejszy kamień ma wiele stron.

Opuścił dłoń i odwrócił się, by odejść, pozostawiając Jane zachodzącą w głowę, co też miał na myśli.

Z każdym dniem ich małżeństwa dandysowaty mąż wydawał się jej coraz przystojniejszy, coraz bardziej ujmujący i coraz mniej denerwujący, a jej coraz trudniej było bronić się przed jego urokiem, choćby nawet kryły się za nim jakieś sztuczki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Raleigh dopilnował, by woźnica ominął koniec wsi, na którym znajdował się zajazd „Pod Cierniem i Różą”, bowiem w jego mniemaniu gospoda była domem wariatów. Myśl, że jakieś niezrównoważone typy śledzą każdy jego ruch, nie była zbyt przyjemna. Doskwierała mu trochę świadomość, że zostawił Jane samą w Craven Hall. Chociaż czuł, że miejscowi raczej unikają tego miejsca, niepokoił, się o żonę.

Znów ogarnęło go nieznane uczucie, potrzeba, by za wszelką cenę chronić Jane. Niewątpliwie działał na własną zgubę. Zobowiązał się przecież spędzić kolejną noc w tej diabelskiej ruderze. Można to było nazwać czynem godnym szaleńca.

Jednak Jane zaczęła się tak dziwnie zachowywać, kiedy wspomniał o zmianie miejsca noclegu, że zrezygnował z zamiaru ucieczki. Przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem gospodyni nie rzuciła uroku na jego żonę, ale Jane nie należała do osób, które dają się łatwo omamić. Jak więc wyjaśnić tę jej nieprzewartą potrzebę szperania w śmietniku, jakim była ta stara, opuszczona ruina?

Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Za żadne skarby nie mógł zrozumieć, co ciekawego jego żona widziała w tym miejscu.

Ale kto zrozumie kaprysy kobiet? Miał rację, zadając się wyłącznie z prostymi, nieskomplikowanymi istotami. Zgłębienie natury Jane będzie wymagało nieco wysiłku. Jednak, ku jego zdumieniu, perspektywa ta nie wydawała mu się wcale tak przykra jak na początku. Przeciwnie, potraktował to jak wyzwanie.

Przez chwilę napawał się tą myślą. Przed oczyma zamajaczyła mu sylwetka Jane w łóżku, w dziewiczej, białej koszuli. Choć przywykł do bardziej uwodzicielskiej bielizny nocnej, ubiór Jane wydał mu się podniecający. Było coś perwersyjnego w wyobrażaniu sobie jej ciała, zasłoniętego aż po samą szyję. Uświadomił sobie, że w wyobraźni wpatruje się w jedyne odsłonięte miejsce, mlecznobiałe i tak kuszące w świetle świecy, że z trudem się powstrzymywał, by nie przytknąć do niego warg.

Dopieroż by Jane podniosła krzyk, pomyślał z przekąsem. Nie posiadałaby się z oburzenia, gdyby dowiedziała się, że owinał się w koc nie ze skromności, lecz po to, by ukryć rosnące podniecenie.

Mimo wszystko wydawało mu się, że parokrotnie dostrzegł błysk zainteresowania w jej oczach podczas tego dziwnego spotkania, choć trudno było o pewność w tej kwestii, póki miała na nosie te swoje piekielne binokle. Przez chwilę zastanawiał się, jak by też wyglądała bez nich. Gdyby mógł bez przeszkód patrzeć w jej egzotyczne, zielone oczy ocienione gąszczem rzęs... Na myśl o tym zalała go fala przyjemnego ciepła.

Gdybyż mógł po prostu dopełnić swoich małżeńskich obowiązków! Choć Jane była wyraźnie zainteresowana jego ciałem, nie sądził, by była gotowa na coś więcej. A on sam z pewnością nie był gotów na kolejne odrzucenie przez wzgardliwą małżonkę. Już raz zraniła jego miłość własną i mimo późniejszych przeprosin czuł się odrażony.

Cóż, nie będzie miał lekkiego życia z tą smarkułą, która uparła się go nienawidzić. Westchnął. Zawsze mógł jeszcze zamknąć oczy i myśleć o Anglii. Tak zapewne robił Prinny w objęciach swojej ogromnej, kobylastej małżonki, jednak trudno było mu porównywać swoją żonę do tej odrażającej kobiety. A spanie z Jane nie będzie chyba należało do zbyt uciążliwych obowiązków...

Powóz zwolnił, przerywając rozmyślania wicehrabiego, i zatrzymał się przed niewielkim budynkiem, w którym mieścić się miała kancelaria Feliksa Fairmana, notariusza. Przygotowując się z góry na niedobre wieści, Raleigh wysiadł z powozu i podszedł do wąskich drzwi, ale zaraz zatrzymał się na widok tabliczki w niewielkim oknie.

- „Wyjechałem w sprawach służbowych” - przeczytał na głos. Widać szczęście opuściło go do końca. Nie mógł przecież wrócić, nie zamieniwszy paru słów z człowiekiem, który spisywał ostatnią wolę Corneliusa. Do diabła! Uniósłszy monokl do oczu, jeszcze raz przestudiował wiadomość, jednak nie znalazł żadnych dalszych wskazówek. Czy powinien zaczekać? Ale w kancelarii nie było żadnego sekretarza ani asystenta.

Obrzuciwszy budynek ostatnim spojrzeniem, Raleigh przeszedł do sąsiedniego domu. Z doświadczenia wiedział, że w małych miasteczkach, takich jak ta, każdy wie wszystko o swoich sąsiadach. Jednak w słodko pachnącym wnętrzu wiejskiej cukierni szybko odkrył inny obiekt zainteresowań. Zamawiając lukrowane biszkopty i ciasto z rodzynekami, rozważał leniwie, czy jego żona da się na nie skusić. Uśmiechnął się pod nosem. Miał teraz kolejny cel. Nakarmić Jane. Własnoręcznie.

Przywołał się do rozsądku. Jego życzenia miały niewielkie szanse na spełnienie.

- Mój dobry człowieku - zwrócił się do cukiernika, nonszalancko opierając się o ścianę - czy wiadomo ci cokolwiek na temat sąsiada z prawej, pana Fairmana?

Sklepikarz otarł ręce o fartuch.

- Notariusza? Dziwna sprawa. Nigdy nie wziął wolnego dnia przez te wszystkie lata, a tu nagle zamyka interes i pędzi gdzieś, jakby go diabeł gonił. Bardzo to dziwne, jeżeli pan chce wiedzieć.

Raleigh stłumił jęk. Czy nic w Northumberland nie mogło być łatwe ani proste?

- Dziś wyjechał?

- Nie, proszę pana - odparł cukiernik. - Nie ma go już dobre dwa tygodnie, a czynsz płaci zawsze pierwszego każdego miesiąca. Jeśli wkrótce nie wróci, obawiam się, że wyrzucą jego rzeczy na bruk. - Sklepiarz przywołał na twarz uśmiech i przesunął zakupy w stronę Raleigha. - Mówią, że to porządny człowiek, ale nigdy nie miałem pożytku z takich jak on.

Raleigh wziął do ręki paczkę słodczy. Oczy sprzedawcy zwięzły się.

- Nie jest pan aby jednym z jego... wspólników? - zapytał.

Uśmiechnąwszy się pod nosem, Raleigh potrząsnął głową i dorzucił cukiernikowi jeszcze jedną monetę, by powstrzymać go od dalszych pytań. Po powitaniu, jakie zgotowano im „Pod Cierniem i Różą”, nie zamierzał ujawniać swoich powiązań z Craven Hall.

Co teraz począć? - zastanawiał się, szykując się do odejścia. Wiedział, że matka będzie nalegać na jego natychmiastowy powrót. Skoro jednak Fairman wyjechał dwa tygodnie temu, list od hrabiny mógł, nie przeczytany, porastać kurzem wsunięty pod drzwi. Westchnąwszy, uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko wrócić tu nazajutrz.

Tak więc czekała go w Northumberland kolejna noc. Wykrzywił się ze zgrozy na myśl o tym, że przyjdzie mu spędzić ten czas w Craven Hall. Nie wiadomo, co było gorsze - nocleg czy wyżywienie.

- Jeszcze jedno pytanie... - zwrócił się do cukiernika przez ramię. - Gdzie tu można najlepiej zjeść?

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz ulgi. Skrobiąc się za uchem, dumiał przez chwilę nad odpowiedzią.

- Nie licząc mojego domu - oznajmił wreszcie - powiedziałbym, że

„Pod Czterema Pocztylionami". To na południe od wsi. Zajazd nazywa się tak, bo schodzą się tam trasy czterech pocztylionów. Najlepsza kuchnia i wino, jakie człowiek może sobie wymarzyć, nawet ktoś dobrze urodzony jak pan.

- Dzięki ci, dobry człowieku - uśmiechnął się Raleigh. Wyszedłszy przed cukiernię, zawołał do stangreta: - Na południe, George, do „Czterech Pocztylionów", gdzie nareszcie przekąsimy coś przyzwoitego.

Wspomnienie śniadania, jakim został poczęstowany, towarzyszyło mu jak koszmar i chociaż jego żołądek nie ośmielił się głośno protestować, Raleigh doskonale orientował się w jego potrzebach. Prawdę mówiąc, umierał z głodu. Otworzył pakunek od cukiernika i mały lukrowany biszkopczyk w całości zniknął w jego ustach.

Rozparłszy się na siedzeniu, rozkoszował się słodkim smakiem, a jego myśli kolejny raz poszybowały ku żonie. Zaczął wyobrażać sobie, jak namawia Jane, by wzięła do ust kasek, by rozpuściła włosy, dotknęła go...

Westchnął. Może to zapomniane przez Boga i ludzi hrabstwo Northumberland ze swoim świeżym powietrzem rozbudziło jego apetyt. I to nie tylko apetyt na jedzenie.

Szykując się do pracy, Jane zawięła rękawy sukni i zawiązała na niej stary fartuch. Postanowiła spróbować otworzyć pokój sąsiadujący z jej sypialnią, żeby Raleigh nie musiał spać na kozetce w garderobie. Już miała ruszyć w tamtą stronę, kiedy przyszła Madeleine, najwyraźniej po nieudanej rozmowie z panią Graves.

Jane powitalnym uśmiechem próbowała rozproszyć gniew pokojówki. Nie zamierzała ponosić konsekwencji kłótni między wyniosłą Francuzką a skwaszoną gospodynią.

- Madeleine, bardzo się cieszę, że jesteś tutaj z nami - powiedziała. Pokojówka spojrzała na nią i aż zatrzęsła się z wrażenia.

- Co też pani... ma na... sobie? - spytała ze zgrozą. Jane spojrzała po sobie.

- Po prostu nie chciałam się pobrudzić. Na pewno też będziesz chciała założyć fartuch, żeby się nie zakurzyć. Mam nadzieję, że pomożesz mi dzisiaj doprowadzić do porządku chociaż jeden pokój. - Zachęcający uśmiech Jane zgasł na widok osłupienia w oczach Madeleine. Twarz pokojówki spąsowiała.

- Nigdy... nie... włożę czegoś, co w najmniejszym stopniu przypomina tę... szmatę! - oznajmiła Madeleine podniesionym głosem i spojrzała na Jane z potępieniem.

- Co więcej, nie mam zamiaru zajmować się żadnym sprzątaniami. Jestem pokojówką jaśnie pani, wyszkolono mnie do pomagania przy toalecie dobrze urodzonym damom, a nie do noszenia ścierek! Staralam się, jak mogłam służyć pani, ale nigdy nie zgodzę się na sprzątanie ani chodzenie w łachmanach! Nie zamierzam też wykonywać swoich, obowiązków w tych niewiarygodnych warunkach, bez porządnego miejsca do spania i z dala od kulturalnego świata!

Z wyrazem niesmaku na twarzy Francuzka wyprężyła swoją kruchą figurkę przed Jane.

- Zgłaszam pani moją rezygnację, milady - dodała.

- Od zaraz. Gdyby była pani uprzejma udostępnić mi jeden z powozów, chciałabym dotrzeć do wsi, skąd przy najbliższej sposobności ruszę dalej dylizansem.

Jane zamrugła powiekami, zaskoczona tą gwałtowną tyradą. Przypuszczała, że jako wicehrabina powinna być oburzona podobną

impertynencją, czuła jednak tylko ulgę z powodu odejścia wyniosłej służącej.

- Skoro uważasz, że powinnaś odejść, nie będę cię zatrzymywać - odparła.

Madeleine skinęła głową i Jane sięgnęła po najbliższy dzwonek, by wezwać gospodynię, Tylko świadomość własnej pozycji sprawiła, że nie udała się sama po stangreta, by przyśpieszyć odjazd pokojówki. Zanim pani Graves się zjawiała, minęła wieczność.

- Proszę polecić stangretowi, by odwiózł Madeleine do wsi. Madeleine nas opuszcza - wyjaśniła Jane.

Spojrzawszy z potępieniem na pokojówkę, pani Graves zwróciła ponury wzrok na Jane.

- Zaczyna się - stwierdziła dramatycznie.

- Co się zaczyna? - zdziwiła się Jane.

- Nikt nie zostaje w Craven Hall... na dłużej - oznajmiła gospodyni.

Jane przyglądała się jej ze zdumieniem. Czyżby na wykrzywionych wargach pani Graves zagościł cień uśmiechu?

Nie zwracając uwagi na ponurą przepowiednię, Jane skinęła głową pokojówce.

- Proszę nam przysłać adres, żeby wicehrabia mógł przesłać wynagrodzenie.

- To nie będzie konieczne - odparła z godnością Madeleine. - Nadal jestem na służbie u hrabiny i mam zamiar z powrotem podjąć u niej obowiązki.

W głębi duszy Jane wątpiła, czy matka Raleigha z otwartymi rękami przyjmie służącą, która zrejterowała z wyznaczonego posterunku, jednak zachowała te wątpliwości dla siebie. Pożegnawszy się chłodno z

odjeżdżającą Francuzką, wróciła do pracy.

Ścierki! Ci wszyscy wymuskani wielmoże i ich służba wydawali się obawiać jakiegokolwiek pracy. Być może to właśnie był największy problem z całą tą gogusiowatą czeredą! Gwałtownie wstrzymała oddech na wspomnienie szczupłego, muskularnego ciała Raleigha. Potrząsnęła głową. Jej mąż musiał chyba jednak coś robić, skoro utrzymuje taką... formę.

Westchnąwszy ciężko, porzuciła dalsze rozważania na ten temat i ruszyła do prywatnego skrzydła. Jeśli Raleigh będzie miał własną sypialnię, możliwe, że już nigdy nie będzie musiała go oglądać w stroju Adama.

Jednak zabranie się do pracy okazało się nie tak łatwe, jak sądziła. Pierwszą przeszkodę stanowiły drzwi, które albo były zamknięte na klucz, albo się zacięły. Jane powędrowała z powrotem do kuchni, gdzie zastała Antoine'a, polemizującego z monosylabami, z pomocą których pani Graves odpowiadała na jego prośby o pokój dla niego. Francuz perorował głośno w swoim ojczystym języku, a Jane znała francuski na tyle, by wiedzieć, że jego słowa nie są bynajmniej grzeczne.

- Antoine! - skarciła go. A potem powiedziała: - Mam pewną propozycję... może byś mi pomógł uporządkować prywatne skrzydło? Mógłbyś wtedy zamieszkać w garderobie, dopóki nie zwolni się coś lepszego - dodała, widząc jego zdumione spojrzenie.

Kamerdyner skinął ponuro głową i skłonił się lekko.

- Dzięki, milady, ale właśnie mówiłem gospodyni, że nie przystoi pani brać na siebie obowiązków służącej. Musimy zatrudnić jakąś pomoc.

- Nikt nie przyjdzie - oznajmiła pani Graves.

- Co ma pani na myśli? - spytał Antoine, najeżywszy się z irytacji.

- Craven Hall ma za sobą długą historię nieszczęść. Każdego, kto tutaj mieszka, czeka straszny los. A ten, kto tutaj umrze, przez całą wieczność

będzie się błakał po tym domu.

- Chce pani powiedzieć, że Craven Hall jest nawiedzone? - spytał Antoine z niedowierzaniem.

Zamiast odpowiedzi pani Graves posłała im przeciągłe, mroczne spojrzenie.

- Cóż, wolno pani tak sądzić, ale mój drogi ojczulek nie pochwalałaby takich rozmów, więc lepiej niech pani zachowa swoje sądy dla siebie - wtrąciła Jane, chcąc w zarodku zdławić tego rodzaju opowieści.

- Skoro ten dom jest nawiedzony, co panią tutaj trzyma? - spytał Antoine.

- Na mnie jest już za późno - odparła pani Graves.

- Ale nie dla was. Ratujcie się - doradziła mgliście.

Jane dostrzegła, że wąsik Francuza zaczyna drgać złowieszczo. Zrobiła krok do przodu.

- Dostyc tego. Nie chcę więcej słuchać żadnego gadania o duchach. Jestem pewna, że jego lordowska mość znajdzie we wsi kogoś gotowego pracować za przyzwoite pieniądze, bez względu na miejsce.

Nie uwierzyła słowom gospodyni, która według niej po prostu lubiła krakać, jednak nie wiedziała, czy Raleigha stać będzie na opłacenie więcej niż jednego pomocnika.

- Do tego czasu zetrę kurze, ale muszę dostać klucze - oświadczyła.

Dawno już wypatrzyła wielkie koło wiszące u pasa pani Graves, ciężkie od żelaznych i mosiężnych kluczy. Wyciągnęła wyczekująco dłoń. Jednak gospodyni nawet nie drgnęła i Jane znowu nie była pewna, czy została dobrze zrozumiana.

- Poproszę klucze - zażądała. Czowała rosnące wzburzenie Antoine'a, więc uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

- Który pokój życzy sobie pani otworzyć? - spytała pani Graves.
Jane zamrugła, zdumiona.

- No cóż, pokój przylegający do mojej sypialni.

- Ten pokój nie nadaje się do zamieszkania - odparła pani Graves.

- Możliwe, ale ja zmienię ten stan rzeczy.

- Otworzę go pani, ale klucze są mi potrzebne.

- Do czego? - spytała Jane, szczerze zdumiona. Błądząc przed śniadaniem po domu, zorientowała się, że wiele pokoi jest zamkniętych, a nie zamierzała szukać pani Graves za każdym razem, kiedy będzie chciała gdzieś wejść.

- Potrzebuję ich do przechodzenia przez dom - oświadczyła pani Graves.

- Wobec tego pootwierajmy wszystkie pokoje, żeby można było chodzić po domu bez kluczy - zaproponowała Jane.

- Są zbyt brudne i niebezpieczne.

- Niebezpieczne? Mury wydają się całkiem solidne.

- Pozory mylą - mruknęła złowieszczo gospodyni.

- Chwileczkę - wtrącił Antoine, ruszając wąsikiem. - Żądam natychmiastowego pokazania nam wszystkich zagrożonych miejsc. Oraz oddania kluczy, impertynencką niewiasto!

- Antoine, nie ma powodu, by używać przykrych słów. Jestem pewna, że pani Graves przychyli się do naszej prośby - mitygowała go Jane.

Gospodyni z kamienną twarzą odpięła ciężkie, metalowe koło i podała je Jane. Kościste palce pani Graves zaciskały się na kluczach, jakby bolała ją sama myśl o rozstaniu z nimi. Wreszcie opuściła rękę.

- Proszę ich nie zgubić ani samej nie zgubić się w domu. To stara konstrukcja, niebezpieczna dla osób nie znających rozkładu pokoi.

- Sądzę, że dam sobie radę - odparła Jane. - Chyba że jest tu jakieś szczególnie niebezpieczne miejsce? - Uniosła pytająco brwi, ale gospodyni odpowiedziała jedynie milczącym spojrzeniem. - No to doskonale - zakończyła ze sztucznym entuzjazmem i ruszyła do wyjścia, a Antoine w ślad za nią.

- *Sacre bleu!* - mruknął. - Nie ufam tej kobiecie! Wredna! Szalenie wredna! Gdybyśmy mieli łóżka, z pewnością by nas w nich pomordowała!

- Szesz! - uciszyła go Jane, tłumiąc śmiech. Choć Antoine zdecydowanie przesadzał, trudno było zaprzeczyć, że pani Graves jest dość odpychająca. Jako córka pastora Jane była wychowana w przeświadczeniu, że należy być uprzejmym i miłym dla wszystkich, jednak gospodyni wyjątkowo do tego nie zachęcała.

- Niech się pani nie martwi, milady. Będę towarzyszył pani, bo jego lordowska mość nigdy by mi nie wybaczył, gdybym zostawił panią na łasce tej odrażającej kreatury!

- Jestem pewna, że pani Graves nie zamierza nas skrzywdzić - powiedziała Jane. - Po prostu przez wiele lat pracowała tutaj sama, bez żadnej pomocy, więc teraz trudno jej się przyzwyczaić do rządów obcej osoby - dodała, mimo to z nie skrywaną ulgą przyjęła propozycję kamerdynera. - Twoje towarzystwo będzie mile widziane, Antoine - zapewniła kamerdynera.

- Do usług, milady - odparł Francuz z lekkim ukłonem. Jane uśmiechnęła się pod nosem. Kamerdyner był jeszcze bardziej wymagający od pokojówki, która już zdążyła odejść, toteż można było łatwo domyślić się, że niedługo wytrwa w charakterze posługaczki.

Podczas wspólnej wędrówki przez mroczne korytarze Antoine wydawał okrzyki obrzydzenia, ilekroć wdepnął w kłęb kurzu albo otarł się o

stertę śmieci. W końcu zaczął mamrotać po francusku i Jane uznała, że lepiej zrobi, nie przysłuchując mu się zbyt uważnie.

Kiedy wreszcie, okrężną drogą, dotarli do głównej sypialni, pochyliła się i zaczęła wypróbowywać klucz za kluczem. Wreszcie szcęknął zamek i Jane otworzyła szeroko drzwi. Uderzyła ją fala cuchnącego powietrza i widok straszliwych stert starych papierów, broszur, książek, a także pustych szklanek i talerzy, stłoczonych na małym stoliku. Pokaszując, cofnęła się o krok.

- To musiał być pokój pana Holroyda - powiedziała, patrząc na wydeptaną wśród rozmaitych rupieci ścieżkę prowadzącą do wielkiego, mahoniowego łóża.

- Sadząc z zapachu, ten starzec nadal tu przebywał! - krzyknął Antoine, chwytając się ponad podrygującym wąsikiem za nos.

Kilka godzin później Jane wyrzuciła na zewnątrz pokłady śmieci z pomocą stangretów i chłopców stajennych, których wezwał Antoine. Choć nadal nieustannie mamrotał po francusku, nie narzekał, lecz posłusznie przesuwał meble pod dyktando Jane i przynosił kolejne kubły wody, by mogła umyć ściany.

Właśnie starannie omiatała powierzchnię jednego z pokrywających ścianę fresków, gdy zauważyła drzwi. Podobnie jak drzwi do garderoby, były starannie zamaskowane malowidłem. Wzięła głęboki oddech i pchnęła je.

Po drugiej stronie znajdowało się czyste, choć dość spartańskie pomieszczenie, w którym spędziła zeszłą noc. Zimny pot spłynął jej po plecach. Przez otwarte na oścież drzwi weszła do sypialni i zwróciła się twarzą do fresku. Tak jak przypuszczała, drzwi znajdowały się dokładnie w

miejscu, w którym minionej nocy widziała, jak coś się poruszyło.

Ale przecież główna sypialnia była zamknięta na klucz. Kto mógł wejść tam tak późno i poruszać się w egipskich ciemnościach po zagraconym pokoju? Ciężko dysząc, Jane usiadła na łóżku, wpatrując się niepewnie w prześwit drzwi.

Czy naprawdę widziała, jak się otwierały? Mogło to być po prostu złudzenie wywołane światłem księżyca, wydobywającym nierówności ściany, których nie zauważyła za dnia. Co się tyczy hałasów, Raleigh miał zapewne rację, przypisując je szczurom. Bardzo hałaśliwym szczurom. Choć starała się zbagatelizować swoje nocne przeżycia, poczuła nagły chłód. Zimny wiatr zawył, wpadając przez okno i zatraskując z łoskotem drzwi.

Jane wstała, rozglądając się z niepokojem. Wiatr lubił hulać po wrzosowiskach, a okna były wiekowe. Nagle zapragnęła znowu znaleźć się w towarzystwie Antoine'a. Podeszła do fresku i pomacała krawędź drzwi. Nie było żadnej zasuw. Zbadała rękami całą powierzchnię ściany, ale nic nie znalazła. Zdumiona, cofnęła się.

Wspięła się na palce, by dokładniej obejrzyć zamknięte drzwi. Nie można ich było otworzyć z tej strony. Zniecierpliwiona wyszła na korytarz i weszła do sypialni pana domu. Po tamtej stronie zasuw była łatwo dostrzegalna i gładko się przesuwiała. Dziwne...

- Podejź tu, Antoine! - krzyknęła za siebie. Kamerdyner przestał przesuwac stół i zbliżył się do niej. - Po tamtej stronie nie ma zasuw. Po co drzwi z wejściem tylko z jednej strony?

Antoine wzruszył ramionami.

- Być może pan domu nie życzył sobie, by żona podglądała go bez jego wiedzy - powiedział. Widząc zdumiony wyraz twarzy Jane, zaczerwienił się. - A może po prostu zasuw się oberwała. Jak tyle innych

rzeczy w tym strasznym domu - dodał i wycofał się do swoich zadań.

Jane zachmurzyła się. Mimo ponurych przepowiedni pani Graves i utyskiwań Antoine'a nie zauważyła w tym domu nic złego oprócz brudu i nieporządku. Po prostu był zaniedbany. Czy to było aż takie straszne?

Nie, pomyślała buntowniczo, Craven Hall będzie pięknym domem, kiedy się go doprowadzi do ładu. Choć nie przywiązywała wagi do bajan gospodyni o nieszczęściach i upiorach, rzuciła się do pracy ze zdwojoną energią, ponieważ bardzo chciała, żeby Raleigh spał w tym pokoju tej nocy. Jego obecność gwarantowała, że tajemnicze hałasy i wszelkie niepokojące odgłosy się nie powtórzą.

Gdyż Raleigh, doskonały w każdym calu, nawet nie chrapał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wracając z wioski, Raleigh czuł się o wiele lepiej nastawiony do świata i ludzi. Nie tylko najadł się do syta w „Czterech Pocztylionach”, ale jeszcze wiózł ze sobą dwa wypakowane kosze jedzenia. Chociaż bywalcy „Czterech Pocztylionów” nie wydawali się równie nieprzyjaźnie nastawieni jak wieśniacy spotkani w zajeździe „Pod Cierniem i Różą”, miał dosyć rozsądku, żeby nie wspominać o Craven Hall. Współbiesiadnikom przedstawił się jako podróżnik, dzięki czemu spędził spokojne popołudnie w zacnej kompanii nad dobrym winem.

Ilekróć jego niefrasobliwy nastrój mąciło poczucie winy, że pozostawił świeżo poślubioną małżonkę w dość spartańskich warunkach,

przypominał sobie, że Jane, na przekór rozsądkowi, wyglądała na zaciekawioną starym domostwem. Próbował dociec przyczyn tego zauroczenia, gdyż przyrzekł sobie przemyśleć tajemnicze zachowania żony.

Rozparłszy się na siedzeniu, przymknął oczy i zaczął się nad tym zastanawiać. Czyżby Jane, jak żona jego przyjaciela Sebastiana - Prudence, była wielbicielką powieści grozy? Ależ skąd, Jane nie czytywała tych „okropieństw”.

Hmm... A może, jak Cornelius, miała wrodzoną skłonność do przechowywania wszystkiego, od starych czasopism po zbutwiałe rękawiczki? Szeroko otworzył oczy ze zgrozy, zaraz jednak doszedł do wniosku, że trudno podejrzewać skromnie ubraną Jane z jej ubożuchnym kuferkim o kolekcjonerstwo.

Wciąż jeszcze rozmyślał o dziwnym żoninym upodobaniu do Craven Hall, gdy powóz się zatrzymał. Raleigh znów wzdrygnął się na widok upiornej budowli. Poleciał stangretowi i stajennemu wnieść kosze, sam zaś ruszył na poszukiwanie żony. Naturalnie nikt nie czekał przy drzwiach, by odebrać od niego rękawiczki, a nawoływania w głąb domu nie spotkały się z żadną odpowiedzią.

Na moment zaniepokoił się, czy Jane nie została porwana przez duchy, o których szeptali ludzie „Pod Cierniem i Różą”. Ruszył przed siebie czymś, co przypominało ścieżkę wytyczoną pośród rupieci, i wreszcie dotarł do sypialni. Była pusta, ale z pokoju obok dochodziły go głosy, więc przewyciężając wstręt do gryzoni, wyszedł na korytarz i zajrzał do środka.

Ku jego zdumieniu powitał go zapach świeżego mydła i pszczelego wosku. Zajrzał przez drzwi i dostrzegł kobietę, która zmieniała pościel. Chrząknął z aprobatą. Nareszcie mieli jakąś służbę poza panią Grobowiec.

- Dobra robota! - pochwalił. Drobną postać podskoczyła i odwróciła

się twarzą do Raleigha. Bez entuzjazmu rozpoznał szczupłą figurę, wyzierające zza binokli rozszerzone przerażeniem oczy i usta, zazwyczaj zaciśnięte, teraz rozchylone w nerwowym wdechu.

Jane złapała się za szyję, przyciągając wzrok Raleigha do mlecznobiałej skóry swojej szyi. Smuga brudu znaczyła jej jasny policzek. Kropla potu spływała po czole, a włosy wymykały się spod czepka. Uwagę Raleigha przykuł opadający na policzek złoty kosmyk, który ginał za kołnierzykiem sukni.

Gdy tak wpatrywał się w Jane z dość ogłupiałą miną, przyszło mu na myśl, że jego żona nigdy nie wyglądała równie bezbronne - i równie ponętnie. Potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się tych myśli. Na co dzień był niezwykle pedantyczny. Nie cierpiał brudu i niechlujnych strojów. Jego kobiety musiały oszałamiać strojem i słodkim zapachem perfum, a jednak ze zdumieniem poczuł przypływ pożądania.

Z pewnością zbyt długo obywatel się bez kobiety. Miał ochotę zedrzyć komiczny czepek do prac domowych z włosów Jane, rozpuścić je i rozczesać palcami. Pragnął posmakować potu z jej czoła, ale ponad wszystko chciał prześledzić bieg niesfornego kosmyka, który zniknął w niezbadanych zakamarkach pomiędzy prostą suknią a ciałem jego żony.

Pożądał Jane.

Myśl o tym przeraziła go tak bardzo, że ocknął się wreszcie z erotycznych rojeń. Postąpił krok do przodu, przywołując na twarz beztroski uśmiech.

- Przywiozłem kolację, Więc nie będziemy musieli próbować kleiku dla ubogich czy innych delicji z karty dań pani Grozy - powiedział.

Jane zamrugnęła, niezgrabnie opuszczając uniesioną rękę.

- Ojej, przestraszyłeś mnie. Jak przebiegło spotkanie z notariuszem?

Raleigh przysiadł na skraju masywnego stołu, krzyżując ręce na piersiach.

- Nie doszło do niego. Pan Felix Fairman zniknął i nikt nie zna dokładnej daty jego powrotu.

Zmarszczyła lekko brwi i Raleigh poczuł nagle ochotę, by wygładzić zmarszczki na jej czole. Językiem.

- Niedobrze. Co zamierzasz zrobić? - spytała.

Wzruszył ramionami, starając się nie patrzeć na kosmyk, który przywarł do jej policzka.

- Chyba czekać na niego. Nie pozostaje mi nic innego, muszę się przecież dowiedzieć, jak sprawy stoją. - Żeby nie patrzeć na żonę, rozejrzał się po sypialni. - Widzę, że udało ci się dokonać tutaj cudu. To chyba sypialnia gospodarza, więc wyobrażam sobie, w jakim była stanie. Twoi nowi pomocnicy ostro wzięli się do roboty.

- Prawdę mówiąc, nie posyłałam po żadną pomoc. Liczyłam, że ty to zrobisz.

Raleigh zaniemówił na chwilę, a potem zaczerwienił się na myśl o tym, że harowała przez cały dzień jak postugaczka.

- Jeszcze nie jest ze mną tak źle, by moja żona musiała szorować podłogi! - oświadczył z oburzeniem.

- Nie mam nic przeciwko szorowaniu podłóg. Zresztą i tak zrobił to Antoine.

- Antoine! - Raleigh aż pokręcił głową. - Antoine? Chcesz powiedzieć, że mój kamerdyner... sprzątał tutaj?

- Owszem, był bardzo pomocny - potwierdziła Jane. Raleigh nie ukrywał zdumienia.

- Sądziłbym, że prędzej zemdleje i każe się zanieść do łóżka, niż

weźmie się do tak podłej roboty.

- Nie było łóżka, do którego mógłby kazać się zanieść - zauważyła Jane i Raleigh spojrział na nią ze zdumieniem: Ta mała wreszcie zaczęła żartować? Uwielbiał, kiedy zdradzała choćby najmniejsze oznaki głęboko skrywanego poczucia humoru. Chciałby jakoś pomóc mu rozkwitnąć, chciałby ująć w dłonie jej umorusaną twarz i całować małe usta.

Czym prędzej powrócił do spraw bieżących.

- A co z Madeleine? Jeśli mi powiesz, że również pracowała, padnę trupem z wrażenia.

Przysięgłby, że kąciki jej ust drgnęły, jednak odpowiedziała z powagą:

- Madeleine jest w drodze powrotnej do twojej matki.

- Wyrzuciłaś ją? - spytał zdumiony. Nie mógł winić żony za to, że odesłała pokojówkę. Francuzka stroiła okropne fochy.

- Ależ skąd! - Jane wyglądała na przerażoną. - Złożyła wymówienie, bo nie odpowiadały jej... warunki bytowe.

Raleigha rozśmieszyło to ostrożne sformułowanie. Był pewien, że pokojówka wyraziła się znacznie dosadniej.

- Nie mogę powiedzieć, żebym ją opłakiwał - oświadczył i z dużą przyjemnością dostrzegł, że Jane znów powstrzymuje uśmiech. Czemu stale z nim walczyła?

- Zaczekaj, pokażę ci, co znalazłam! - zawołała. Przez chwilę wyglądała, jakby go miała wziąć za rękę, ale ku ubolewaniu Raleigha najwyraźniej się rozmyśliła. - Czasami zapominam, że nie jesteś jednym z moich braci - powiedziała, ściągając brwi. Jednak lekki rumieniec, który wypłynął na jej twarz, dodał mu nieco otuchy. Był to już jakiś krok do przodu.

Uśmiechając się pod nosem, Raleigh dał się poprowadzić przez labirynt pokojów na tyły domu.

- Znalazłam go, wynosząc śmieci - wyjaśniała Jane odwracając się przez ramię. - Zrobiłam w sypialni, co było w mojej mocy. Odstawiłam książki do biblioteki, naczynia do kuchni, a różne osobliwości do galerii. Twój wuj musiał być prawdziwym kolekcjonerem! Musisz zobaczyć niektóre z tych rzeczy.

Choć Raleighowi trudno było wyobrazić sobie bardziej przykre zajęcie, nic nie powiedział, zadowolając się obserwowaniem kołyszących się łagodnie spódnic idącej przed nim Jane.

- Naturalnie kazałam stajennym spalić stare gazety i wszystko, co się nie nadaje do oddania szmaciarzowi, ale pilnowałam ognia, żeby nie doszło do pożaru.

Raleigh próbował wyobrazić sobie którąkolwiek ze swoich kuzynek, jak dogląda sterty płonących śmieci, ale nie potrafił.

- Zrobiło mi się trochę gorąco od płomieni, więc poszłam się przejść parę kroków i wtedy go znalazłam - mówiła Jane. Jej głos, pełen niekłamanego podniecenia wzbudził rezonans w ciele Raleigha.

Otworzyła drzwi na oścież. Powitała ich posępna mżawka, nieodmiennie siąpiąca w Northumberland. Lawirując między potłuczonymi doniczkami i kępami chwastów. Raleigh zastanawiał się, co też Jane mogła odkryć atrakcyjnego. Zaabsorbowany patrzeniem pod nogi, o mało nie wpadł na nią, kiedy nagle się zatrzymała.

- Spójrz! - powiedziała łamiącym się z przejęcia głosem.

Raleigh spojrział, ale dostrzegł jedynie gęstwinę zdziczałych krzewów i roślin, porastających pustkowie wrzosowisk. Otworzył usta, by wygłosić odpowiedni komentarz, zaraz jednak zamknął je, gdyż żona odwróciła się do

niego z wyrazem radosnego ożywienia na twarzy, jakiego nigdy u niej nie widział.

- Ogrody! - wykrzyknęła, zataczając ręką łuk, jakby chciała objąć całą posepną okolicę. - Będą ciągnąć się w nieskończoność, aż wtopią się w naturalny krajobraz. Nigdy jeszcze nie widziałam równie ambitnych założeń ogrodowych! - zachwyciła się.

Raleigh patrzył w osłupieniu na gęstą płataninę chaszczy, usiłując porównać ją do nienaganych trawników Wrotha w Sussex, gdzie klomby barwnych kwiatów cieszyły oko właściciela. Nie był wprawdzie ogrodnikiem, ale potrafił odróżnić chwast od reszty roślin. A chwastów było tu w bród.

Jednak jego żona patrzyła z taką nadzieją, że Raleigh zdobył się na uśmiech.

- Hmm... To z pewnością wielkie pole do popisu - powiedział dyplomatycznie. Nagrodą za jego wysiłki było ciche westchnienie Jane, które natychmiast przywiodło mu na myśl schadzkę w cieniu drzew. Odsuwając się, by nie odkryła, co jest prawdziwym obiektem jego zainteresowań, pomyślał, że bardzo by pragnął, aby jego żona wykazała choć trochę podobnego entuzjazmu dla czegoś, co nie było splachetkiem zaniedbanego gruntu.

- Jak tylko skończę z domem, zajmę się ogrodem - oznajmiła Jane.

Nieświadoma tortur, jakie mu zadaje, uklękła, by z miłością przyjrzeć się ziemi, a Raleigh zatęsknił za dniem, kiedy jej palce dotkną go z równym uczuciem. Westchnął tęsknie, zaraz jednak otrzeźwiał. Co ona powiedziała? Że jak skończy z domem? Otworzył usta, by wyjaśnić, że nie zamierza tutaj siedzieć w nieskończoność, ale Jane uprzedziła go.

- Żyzna ziemia jest cudowna w dotyku - powiedziała ciepłym, miłym

głosem i Raleigh nerwowo poprawił zbyt obcisłe spodnie.

- Rozumiem, że masz dobrą rękę do roślin - wybąkał. Żeby nie myśleć, gdzie by chciał poczuć dotyk tej ręki, usiłował przypomnieć sobie, o czym też chciał porozmawiać z nią przed chwilą.

- Czy ja wiem... To po prostu moje hobby - odparła z wrodzoną skromnością. - A ty nie masz żadnego hobby, czegoś, co lubiłbyś robić?

Miał dość rozsądku, by nie powiedzieć tego, co jako pierwsze przyszło mu na myśl. Jane zapewne nie pochwaliłaby również hazardu ani wyścigów konnych czy innych popularnych w jego kręgach rozrywek. Szukał w pamięci czegoś, co zyskałoby aprobatę jego żony, aż wreszcie doznał olśnienia.

- Swatanie - oznajmił rozpromieniony. Jane spojrzała na niego w osłupieniu.

- Co?

- Swatanie - wyjaśnił Raleigh, ośmielony wrażeniem, jakie wywarł. - Mam miłe poczucie, że przyczyniłem się do zamążpójścia twojej siostry, choć muszę przyznać, że Max i Charlotte od zawsze wydawali się stworzeni dla siebie. Większą rolę odegrałem w wyswataniu Wrotha. I to ja uparcie próbowałem podsycać romans między hrabią Ravenscar a jego przyszłą żoną. Omal nie doszło do tragedii, jednak miałem nosa i wszystko skończyło się dobrze.

Jane przysiadła na piętach i z zadartą głową przyglądała mu się, jakby oszalała. Kolejny krok naprzód wobec pogardy, jaką darzyła go do tej pory, skonstatował.

- To szalenie zabawne przyglądać się, jak moi przyjaciele wiją się, próbując wyprzeć się uczuć, dla reszty świata widocznych na miłę - wyjaśnił.

Jane z westchnieniem podniosła się z ziemi, zanim zdążył podać jej dłoń.

- Bzdurne zajęcie - oświadczyła, wycierając palce w wielki fartuch.
- Tak sądzisz? - spytał. Oglupiały nieco, patrzył, jak odwraca się i kieruje ku domowi, po krótkim wybuchu entuzjazmu sztywna jak zawsze. Odprowadził ją wzrokiem.

- Nie mam doświadczeń w tej sprawie, ale myślę, że to cudowne uczucie być zakochanym - powiedział bardziej do siebie niż do oddalającej się żony. - Naprawdę cudowne.

Raleigh westchnął w ciemnościach. Zwykle spał jak kamień, ale tej nocy nie mógł odprężyć się w pełni, gdyż jego myśli zajmowała Jane. W przeszłości żadna kobieta nie pozbawiała go snu, chyba że była to jakaś nienasycona figlarka, jednak jego żona... była inna niż one.

Jane w dalszym ciągu stanowiła dla niego zagadkę. Po zdumiewającym wybuchu uczuć do na wpół zeschniętych chwastów powróciła do swej zwykłej powściągliwości, traktując go ze sztywną kurtuazją, odtrącając łąkocie, które przywiózł z cukierni, i w ogóle zachowując się nieprzyjaźnie. Raleigh miał ochotę chwycić ją za ramiona i strząsnąć z niej tę upiorną powściągliwość, gdyż podejrzewał, że pod tą nie tak znowu bezbarwną powierzchownością kryje się kobiecość, której Jane z niepojętych przyczyn nie dopuszcza do głosu.

Choć obce mu były zachłanność i samolubstwo, nie pojmował sensu wyrzeczeń, gdy można było skosztować jakiejś przyjemności. Pieniądze były po to, by je wydawać, dobra kuchnia i wino po to, by się nimi delektować, a kobiety, by flirtować z nimi niewinnie lub kochać się niespiesznie. Jęknął. Nie mógł zapomnieć Jane, jak zarumieniona i

podekscytowana nachyla się nad ziemią.

Męczył się prawie tak samo jak wtedy, kiedy zaskoczył ją ścielącą łóżko. Chociaż nigdy nie romansował ze służącą, Jane w charakterze pokojówki miała w sobie coś podniecającego. Gdy widział ją rozgrzaną, spoconą i swobodną, nawiedzały go wizje dwóch dotykających się ciał, wilgotnych i gładkich...

Odwracając się na wznak, usiłował zrozumieć pogardę żony dla siebie i jej dezaprobatę widoczną w każdym niemal słowie. Ale jego nieposłuszne myśli szybko powędrowały ku jej sypialni i łóżku. Czy spała dobrze? Nie mógł tego sprawdzić. Kiedy minionej nocy mrozące krew w żyłach okrzyki Jane przywołały go do jej sypialni, został odprawiony z powrotem.

Słyszała jakieś podejrzanе odgłosy. Gdyby miał do czynienia z inną kobietą, uspokoiłby ją pocałunkiem lub pieszczotą, jednak Jane nie należała do płochych istot. Skoro twierdziła, że słyszała niepokojące hałasy, coś w tym musiało być. Czy był to tylko wiatr, czy skrzypienie starego domu - nie umiał powiedzieć, ale przyłapał się na tym, że sam również nasłuchuje nie wiedzieć czego.

Pozamieniali się pokojami i Antoine ulokował się na kozetce w garderobie, lecz Raleigh odkrył, że teraz jeszcze bardziej martwi się o żonę, śpiącą w pokoju, w którym unosił się duch jego wuja Holroyda, tym samym, z którego, jeśli wierzyć Jane, dochodziły zeszłej nocy niepokojące odgłosy. Nie podobały mu się również drzwi bez zasuwki. Mimo wstydliwych protestów Jane uparł się, by domknąć je tylko przysuniętym krzesłem.

W napięciu czekał, aż jakiś zagadkowy hałas obudzi jej niepokój. Wreszcie poddał się, zde gustowany. Nigdy nie miał zwyczaju martwić się byle czym, jak reszta jego rodziny, i było już chyba za późno, by się do nich upodobnił. Odwrócił się na bok i zamknął oczy.

I wtedy coś usłyszał.

Niechętnie odkrył, że wszystkie jego zmysły zostały postawione w stan pogotowia. Myszy, usiłował przekonać samego siebie, albo jakieś robactwo. Chyba jednak zakute w zbroję, gdyż wyraźnie rozróżniał szcęk metalu. Brzęczenie łańcuchów? Myśl ta wydała mu się tak absurdalna, że usiadł, patrząc w stronę lekko uchylonych drzwi. Choć próbował zbagatelizować lęk o Jane, zdecydował się wstać z łóżka.

Tym razem jednak pamiętał o tym, by włożyć adamaszkowy szlafrok, i choć myślał, że będzie przemykał się przez własny dom jak włamywacz, nie wzbudzała w nim entuzjazmu, ruszył przed siebie na bosaka, starając się stąpać bezgłośnie. Jego wysiłek był zapewne całkowicie zbyteczny, ale musiał sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Nie był całkiem pewien, co spodziewał się zastać w sypialni Jane, jednak w ciemnościach, poza wciąż trwającym pobrzękiwaniem, nic się nie działo. Jane spała jak zabita. Naturalnie, wychowując się na plebanii, musiała nauczyć się nie reagować na dźwięki cichsze niż kula armatnia, pomyślał Raleigh.

Spojrzał w górę, skąd wydawał się napływać niepokojący hałas. Pewnie jakaś uszkodzona balustrada postukiwała w piekielnym wietrzysku albo może wiewiórka czy jakieś inne zwierzę uwiło sobie na dachu gniazdo. Stał patrząc, na sufit, gdy nagle coś trzasnęło przeraźliwie nad jego głową.

Dobry Boże, ta rudera wkrótce się zawali! Mrużąc oczy, starał się przebić wzrokiem ciemności, ale daremnie spodziewał się, że płat stiuku runie na niego, a zaraz potem posypie się cały dach. Uniósł rękę, by osłonić głowę, kiedy Jane, przebudzona trzaskiem, krzyknęła przeraźliwie.

- Jane, to ja - pośpieszył ją uspokoić.

- Raleigh! Co ty tutaj robisz? - Jej zgorszony głos zdradził, że

podejrzewa go o jakieś nieczne zamiary względem jej osoby.

- Próbuję odkryć źródło jakichś dziwnych pobrzękiwań - wyjaśnił. -
Czy słyszałaś wczoraj w nocy coś, co przypominało brzęczenie łańcuchów?
- Wciąż jeszcze patrzył w górę, kiedy rozbłysło łagodne światło. Zamrugał.

Światło dosięgło stiukowego sufitu. Raleigh odwrócił się i zobaczył zaspaną twarz Jane, która po omacku szukała binokli. Widok ten dziwnie go rozczerzył, ogarnęło go nagłe, dojmujące pragnienie, by podejść do niej, wyjąć jej oprawki z rąk i ująć jej twarz w dłonie...

Jedno spojrzenie na twarz żony urwało te miłe fantazje jak nożem uciął.

- Wydaje mi się, że słyszałam coś, co można by uznać za szczęk łańcuchów - odparła, ściągając brwi.

- Podobnie jak ja dzisiaj - powiedział Raleigh. - Dźwięk płynął z góry
- dodał, wskazując sufit. - Może powinienem wejść na górę zbadać tę sprawę.

- Nie! - krzyknęła Jane.

Zdumiony tym gwałtownym protestem, Raleigh przyjrzał się żonie uważnie. Czy się zarumieniła, czy tylko zamigotał refleks świecy na jej twarzy? Jeśli zmieniła plany, chętnie odłoży przeszukiwanie mrocznych zakamarków Craven Hall na później.

- Nie chcesz, żebym cię zostawił? - spytał z uśmiechem.

Obdarzyła go jednym z karcących spojrzeń, które skutecznie zgasiły pragnienia Raleigha.

- Chciałam powiedzieć, że chodzenie w ciemnościach jest niebezpieczne. Pełno tu różnych rupieci...

Raleigh spojrzał do góry.

- Chyba masz rację - przyznał. Tak czy owak, bynajmniej nie rwał się

do przeszukiwania domu. - Bóg jeden wie, co tam jest na górze.

- Pani Graves twierdzi, że znajdują się tam galeria i apartamenty dla gości.

Raleigh roześmiał się na samą myśl, że w Craven Hall mogli bawić goście, a co się tyczy gospodyni...

- Pewnie to ona tłucze się na górze jako duch potępieńca - powiedział.
- Jeśli mamy zamiar zostać tu choć parę dni dłużej, chyba będę musiał zwolnić tę kobietę.

- Proszę cię, nie rób tego. Z pewnością jest nieszkodliwa, po prostu ma swoje przyzwyczajenia i tyle...

- Raczej swoje przyczajenia - mruknął Raleigh, kręcąc głową w podziwie nad tolerancją Jane. Czemu nie jest taka wyrozumiała dla niego? Był chyba wystarczająco miły. Czy nie mogłaby zaprosić go, żeby się obok niej położył? - Jak sobie życzysz - dodał szybko, widząc jej karcące spojrzenie. Czyżby umiała czytać w myślach? - Jednak poproszę jutro kogoś, żeby obejrzał dach. Może okno na górze zamykają się na łańcuchy...
- zażartował kwaśno. Ale w tej ruderze wszystko było możliwe.

- Cokolwiek to było, teraz ucichło - powiedziała Jane, patrząc podejrzliwie na sufit. Raleigh wyczuł w jej głosie dezaprobatę. Do diabła, czy ona wyobraża sobie, że wymyślił to wszystko jako wymówkę, żeby wdrzeć się do jej sypialni? Jeszcze nigdy nie musiał uciekać się do takich podstępów, żeby zdobyć kobietę! Miał też swoją dumę, którą jego małżonka znów uraziła.

- Tak, wszystko ucichło, więc pójdę już sobie - oświadczył z lekkim ukłonem. Niewdzięczna jędza, niechby jej sufit spadł na głowę! Ale wychodząc, sprawdził, czy w drzwiach, na wszelki wypadek, pozostała szczelina.

- Możesz je całkiem zamknąć. Jestem pewna, że nic mi nie będzie. -
To łagodne upomnienie Jane doprowadziło go niemal do furii. Na Boga, musi ją przerażać bardziej niż tajemnicze szcęknięcia łańcucha, skoro nie może dopuścić myśli, że miałby dostęp do jej pokoju! Czyżby sądziła, że zamierza ją posiąść siłą? To byłby koniec świata, gdyby próbował zgwałcić Pospolitą Jane!

- Jak sobie życzysz - burknął i wyszedł, zatrzasnął idiotyczną ruchomą ścianę za sobą. Wróciwszy do swojej sypialni, próbował otrząsnąć się z gniewu, tak nietypowego dla jego pogodnego zazwyczaj usposobienia. Podniósł rękę, żeby przetrzeć oczy. Do diabła, nikt ze znanych mu osób nie potrafił rozdrażnić go tak jak własna żona.

Co by też powiedzieli jego przyjaciele na wiadomość, że komukolwiek udało się go sprowokować? Raleigh nigdy do tego nie dopuścił, z równą łatwością wymawiając się opojom, którzy chcieli urządzać z nim zawody w picciu, jak i wykręcając się od rozmaitych towarzyskich gier. Wycliffe z pewnością nie uwierzyłby, że jego niepozornej szwagierce powiodło się tam, gdzie zawiedli najwytrawniejsi gracze.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Zaskoczony, opuścił gwałtownie rękę. Na Boga, czyżby jego nieustanne sprzeczki z żoną miały głębszy podtekst? On, który obserwował burzliwy rozwój niejednego romansu, lepiej niż inni wiedział, jak nieprzewidywalna potrafi być w kwestiach serca ludzka natura.

Ale to? Potrząsnął ponuro głową. Z pewnością był teraz bardziej przywiązany do żony, co wydawało się całkiem naturalne, skoro zostali skazani na siebie; Był mężczyzną o zdrowych apetytach, które chwilowo nie były zaspokojone, poza tym nie należał do samotników.

Roześmiał się niepewnie, próbując wesołością rozproszyć nękające go wątpliwości. Jednak myśl o pustym łóżu była niezbyt pociągająca. Zamiast

wrócić do łóżka, zapalił latarnię, którą wziął z kuchni, i przetrząsnął pokój w poszukiwaniu nowej książki Ravenscarów, którą już wcześniej zaczął. W położonym na odludziu Craven Hall niewiele było rozrywek poza lekturą. Ale książki nie było ani na fotelu, gdzie ją położył, ani też nigdzie w pokoju.

Może zostawił ją w jadalni, jedynym poza sypialniami nadającym się do użytku pomieszczeniu w Craven Hall. Z przyjemnością przypomniał sobie, że zostawił tam również butelkę tego wspaniałego burgunda, przywiezionego z „Czterech Pocztylionów”. Mógłby poszukać jednego i drugiego, pomyślał, wsuwając bosc stopy w pantofle. Nie zamierzał dzwonić po panią Graves; myśl, że miałyby się pojawić o tej porze, wydała mu się przerażająca. Nie chciał też budzić biednego Antoine'a, który harował jak niewolnik, a teraz chrapał głośno w garderobie.

Cicho otwarłszy drzwi, ruszył do głównej części domu. Nie mógł się przyzwyczaić do wiejskiego rozkładu dnia. W Londynie w dalszym ciągu przenosiłby się z przyjęcia na przyjęcie albo siedział w klubie, lub też, gdyby miał pieniądze, oddawałby się hazardowi w jednej z jaskiń gry. To cud, że dotąd nie zanudził się jeszcze w tej zabitej dechami dziurze!

Kiedy jednak zaczął się zastanawiać, gdzie by chciał być, nie myślał raczej o Londynie, którego uroki zdążyły mu już zbrzydnąć. Przeglądał w myślach domy swoich przyjaciół, ale nawet perspektywa przyjemnego tygodnia czy dwu w Casterleigh nie bawiła go zbyt. Prawdę mówiąc, nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby być gdziekolwiek indziej niż w Craven Hall.

Trochę go to zaniepokoiło, uznał jednak, że niecodzienne warunki dodawały nieco rumieńca sytuacji, podobnie jak ciągłe zabieganie o najprostsze wygody. Walka o przeżycie od zarania dziejów mobilizuje mężczyzn.

A jeśli towarzystwo jego niespodzianie poślubionej małżonki miało coś wspólnego z brakiem nudy, Raleigh w obecnym nastroju wołał nic o tym nie wiedzieć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jane zatonąła w pościeli. Nareszcie sobie poszedł. Choć nie było to przyzwoite, zrzuciła z siebie kołdrę i leżała na łóżku odziana jedynie w koszulę nocną, co zdarzało jej się tylko w upalne noce na plebanii. Było jej tak gorąco, że miała ochotę rozebrać się do naga.

Kiedy uświadomiła sobie, jak dalece zbłądziły jej myśli, zabrakło jej tchu. Od chwili gdy w środku nocy odwiedził ją Raleigh, walczyła z dziwnym i niestosownym uczuciem. Choć jego obecność zaszokowała ją, jeszcze większym szokiem było odkrycie, że jakaś niewielka, utajona jej część czuła się bardzo podniecona.

To było bezprecedensowe. I niewiarygodne.

W przeciwieństwie do swojej niepokornej starszej siostry, Jane była zawsze wzorem dobrych manier. Nigdy nie rozglądała się za chłopcami ani nie zastawiała sidła na wybrańca jak Charlotte. Żaden młody człowiek nigdy jej nawet jeszcze nie pocałował! Zresztą wcale nie miała na to ochoty.

Czemu więc czuła się tak bardzo podekscytowana, widząc w ciemnościach swojego męża odzianego jedynie w kusy szlafrok? Choć jego strój stanowił niewątpliwie postęp w stosunku do całkowitej nagości, nadal był z gruntu nieprzyzwoity. Oszalamiająco nieprzyzwoity.

Poczuła przemożną chęć, by przywołać do siebie Raleigha.

Mimo że ciało w dziwny sposób odmawiało jej posłuszeństwa, udało jej się zapalić świecę i założyć binokle. Jednak łagodne światło świec podrażniło jedynie jej zmysły i wysoka sylwetka męża wydała jej się jeszcze bardziej atrakcyjna. Jak wszystkie stroje Raleigha, szlafrok również wydawał się niezwykle gładki w dotyku. Jane czuła, jak jej wzrok przyciąga zapięcie z przodu. Niżej spod szlafroka wystawały umięśnione łydki i białe stopy o delikatnych kościach.

Tylko Raleigh mógł mieć tak kształtne stopy, pomyślała z rozgoryczeniem, zakopując własne nogi głęboko pod kołdrę. Kiedy zmusiła się, by spojrzeć w górę, odsłonięty tors męża wywołał w niej pragnienie, by zedrzeć jedwabny adamaszek z ramion wicehrabiego i rzucić choć jedno spojrzenie na jego szeroką pierś i muskularne ramiona.

Mimo że buntowała się przeciwko temu, jego widok wyraźnie ją ekscytował. A on, swobodny i nonszalancki, jak zwykle nic sobie nie robił z jej spojrzenia. Wzbudzał w niej tęsknotę tak intensywną, że nieomal namacalną. Kiedyś dręczył ją żal, że nie jest ani tak piękna, ani tak dowcipna jak Charlotte - ale wiele lat temu zepchnęła to uczucie głęboko w podświadomość.

A teraz była zazdrosna o urodę Raleigha - nigdy nie objawiała takich uczuć w stosunku do mężczyzn! Zaczęły się w niej budzić wspomnienia dawnych pretensji do losu. Obwiniła męża o wskrzeszenie tych uczuć, a siebie - o złamanie przysięgi, że nie ulegnie jego urokowi.

Wreszcie, ledwie żywa z wysiłku, by nie poddać się wdziękowi Raleigha - wyrzuciła go. Kazała mu też zamknąć drzwi z tego prostego powodu, że przestała ufać samej sobie. Nawet teraz pragnęła gorąco spotkać go w jego własnym pokoju.

Co robić w tej sytuacji? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że czoło ma zroszone potem. Zacisnąwszy dłonie na prześcieradłach, przeklinała wtargnięcie Raleigha. Czy rzeczywiście coś słyszał? Nie miała powodu, by mu nie wierzyć, ale wiedziała, że zdarzało mu się mijać z prawdą.

Od powrotu z wioski zachowywał się dość dziwnie. Wiele razy przyłapała go na tym, że przygląda jej się taksująco, inaczej niż przedtem. I nie sarkał zbyt na Craven Hall, choć prawdopodobnie w życiu nie przyszło mu dotąd nocować w równie opłakanych warunkach.

Wiedziała, że nic go tu nie trzyma, mimo to z jakiegoś powodu został. Być może był zbyt bezwolny, żeby się stąd wynieść, myślała, starając się na wszelkie sposoby obrzydzić sobie męża. Jednak nerwy miała wciąż rozdrażnione, a ciało dziwnie napięte i rozpalone. Jej rozmyślania przerwał nagle dziwny dźwięk, zupełnie odmienny od skrzypienia domu i stukotu okiennic, do których zdążyła już przywyknąć. Świeca nadal paliła się przy łóżku, toteż nie przeraziła się, tylko przekrzywiwszy głowę, słuchała uważnie.

Nie były to raczej łańcuchy, skonstatowała z ulgą, lecz coś, co przypomniało wycie. A może drzwi otwarły się na oścież? Wprawdzie z pękniętej szyby w oknie ciągnął lekki powiew, jednak daleko mu było do wycia wichury. Po chwili znów usłyszała wysokie, niesamowite głośne zawodzenie.

Usiadła gwałtownie. Żadna ze ścian nie drgnęła, w jej pokoju nie było żadnego mężczyzny, więc powstrzymała się od krzyku. Wstała i i narzuciła skromny szlafrok. W niczym nie przypominał luksusowego szlafroka Raleigha i nagle poczuła ukłucie zazdrości, które ją samą zaskoczyło. Zawsze odrzucała przecież proponowane jej przez Charlotte eleganckie ubrania jako przedmioty zbytku. Wstrzymawszy oddech, zbliżyła się do

fresku i bez trudu odnalazła zasuwkę, jednak jej dłonie zaczęły drżeć, kiedy pomyślała, że po drugiej stronie spoczywa w łóżku jej mąż. Nagi. Bardziej przestraszona tym, co było przed nią, niż tym, co pozostawiła za sobą, wahała się przez chwilę, ale w końcu pchnęła drzwi do środka.

Ogarnęły ją ciemności i choć była rozsądną osobką, poczuła się nieswojo. Pamiętała jeszcze młodszych braci, wyskakujących z ukrycia z wojennym okrzykiem na ustach. Teraz jednak nikt się na nią nie rzucał. Rozdrażniła ją własna głupota. Przytrzymałszy drzwi stojącym w pobliżu krzesłem, weszła do sypialni, ale jej determinacja osłabła, kiedy uprzytomniła sobie, że Raleigh śpi. W łóżku. W ciemnościach. Zapewne nagi.

Zmusiła się, by ruszyć chwiejnym krokiem do przodu, choć jej serce biło tak mocno, że niemal zagłuszało zawodzenie. Kiedy dotarła do masywnego, gotyckiego łoża, zobaczyła skłębione kołdry. Przymknęła oczy, przerażona tym, co mogłaby zobaczyć - albo zrobić - gdyby jej mąż nie miał nic na sobie. Czuła rozpaczliwą potrzebę, by wczołgać się do łóżka i położyć przy nim. Pot znów wystąpił jej na czoło. Zmrużyła oczy, ale mimo to na łóżku widziała tylko pościel i narzuty. Odrzuciła kołdrę i wszelkie wątpliwości się rozwiały.

Raleigh zniknął.

Gdzie mógł być o tej porze? Kiedy stała przy łóżku, zachodząc w głowę, zawodzenie powróciło ze zdwojona siłą. Spojrzała w górę i targnął nią niepokój. Czyżby Raleigh też usłyszał ten hałas i poszedł na górę sprawdzić, co by to mogło być?

Nagle dotarło do niej, że nigdy nie słyszała wycia ani zawodzenia, kiedy jej mąż był w pobliżu. Przypomniała sobie, jak ojciec czytał im na głos którąś z tych upiornych powieści o szkielecie. Chłopcy byli

zachwyceni. Potem całymi tygodniami ona, ojciec i maluchy znajdowali najrozmaitsze kości w łózkach, butach, garderobie. Nawet jej ojciec, uosobienie cierpliwości, zmęczył się tym w końcu i w domu zaniechano czytania powieści grozy.

Choć parę razy miała w ręku tego typu książki, naturalnie jedynie z czystej ciekawości, nigdy nikomu nie zdradziła, jak bardzo ją przerażyły. Szybko zresztą rozstała się z tym gatunkiem powieści, głównie z powodu nierealnych, romantycznych głupot, od jakich się w nich roiło.

Przypomniała sobie żarty swoich braci. Towarzyszyły im często złowieszcze skowyty, choć nie aż tak przerażające jak odgłosy w Craven Hall. Stała niezdecydowana między drzwiami na korytarz a drzwiami do swojego pokoju, nie wiedząc, co robić, choć zawrodość, ciche z początku, teraz się nasiliło.

Raleigh wyrósł już chyba z takich psikusów. A może nie? A jeśli go zbyt łatwo rozgrzeszyła? Wysiłkiem woli odrzuciwszy słabość do niego, zdecydowała się trzeźwo rozważyć sprawę. Jego nieobecność w pokoju o tej porze była bardziej niż podejrzana.

Czy to możliwe, by leniwy Raleigh dla rozrywki włóczył się w nocy po Craven Hall, zawodząc i potrząsając łańcuchami? Krew napłynęła jej do twarzy na myśl, że to ona miała być obiektem jego żartów, dla kogóż innego jednak chciałoby mu się tak wysilać? Czy mógł być aż tak okrutny, by ją naprawdę straszyć? Niechętnie stwierdziła, że niczego nie może wykluczyć. Może spodziewał się, że ze strachu padnie mu w objęcia - lub, przeciwnie, ucieknie, gdzie pieprz rośnie? Może chciał, by zapragnęła wyjazdu z Craven Hall albo zrezygnowała z małżeństwa?

Ta myśl przyprawiła ją o nieoczekiwany ucisk w sercu. Zrezygnowała z wyjścia na korytarz i zawróciła do własnej sypialni, szczelnie zamykając

drzwi. Kładąc się do łóżka, zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna zrejterować do domu, jak Madeleine, ale na samą myśl o plotkach, jakim musiałaby stawić czoło, zeszywniała. Biedna Jane! Nie potrafiła nawet utrzymać męża, którego poślubiła pod przymusem...

Naturalnie mawiano o niej gorsze rzeczy, ale teraz poczuła w sobie nieoczekiwany sprzeciw. Nagle odechciało jej się udawać, że nie słyszy szeptanych komentarzy i nadstawiać drugiego policzka. Ani też nie chciała wyjeżdżać z Craven Hall. Sama nie wiedziała, czemu było to dla niej takie ważne.

Jej nowa determinacja prysła jak bańka, kiedy zawodzenie urwało się nagle. Coś załomotało nad jej głową. W głuchoj ciszy, jaka zapadła, leżała wciśnięta w pościel, rozważając perspektywy, jakie ją czekały, jeśli Raleigh złamie sobie którąś ze swoich nieskazitelných kończyn.

Po osuszeniu butelki wyśmienitego burgunda i dobrze przespanej nocy, Raleigh wstał w o wiele lepszym humorze. Obecność kamerdynera, który z nadzwyczajną zręcznością zawiązał mu fular, dodatkowo poprawiła nastrój wicehrabiego. Gdyby jeszcze tylko mógł dopełnić formalności z Feliksem Fairmanem i opuścić dwór wuja, życie wróciłoby do normy. Teraz marzyło mu się tylko dobre śniadanie. Niestety, szanse na nie były znikome.

- Chyba zjem we wsi - powiedział, wytwornym gestem otrzepując mankiety.

- Czy to ostrzeżenie przed tutejszą kuchnią, milordzie? - spytał Antoine, pochylając się, by wygładzić surdut swego pana.

- Ależ skąd. Przecież uwielbiasz wodnistą jajecznicę i przypalone grzanki.

Antoine skrzywił się z obrzydzeniem.

- Powinien pan uwolnić dom od tej poczwary!

- Od pani Graves? Świetny pomysł, ale nie sądzę, żeby znalazł aprobatę w oczach wicehrabiny. Miłosierdzie chrześcijańskie i tak dalej.

Antoine milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad doborem słów, co było zupełnie do niego niepodobne.

- Jest bardzo... niecodzienna - powiedział w końcu. - Nie uważa pan, milordzie?

- Do diaska, tak. Ale będziemy musieli męczyć się z nią najwyżej parę dni. Potem sprawy służby spadną na głowę następnego właściciela. - Prawdę mówiąc, nie mógł doczekać się tego dnia.

Wąsik Antoine'a drgnął.

- Miałem na myśli lady Raleigh, milordzie. Szkoda, że pan nie widział, jak sprzeciwiła się gospodyni.

- Mogę to sobie wyobrazić! Milady niewątpliwie umie postawić na swoim - odparł wicehrabia i pomyślał, że jego żona okazała się osobą o wiele bardziej interesującą, niż przypuszczał.

- A sprzątanie! W życiu czegoś takiego nie widziałem! Chyba nie ma rzeczy, której wicehrabina nie umiałaby zrobić! Jednak muszę prosić uniżenie, aby pan wynajął dziś jakichś służących, ponieważ nie lubię być, oględnie mówiąc, chłopcem na posyłki. Mój delikatny organizm doznał uszczerbku - wyrzucił z siebie.

Raleigh uśmiechnął się, co Antoine przyjął za dobrą monetę.

- Mogę pojechać z milordem? - spytał z nadzieją w głosie. - Moglibyśmy pojechać do wioski wszyscy razem, bo nie chciałbym zostawiać wicehrabiny samej na pastwę gospodyni.

Raleigh potrząsnął głową. Choć świetnie rozumiał, czemu jego kamerdyner chce się wyrwać z Craven Hall, podejrzewał, że Jane będzie wolała zostać.

- Sam pojedę. Muszę znów zajrzeć do biura notariusza. Przywiozę tu kogoś, choćbym nawet miał go zaciągnąć siłą albo zaproponować mu wynagrodzenie z kiesy mojego ojca... - Urwał. Rozłożył ręce na boki i okręcając się powoli, poddał się codziennym rytualnym oględzinom Antoine'a. - Jak wyglądam?

- Doskonale, milordzie - odparł Francuz. - A kiedy zamierza pan zakończyć tu swoją... wizytę? Choć pobyt wśród tubylców wydał mi się bardzo interesujący, jednak wolałbym wiedzieć...

Raleigh uciszył go leniwym skinieniem ręki.

- Nie możemy wyjechać, dopóki nie spotkam się z notariuszem.

- Może uciekł, uwożąc z sobą całą gotówkę - zasugerował Antoine, wyraźnie niezadowolony ze zwłoki.

Raleigh roześmiał się.

- Wątpię, czy wziął ze sobą złamanego pensa, ale niechby i sobie zabrał, byle wrócił tu jak najszybciej, żebym mógł zakończyć całą tę sprawę i ruszyć do domu. - Przystanął, podziwiając swoje odbicie w wielkim lustrze, które Antoine wyszukał dla niego. Stwierdził, że wygląda, jak zawsze, nienagannie. Gdyby jeszcze jego żona była tego samego zdania...

- Dobrze, milordzie - powiedział kamerdyner z lekkim ukłonem, który miał ukryć niezadowolenie - Będę niecierpliwie czekał na pański powrót. A tymczasem będę się starał powstrzymać jaśnie panią przed dalszymi porządkami, póki nie nadciągną posiłki.

Raleigh znowu się zaśmiał.

- Powodzenia. - Wiedział, że Jane potrafi być uparta. Gdyby misja Antoine'a się powiodła, zapewne przypuściłaby natychmiastowy atak na ogród, by wyłuskać kwiat z morza chwastów. Jego żona nie należała do osób, które lubiłyby siedzieć z założonymi rękami. Prawdę mówiąc była

znacznie bardziej energiczna, niż mógłby przypuszczać. Zadumał się przez chwilę i z żalem stwierdził, że ta energia nigdy nie była kierowana w jego stronę. - Dopilnuj po prostu, żeby była ostrożna - polecił, kierując się w stronę drzwi. - Mam wrażenie, że wczoraj w nocy zawaliło się pół dachu.

- Naprawdę? Nic nie słyszałem - zdumiał się Antoine.

- Bo zbyt głośno chrapałeś - odparł cierpko Raleigh, kładąc dłoń na kłamce.

- Nic podobnego! - zaprotestował Antoine. - Zresztą i tak usprawiedliwiłoby mnie skrajne wyczerpanie. Nie jestem tragarzem, a mimo to spełniałem wszystkie rozkazy jaśnie pani.

Raleigh przystanął w drzwiach.

- Bacz, byś nie wyręczał mnie w moich obowiązkach - rzucił, posyłając Antoine'owi wymowne spojrzenie. Dowcip wypadł ostrzej, niż zamierzył, co było zaskoczeniem dla nich obu.

Na Boga, czyżby stawał się zazdrosny o własnego służącego? Wzdrygnął się. Wygładziwszy rękawiczki, spieszenie ruszył w stronę wsi, gdzie czekał na niego smakowity posiłek.

Nie zwracając uwagi na prośby kamerdynera, Jane przez cały dzień pracowała jak w transie. Nie była w nastroju towarzyskim, wysłała więc Antoine'a, by obejrzał pomieszczenia dla służby, bo przecież musieli zapewnić jakie takie warunki ludziom, których Raleigh miał sprowadzić ze wsi. Jeśli po to się tam udał, pomyślała. Rozbudzona w nocy podejrzliwość nie chciała ustąpić w świetle dnia.

Prosiła go, by nie zostawiał jej w Londynie ani w Westfield Park, więc jej mąż, uprzejmy jak zawsze, wziął ją ze sobą. Czyżby zamierzał doprowadzić ją do takiego stanu, że sama będzie go błagać, by pozwolił jej

odejść? Jedno tylko wiedziała na pewno: Raleigh nienawidził Craven Hall, a jednak na jej prośbę zgodził się tu zostać. Czy jest taki uległy, że nie potrafi się jej sprzeciwić? Czy istnieje jakieś inne rozwiązanie tej zagadki?

Mimo wysiłków nie potrafiła zrozumieć swego męża ani motywów jego postępowania i frustracja, wynikła z faktu, że była zabawką w jego rękach, pogłębiała się, w miarę jak dzień miał się ku schyłkowi. Przyjazd kufrów z sukniami, halkami i bielizną nie polepszył stanu ducha Jane, według której wszystkie te podarunki były próbą manipulacji ze strony hrabiny. Kiedy po wielu godzinach Raleigh wrócił ze swojej wyprawy, nie była w nastroju, by wysłuchiwać jego zwykłych żartów.

Była zmęczona, spocona, na krawędzi hysterii i widok wymuskanego męża we wciętym surducie i opiętych spodniach przyjęła niechętnym spojrzeniem.

- Witaj, kochanie - powiedział, uśmiechając się. A potem, jakby nie dość mu było afrontów pod jej adresem, uniósł monokl i rozejrzał się po pokoju, w którym pracowała cały dzień. - Nie widziałaś przypadkiem mojej książki? Gdzieś ją tu odłożyłem i nie mogę jej teraz znaleźć.

Jane oniemiała. Dookoła nich piętrzyły się sterty papierzysk i szpargałów, do tego hałdy rupieci w rodzaju starego tamborka czy dziwnaczego teleskopu, a tu jej mąż zniecka żąda, żeby szukała jego powieści. Miała ochotę szturchnąć go miotłą w jego nieskazitelne pośladki.

Mordercze myśli Jane musiały być wyraźnie wypisane na jej twarzy, bo Raleigh wypuścił monokl z ręki.

- Nie, chyba nie zostawiłem jej tutaj - mruknął. Odchrząknął. - Nie było notariusza, więc będziemy musieli spędzić tu kolejną noc - dodał, choć myśl o tym zepsuła mu humor.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - spytała Jane.

Raleigh sprawiał wrażenie zaskoczonego jej pytaniem. Jeszcze ma czelność udawać! - pomyślała z oburzeniem.

- Ja, no, tego... myślałem, że ty tego chcesz. Jane spojrzała na niego z ukosa.

- Tak, chętnie zostanę tutaj, ale pod warunkiem, że nie będę co noc ofiarą dziecinnych żartów.

Jego zdumiony wyraz twarzy zirytował Jane.

- Wielkie nieba, Raleigh, jeśli chcesz się mnie pozbyć, powiedz po prostu. Wróć na plebanię albo do Charlotte. Nie musisz tłuc się po nocy, zawodząc, żeby zmusić mnie do wyjazdu.

- Nie tłukłem się po nocy - zachnął się Raleigh - ale po prostu pilnowałem żony, żeby nie została zamordowana w łóżku przez gospodynię, której z powodu zbyt miękkiego serca nie umie się pozbyć. A co się tyczy hałasów, nie miałem z nimi nic wspólnego, ani zeszłej, ani poprzedniej nocy!

Jednak Jane była zbyt zmęczona i zirytowana, by przyjąć jego słowa na wiarę.

- To gdzie niby byłeś, kiedy rozległo się to wycie? Zawodziłeś i potrząsałeś łańcuchami! Bardzo mało oryginalne. Musiałeś się naczytać powieści grozy! - wybuchnęła, gestykulując gwałtownie. - Ciekawe, co jeszcze wymyślisz: olbrzym, kapelusz z piórami czy może ruchomy portret?

Ku zaskoczeniu Jane, Raleigh wcale się nie obraził. W jego oczach mignął błysk przekory.

- Ty kłamczuszko, więc jednak miałaś w ręku któreś z tych upiornych powieścideł!

Jane, zamiast odwrócić się i odejść na wieki, jak planowała przez cały

dzień, stała jak wryta, a on zbliżał się ku niej z determinacją, jakiej nigdy u niego nie widziała. Przez chwilę patrzyła na niego niepewnie, po czym, odzyskawszy zdolność ruchu, zaczęła się cofać, aż poczuła pod plecami stertę starych gazet, sięgającą prawie pod sufit.

Raleigh nachylił się ku niej z drapieżnym uśmiechem. Patrzył na nią leniwie spod półprzymkniętych powiek. Oparł ręce o pisma, więżąc jej głowę między nimi, i Jane poczuła nieoczekiwany przyływ podniecenia. Zawsze uważała wicehrabiego za próżniaka, jednak z wolna zaczęła odkrywać, że oprócz uroku osobistego ma również inne atuty.

Raleigh wyglądał, jakby miał zaraz umrzeć. Przymknął powieki, a głowa opadła mu tak nisko, że Jane poczuła jego oddech na swoim policzku. Owionęło ją jego ciepło, jego zachwycający zapach. Piękna twarz wydała jej się tak dobrze znana, a zarazem tak egzotyczna, że nagle opuściła ją zdolność myślenia. Przeszyła ją dojmująca tęsknota.

Jego usta, ciepłe i miękkie, musnęły jej wargi. Ich dotyk był słodki i czuły i Jane bezwiednie uniosła ręce, by objąć go za szyję i przyciągnąć do siebie. Pech chciał, że ruch ten zachwiał stertą czasopism za jej plecami, która zaszeleściła złowieszczo.

Otworzyła usta, by go ostrzec, ale jego wargi dotarły właśnie do jej ust i nagle wszelki rozsądek opuścił Jane. Poczuła przenikający ją dreszcz rozkoszy, który nie osłabł nawet wtedy, gdy papiery zaczęły się na nich sypać. Raleigh cofnął się z okrzykiem, ciągnąc Jane za sobą. Sterta runęła na nich, przewracając oboje na ziemię.

Wylądowali na wytartym dywanie. Wicehrabia wziął na siebie impet uderzenia o podłogę, a Jane powitała jękiem ciężar gazet na plecach. Stare rupiecie sypały się z łoskotem, aż w końcu tylko kilka papierów fruwało wokół nich jak pożółkłe płatki śniegu.

- Nic ci się nie stało? - spytała szeptem Jane. Mąż, piękny i pociągający, leżał pod nią milcząc. Miejsce niedawnego dreszczu rozkoszy zajął niepokój. - Raleigh...?

Jej słowa musiały dotrzeć do niego, bo powoli otworzył oczy.

- Chyba nie całkiem o to mi chodziło - stwierdził kwaśno.

Dyskretna aluzja na temat ich poczynań wywołała gwałtowny rumieniec na twarzy Jane. Nagle uprzytomniła sobie, że ma pod sobą rozpalone, muskularne ciało męża. Zaszokowana swoją pozycją i, co gorsza, niepojętym pragnieniem, by jej nie zmieniać, poruszyła się lekko, ale dłonie Raleigha przytrzymały ją. Westchnęła, patrząc na niego półprzytomnym wzrokiem.

Dłonie wicehrabiego spoczęły na jej pośladkach z niepojętą poufałością, elektryzując każdy jej nerw. Jeszcze nigdy nie przeżywała zarazem lęku i podniecenia. Patrzył na nią spod zmrużonych rzęs. W jego oczach pojawił się znów ów leniwy, ale stanowczy błysk, który widziała przed chwilą. Jego wzrok hipnotyzował ją, pozbawiając własnej woli, co jakaś cząstka jej duszy przyjęła z zadowoleniem.

Z bijącym szaleńczo sercem, dysząc spazmatycznie, leżała na mężu, wciśnięta piersią w jego elegancki surdut. Pasma włosów wymknęły się jej z warkocza, okulary opadły na koniuszek nosa, ale ona, przeniknięta nieznym sobie uczuciem, nie była w stanie się ruszyć.

Dłoń Raleigha zacisnęła się na jej pośladkach, jakby chciał ją przyciągnąć do siebie. Nagle Jane zorientowała się, co wciska się w jej brzuch. Z jej ust wyrwał się pisk równie dramatyczny jak minionej nocy.

- *Sacre bleu!* - rozległ się nagle donośny głos Antoine'a.

Jane zerwała się, nerwowo wygładzając spódnicę, jakby chciała pozbyć się resztek ciepła ciała Raleigha.

- Co za łoskot! Myślałem, że się sufit zawalił! - zawołał kamerdyner. Podbiegł do swego pana, ale Raleigh nie przyjął jego pomocy i podniósł się sam. Jego swoboda pogłębiła tylko skrepowanie i zażenowanie Jane.

Słyszała głos Antoine'a, jednak była zbyt roztrzęsiona, by dotarło do niej, co mówi. Fakt, że leżała na podłodze, przyciskając Raleigha, tak ją rozstroił, że nie mogła znieść przebywania z obydwojoma mężczyznami w tym samym pokoju. Mruczając jakieś niezborne wymówki, wycofała się, chociaż Raleigh próbował zatrzymać ją w pokoju.

Pocałował ją. Ją. Dlaczego? Nie miała pojęcia, nie umiała też sobie wytłumaczyć, dlaczego nigdy w życiu nie przeżyła nic równie cudownego. Przyłożywszy dłoń do szyi, usiłowała uspokoić szalone bicie serca, ale nie przestawało dudnić, aż dostała zawrotów głowy. Miała ochotę wrócić i rzucić się Raleighowi w ramiona, jakby tylko on mógł przywrócić jej oddech i dać ciepło, którego tak pragnęła. Padła na fotel, ściskając oparcia, póki nie odzyskała spokoju.

Pocałował ją, ale nie mogła, nie powinna pragnąć następnego pocałunku. Mimo przyjemnych odczuć - a może właśnie z tego powodu - zdawała sobie sprawę, że nie powinna pozwolić na taki rozwój wydarzeń. Jej mąż był lekkoduchem, żył z dnia na dzień, kierując się wyłącznie kaprysem.

Wiedziała, że potrafi kłamać, jednak w sprawie rzekomych duchów w Craven Hall mówił chyba prawdę. Wydawał się tak szczery. Zresztą jakoś nie bardzo mogła sobie wyobrazić swojego wymuskanego męża, jak zawodząc, przeciska się w ciemnościach pośród rupieci. Mógłby sobie zbrukać nieskazitelny surdut albo przygnieść wytworny palec u nogi, nie mówiąc już o czymś gorszym.

Choć z gruntu niepoważny, nie byłby zdolny do takich żartów. A to

by znaczyło, że nie on próbował ją nastraszyć. Jane przeszył dreszcz.

Kto wobec tego zawodził, pobrzękując łańcuchami, skoro nie był to Raleigh?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Raleigh przywiózł ze sobą wiejskie rodzeństwo, siostrę i brata, którzy marzyli o tym, by wyrwać się choć na chwilę z zatłoczonego rodzinnego domu, a także krzepkie dziewczę, które przyjechało w odwiedziny do krewniaków z sąsiedniej wioski. Choć wiózł ze sobą tylko tę trójkę, i tak był zadowolony, ponieważ w Chistleside nie udało mu się nikogo zwerbować, a odpowiedzią na jego namowy były jedynie podejrzliwe spojrzenia i mętne wymówki. Przyjął to bez emocji, gdyż zdążył już przywyknąć do dziwnej atmosfery panującej w Craven Hall i okolicy.

Antoine'owi nie przypadła do gustu grubokoścista wiejska młodzież, ale Jane była zachwycona. Natychmiast przełamała sztywną atmosferę. Raleigh obserwował ją z uśmiechem. Jak mógł nie zauważyć dotąd troskliwości i gościnności swojej żony? A może po prostu przyćmiewali ją bardziej czarujący członkowie rodziny? Targnęło nim nieznane uczucie. Czyżby poczucie winy?

Potrząsnął głową i ruszył na obchód pokoi. Przystanął u wejścia do salonu, w którym wcześniej powitał żonę. I pocałował. I przytulił do siebie, także do tej części ciała, która tak entuzjastycznie reagowała na jej bliskość. Przeklął w myślach swoje nieopanowanie. Jane natychmiast uciekła od

niego, jakby się oparzyła.

Czyżby była nim aż tak zde gustowana? - pomyślał z westchnieniem Raleigh. Jaka ona właściwie jest? Przez chwilę brakło mu słowa na określenie żony, ale zaraz uśmiechnął się. Pożyteczna. Jane i on ze swoim wiecznym rozwichrzeniem różnili się jak dzień i noc, a mimo to zafascynowany był tym swoim przeciwieństwem, wytrwałością, praktycznością i uporem Jane. Nie potrafiłaby flirtować ani zmieniać mężczyzn jak rękawiczki, nie oglądając się za siebie. Była - na zawsze.

Tego rodzaju dywagacje mogły szokować u człowieka, który rzadko wybiegał myślą dalej niż kilka godzin naprzód, ale Raleigh bezbłędnie rozpoznał swój stan ducha. Podobne cechy pociągały go w jego przyjacielu Wycliffie, choć jego uczucia wobec Jane różniły się od tego, co czuł w obecności hrabiego.

Trawiła go ciekawość przemieszana z podziwem, które, niestety, dochodziły do głosu całkiem nie w porę. Jak wtedy, kiedy Jane usiłowała utknąć nieposłuszny luźny kosmyk, który wymknął się zza ucha. Jej włosy potargały się podczas upadku i Raleigh chętnie by je trochę uładził palcami, gdyby nie to, że jego dłonie zajęte były innymi, jeszcze miłszymi zadaniami. Wspomnienie jej miękkich, szczupłych pośladków sprawiło, że westchnął ciężko.

Na Boga, musi zapanować nad podobnymi emocjami!

Na szczęście Jane dała sobie wyperswadować dotyczące go podejrzenia, ale teraz w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Lekceważenie żony zaczynało mu już trochę ciążyć, marzył o tym, by doszło do pojednania. W istocie chodziło mu o coś więcej niż zwykły kompromis. O wiele, wiele więcej.

Niestety Jane nie była zwykłą młodą damą, którą można kupić

pochlebstwem czy żarcikami. Piękne stroje, wykwintne maniery, dowcip - to wszystko nie robiło na niej żadnego wrażenia. Za nic miała też socjetę, wolała prostą służbę od wykwintnisiów i Craven Hall od Westfield Park. Ta świadomość dziwnie uradowała Raleigha, gdyż sam również nie darzył swojego rodzinnego gniazda zbyt miłością.

Jane była inna. Choć uwikłana w małżeństwo bez miłości, z pewnością nie wzięłaby sobie kochanka dla kaprysu czy dla korzyści. Była uczciwa i prostolinijna; jej system wartości ogromnie różnił się od zasad panujących w jego kręgach, co cieszyło, a zarazem niepokoiło Raleigha. Choć żona go fascynowała, instynkt podszeptował mu, że aby ją zdobyć, będzie musiał najpierw zdobyć jej szacunek.

I to był problem, bo nie miał pojęcia, jak tego dokonać.

Tego wieczoru Jane zbyt się nie śpieszyła z udaniem na spoczynek, zwłaszcza odkąd nabrała pewności, że nocnych hałasów nie wszczynał Raleigh. Choć nadal podejrzewała, że ich sprawcą była istota ludzka, nie miała najmniejszego zamiaru dzielić się tą teorią z mężem. Gotów albo ją wyśmiać, albo nalegać na oddalenie pani Graves, na co nie mogła się zgodzić. Choć gospodyni była bardzo dziwną osobą, Jane nie sądziła, by to ona wywoływała nocne niepokoje.

Kładąc się samotnie spać, zachowała więc wszystkie podejrzania dla siebie. Pełna wyrzutów sumienia z powodu straszego marnotrawstwa, zostawiła przy łóżku palącą się lampę. Nie miała pojęcia, jak bardzo pilno Raleighowi do domu ani ile jeszcze zostaną w Craven Hall. Notariusz nadal nie wracał i choć to było samolubne, Jane cieszyła się z tego powodu. Miała zamiar uporządkować dom z pomocą nowych służących - krzepkich i pracowitych.

Na myśl o czekającej ją jutro pracy starała się usilnie zasnąć, jednak oczekiwanie na nocne hałasy nie pozwalało jej zmrzyć oka. Próby czytania prozy pióra Hannah More spełzły na niczym. Łomotanie okiennic sprawiało, że rozglądała się na wszystkie strony, nasłuchując wszystkich podejrzanych odgłosów.

Co za nonsens! Nie była przecież tchórzem. Odpychając zdecydowanie książkę, postanowiła nie kryć się jak dziecko przed nieznanym niebezpieczeństwem. Nie wątpiła, że Raleigh ma rację: po prostu oblużowały się krokwie i trzeba będzie wezwać cieślę, o ile uda się go namówić, by przybył do Craven Hall.

Właściwie sama zła sława posiadłości zdawała się przeczyć jej teorii, bo jeśli nikt nie chciał się nawet zbliżyć do domu, to kto by się tłukł po nim w nocy? Przekonawszy samą siebie, że jej obawy są bezpodstawne, zgasiła lampę, podciągnęła kołdrę i już miała zasnąć, kiedy coś poderwało ją w pościeli.

Zawodzenie. Głośne, niesamowite zawodzenie, dochodzące gdzieś z zewnątrz. Tym razem nie było żadnej wątpliwości co do natury dźwięków. Jane włożyła binokle i wyskoczyła z łóżka. Podeszła do okna. W niewielkiej odległości od domu płonęły dziwne światła. Od tej strony budynku ciągnęły się rozległe, bezludne wrzosowiska. Być może sprawca hałasów niósł ze sobą latarnię, by oświetlić nią drogę. Być może uznał, że strych jest zbyt niebezpieczny, by pobrzękiwać na nim łańcuchami.

Jane sięgnęła po szlafrok i gniewnie zarzuciła go na siebie. Należało uciszyć żartownisia, kimkolwiek był! Wieś musiała mieć swoją radę czy wójta, kogoś, kto potrafiłby coś z tym zrobić, pomyślała. W wojowniczym nastroju wśliznęła się do sypialni Raleigha, gdzie zastała męża również stojącego przy oknie.

Miał na sobie szlafrok, który widziała już wcześniej, jednak w ciemnościach wyglądał inaczej, gdyż delikatne światło księżyca rzucało skąpy blask na jego wysoką sylwetkę. Chciała powiedzieć o dziwnym świetle, ale słowa zamarły jej na ustach, kiedy się do niej odwrócił. Na chwilę zapomniała, po co tu przyszła. Jego włosy połyskiwały w promieniach księżyca, a twarz tonęła w mroku. Wyglądał niezwykle tajemniczo. Serce Jane zabiło gwałtownie.

- Słyszałaś? - spytał, budząc ją z oszołomienia.

- Tak - odparła bez tchu. Teraz, kiedy była w jego pokoju, czuła się dosyć głupio. - Może to ktoś z nowej służby...

Uciszył ją gestem ręki.

- Chyba nie, oni śpią w zaimprovizowanych sypialniach w piwnicy. Poza tym wątpię, czy nawet najodważniejszy z wieśniaków udałby się na wrzosowisko nocą. Popatrz!

Wskazał w stronę okna. Jane zrobiła krok w jego kierunku, dojmująco świadoma bliskości męża, własnych zmysłów postawionych w stan pogotowia, swojego przyspieszonego tętna i charakterystycznego zapachu Raleigha, podniecającego, a zarazem wzruszającego. Splotła drżące ręce, usiłując dojrzeć, co działo się za oknem, gdzie wciąż lśniła dziwna poświata.

- To musi być ktoś z latarnią, no bo co by to mogło być innego? - wyraziła przypuszczenie.

- Jeśli tak, to ten ktoś stoi w miejscu, bo latarnia nie podskakuje i nie kołysze się, choć płomień drży od wiatru. - Od lat znała głos Raleigha, jednak teraz dostała gęsiej skórki, słysząc w nim podniecenie, tak niecodzienne u tego nonszalanckiego dandysa. - Widzisz coś jeszcze? - spytał.

Starając się nie zwracać uwagi na jego niepokojącą bliskość, wyjrzała

przez okno, ale nawet w binoklach nie mogła dostrzec zbyt wiele.

- Nie stąd - odparła, mrużąc oczy.

- No to przejdźmy na tyły domu i spróbujmy zobaczyć coś więcej - zaproponował Raleigh.

Pomysł wydał się jej dość przerażający, ale słowa protestu zamarły Jane na ustach. Czy w ciemnościach będzie umiała odmówić mu czegokolwiek? Odsunęła tę myśl od siebie. Co zrobią, jeśli ktoś tam jest w niebezpieczeństwie?

- Dobrze - odparła. - Tylko pozwól, że włożę pantofle.

- Potrafisz je znaleźć bez zapalania światła? Nie chciałbym zwrócić na nas uwagi - wyjaśnił Raleigh. Odwrócił się, by spojrzeć na nią, i jego twarz znalazła się tak blisko, że Jane miała ochotę wyciągnąć rękę i ją pogłaskać, żeby upewnić się o jej realności. O wiele bardziej niecodzienny od pojękiwań duchów wydał jej się fakt, że stoi obok Raleigha w jego sypialni, zaledwie o krok od jego pięknej sylwetki, skąpanej w poświacie księżyca. Patrzył na nią wyczekująco, więc wreszcie zebrała się na odwagę i skinęła głową.

- To wspaniale - powiedział cicho, a jego szept nieomal zburzył jej świeżo odzyskaną równowagę.

A potem, wzięwszy ją za rękę, zaprowadził do jej sypialni. Jednak zaraz za drzwiami Jane wyswobodziła palce z jego uścisku pod pretekstem wkładania pantofli. Kręciło jej się w głowie od dotyku jego skóry, cieplej i gładkiej. Ledwie wiedziała, co robi. Odetchnęła głębiej i ruszyła w stronę korytarza.

- Idź za mną, bo ja znam drogę po ciemku - szepnęła. Miała nadzieję, że uniknie jego dotyku, jeśli pójdzie przodem, ale Raleigh szedł tak blisko, że to wpadał jej na plecy, to muskał ją policzkiem, szepcząc polecenia. W

pewnej chwili, wciśnięta między mego a drzwi, które się zacięły, miała ochotę odwrócić się i bezwstydnie przywrzeć do męża, zarzucając mu rękę na szyję.

Na jej szczęście Raleigh wydawał się całkowicie skoncentrowany na tajemniczych światłach i nieświadomy jej pragnień. Choć Jane mogła mu być tylko wdzięczna za to, że w końcu zainteresował się poważnie sprawą nocnych hałasów, nie potrafiła pozbyć się rozgoryczenia. Nawet w nocnym negliżu nie umiała zwrócić na siebie jego uwagi. Świadomość ta boleśnie jej doskwierała. Co miała zrobić, żeby ją wreszcie zauważył?

Z policzkami pałającymi od nieprzystojnych pragnień odsunęła się na bok, pozwalając mu walczyć ze skrzypiącymi zawiasami. Otworzywszy drzwi, znaleźli się w pobliżu tylnego wyjścia z domu. Raleigh odsunął na bok poprzecieraną, zakurzoną zasłonę i wyjrzał na zewnątrz.

- Przeklęte okna, są tak brudne, że nic nie widać - powiedział, nie patrząc w jej stronę. - Wyjdźmy na dwór.

Jane zawahała się. Przekonywała siebie, że na zewnątrz ktoś może być w niebezpieczeństwie. A może to oni sami byli zagrożeni? Choć ostatnio ujrzała Raleigha w innym świetle, nie wydawało jej się, by wicehrabia okazał się szczególnie skuteczny w walce z podstępnyymi zbirami. Przychodzili jej na myśl złodzieje, przemytnicy, rabusie i przestępcy wszelkiego rodzaju.

Ale Raleigh już szedł w kierunku zarośniętego ogrodu, który w ciemnościach nie wyglądał tak romantycznie i obiecująco jak w świetle dnia. Chwasty gięły się i szeleściły złowieszczo na wietrze i chociaż było ciepło, Jane, przestraszona, ciasno oplotła się ramionami.

- Tutaj - szepnął Raleigh i Jane ruszyła za nim pośpiesznie po kamiennym gruzie. Dokąd zmierzał? I czemu szła za nim? Już, już miała

zawrócić i uciec, kiedy wciągnął ją za jeden ze starych, powykęcanych dębów. - Popatrz! - szepnął.

 Nie wierzyła własnym oczom.

 Czaszka - wielka, połyskująca czaszka - szczyrzyła do nich zęby w ciemnościach. Nigdzie jednak nie widać było szkieletu, czaszka wisiała w powietrzu, z żółtymi, upiornymi oczodołami i szeroko otwartą szczęką. Jane oniemiała z przerażenia. Chciała uciec, ale nie była w stanie ruszyć się z miejsca.

 - I co ty na to? - spytał Raleigh przyciszonym głosem. Miała ochotę go uderzyć, ale mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa. Jak mógł być taki spokojny, jakby rozmawiali o pogodzie, a nie o przerażającej zjawie? Niestety najwyraźniej nic nie było w stanie wytrącić męża Jane z jego zwykłej równowagi, nawet upiorna czaszka.

 Stała bez ruchu. Nagle podmuch wiatru szarpnął jej suknię i... czaszka zniknęła, jakby jej nigdy nie było. Jane zamrugła i zrobiło jej się słabo. Czyżby miała po raz pierwszy w życiu zemdleć? Wyciągnęła na oślep rękę, szukając wsparcia, ale Raleigh nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Szybko ruszył przed siebie.

 Kurczowo uczepliła się jego szlafroka, próbując go zatrzymać, gdyż nawet w ataku paniki miała dość rozsądku, by nie ścigać przerażającej, pozbawionej ciała głowy.

 - Nie! Nie idź tam! - wykrzyknęła błagalnie. Może nie był bez wad, ale na pewno nie chciała, by mu się przytrafiło coś złego. Nagle okazało się bardzo ważne, żeby był przy niej, cały i zdrowy.

 - Jane, miejże trochę rozumu! Wiesz równie dobrze jak ja, że musi istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie - wycedził Raleigh.

 Wcale jej nie uspokoił, wręcz przeciwnie - jego kamienny spokój

doprowadził ją do szału.

- Tego nie można wyjaśnić! - wyszeptała drżącym głosem, wskazując miejsce, gdzie przed chwilą wisiała czaszka. To, że roześmiał się cicho, nie pomogło jej ani trochę. Ruszyła za nim, trzymając fałdę jego szlafroka, żeby nie zostać sama. Czyżby oboje mieli zostać porwani w zaświaty? Czy jej małżeństwo miało się skończyć właśnie w ten sposób? Jane zadrżała z przerażenia i rozczarowania.

- No tak... Tak właśnie myślałem.

Głos Raleigha był jak zawsze melodyjny i miły. Jane zapragnęła nagle przytulić się do jego piersi i pozostać tak na zawsze. Stała za nim, nadal trzymając go za szlafrok, ale kiedy poczuła, że sięga po coś ręką, natychmiast puściła szlafrok i chwyciła męża w pasie, przytulając się policzkiem do jego pleców. Promieniowała od niego siłą, której nigdy by się nie spodziewała po dandysie, za jakiego go miała przez lata.

- Jane, kochanie... - Jego głos nieznacznie się zmienił, był niższy i schrypnięty. Nagle dotarło do niej, co naprawdę robi. Przywarła brzuchem do jego pośladków, dłońmi objęła go w szczupłej talii i choć jakaś jej część chciała, by trwało to wiecznie, natychmiast porzuciła tę myśl, lękając się zatracenia w tym nowym dla niej stanie świadomości.

Puściła go. Raleigh zwrócił głowę w jej stronę.

- Spójrz, co mam - powiedział, trzymając czaszkę na wyciągniętej dłoni.

Jane znów krzyknęła, rzucając się do tyłu.

- Nie ma się czego bać, kochanie. Ten facet dawno opuścił nasz padół, jednak ktoś chytrze umieścił go na tym palu. - Jane niewiele widziała w ciemnościach, ale Raleigh stuknął lewą ręką w drewno, przekonując ją o istnieniu pnia ściętego drzewa. - To dlatego wyglądał, jakby stał albo wisiał,

a świeca w środku rozświetlała oczy. Kiedy wiatr zdmuchnął świecę - co prędzej czy później musiało nastąpić na tym wygwizdowie - wyglądało, jakby zniknął.

Jane zaczerwieniła się, zawstydzona swoją głupotą, choć jej serce wciąż jeszcze łomotało ze strachu.

- Na Jowisza! - odezwał się nagle Raleigh. - Skądś to dobrze znam... - Przystanął w zadumie, podczas gdy ona pomyślała zawstydzona, że jej bracia tak często robili sobie z niej żarty, że powinna być mniej łatwowierna. Kiedy przypomniała sobie, jak objęła swojego męża w przyływie paniki, miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Już wiem! - zawołał po chwili Raleigh. - Czytałem o podświetlanej czaszce w nowej książce Prudence!

Na te słowa wstyd opuścił Jane. Spojrzała na niego znacząco.

- Tej, której nie możesz znaleźć - powiedziała powoli. Wszystko zaczęło układać się w spójną całość. Ktoś, ich kosztem, usiłował zainscenizować epizod z powieści grozy. Ale po co?

- Chodź, Jane, wracajmy do domu. - Raleigh wziął ją za rękę i szybko pociągnął w stronę tylnego wejścia.

- Skąd ten pośpiech? - spytała Jane, gdy dotarli do drzwi i przemknęli przez hol. Brakowało jej tchu, nie z pośpiechu jednak, lecz od dotknięcia jego dłoni. Wyszarpnęła rękę i oparła się o ścianę. W środku było tak ciemno, że czuła się dezorientowana, jakby odłączona od własnego ciała, Nigdy jeszcze nie biegła po nocy w szlafroku, szukając przygód.

- Bo widzisz, moja droga, musimy rozwikłać pewną zagadkę - oznajmił Raleigh. - Sądzę, że czaszka należała do zbiorów osobliwości starego Corneliusa. Jakaś sprytna osóbka podkrađła mi książkę Prudence i wpadła na pomysł, by użyć jej do niecných celów.

Jane miała ochotę zaprotestować przeciw tak nieprawdopodobnej hipotezie, musiała jednak przyznać, że ktoś zadał sobie wiele trudu, by ich przestraszyć - i to nie tylko tej nocy. Nie ulegało również wątpliwości, że ktoś krążył po domu, zawodząc i pobrzękując łańcuchami.

- Po co ktoś miałby to robić? - spytała z rosnącym niepokojem. Miała pewne plany co do Craven Hall i nie życzyła sobie, żeby czyjeś ponure żarty pokrzyżowały jej zamysły. Niestety następne słowa Raleigha wcale jej nie pocieszyły.

- By nas przestraszyć, moja miła - odparł spokojnie. - Ktoś chce nas stąd wypłoszyć. Ale dlaczego?

Jane bez przekonania jadła śniadanie. Choć jedzenie, dostarczone z jednego z miejscowych gospodarstw, zostało smakowicie przyrządzone przez którąś ze służących, nie miała apetytu. Do tego była niewyspana, co prawda nie z własnej winy.

Wszystkiemu winien był Raleigh.

Po ich dziwacznej wyprawie do ogrodu uparł się, by spędzić noc w jej pokoju - dla jej bezpieczeństwa. Argumentował, że dom leży na odludziu i ma wiele wejść, a potem z uporem nalegał, by mu pozwoliła siedzieć przy swoim łóżku. Wszystko to było bardzo dziwne, w jakimś sensie nawet bardziej niepokojące niż nocne zjawy.

Choć Jane tego rodzaju ostrożność wydała się zbyteczna, Raleigh nie pozostawił jej wyboru, robiąc to, co uznał za stosowne. Teraz, w pełnym świetle dnia, zastanawiała się, jak mogła do tego dopuścić, i ganiła się za brak stanowczości. Nikt przecież nie usiłował się włamać, nikt też nie chrząścił łańcuchami nad jej głową - tej nocy makabryczne żarty najwyraźniej ograniczały się do świecącej czaszki. Tymczasem musiała

leżeć w ciemnościach ze świadomością, że Raleigh jest tuż obok. Naturalnie miał na sobie szlafrok, nie potrafiła jednak zapomnieć, że pod spodem był nagi, ani uciszyć bicia serca na samą myśl o tym.

Chciała zaprosić go do łóżka; tego rodzaju zdrożne pragnienia nasuwały jej podejrzenia, że oszalała. Co gorsza, wkrótce równy oddech jej męża świadczył, że zasnął twardo, nieświadom jej wewnętrznych zmaganiań. Beztrosko wyciągnięty w masywnym fotelu, z głową odchyloną do tyłu, wydawał się, mimo niewygodny, całkowicie zrelaksowany. Przespał tak całą noc.

Jane, zdrzemnąwszy się nad ranem, obudziła się wcześniej, niewyspana i zła. Denerwowało ją, że w jej myślach bezkarnie panoszył się Raleigh, budząc w niej dziwne tęsknoty. Wydawało się, że straciła kontrolę nad własnymi pragnieniami, co się jej nigdy dotąd nie zdarzało.

Odsunąwszy talerz, obiecała sobie nie zwracać uwagi na męża ani na dziwne wydarzenia w Craven Hall i postanowiła rzucić się w wir domowych porządków. Niestety nowa służba nie podzielała jej entuzjazmu. Sprawiali wrażenie niespokojnych, co nasunęło Jane myśl, że do nich również dotarły wydarzenia minionej nocy.

Nie pytała ich o to, gdyż miała całej sprawy powyżej uszu, za to ze zdwojoną energią zaatakowała salon, zdzierając brudne zasłony z takim impetem, jakby były jednym z nieskazitelnych surdutów Raleigha. Dopiero kiedy brzydki, bury materiał legł na podłodze, zauważyła, jak piękne okna się za nim kryły.

Szklane płytki sięgały od podłogi po sufit; centrum witraża zdobił rodowy herb. Choć pokryty wieloletnim brudem, połyskiwał wesołymi kolorami. Jane cofnęła się w zachwycie.

- Trafiłam na prawdziwy skarb! - wykrzyknęła podniecona.

- Jestem tego samego zdania.

Zesztywniała, słysząc ironiczny głos męża. Odwróciła się. Wcale nie patrzył na okna, lecz na nią. W dodatku miała dziwne uczucie, że mówili o dwóch różnych rzeczach. Zadarłszy głowę, skinęła ręką w stronę okien.

- Widzisz, jakie skarby drzemią ukryte w Craven Hall? - spytała wyzywająco.

- To prawda, zaczynam teraz doceniać moje szczęście - odparł spokojnie i znów zabrzmiało to tak, jakby miał na myśli wszystko z wyjątkiem Craven Hall. Patrzył na nią badawczo, co ją okropnie peszyło, zdecydowała się więc powrócić do swoich zajęć, zanim mąż rozstroi ją do reszty. Schylając się po leżące na podłodze kotary, usłyszała jego chrząknięcie.

- Wolałbym, żebyś zleciła to służbie - powiedział. Uniosła głowę i ze zmieszaniem stwierdziła, że uwaga

Raleigha w rzeczywistości koncentruje się na jej pupie. Wyprostowała się z godnością i zdążyła jeszcze zauważyć, jak twarz męża powleka się rumieńcem, a jego spojrzenie ucieka przed jej wzrokiem. Czyżby naprawdę się zaczerwienił? Niesłychane.

Raleigh zaczął przechadzać się po pokoju, ale jego zainteresowanie otoczeniem wydało jej się jeszcze bardziej sztuczne niż zwykle. Przyglądała mu się intensywnie, wyrzucając sobie w duchu, że coraz bardziej ją absorbuje. Wyglądał dziś oszalamiająco w nowym bordowym surducie i bufiastych bryczesach. Przystanąwszy przed stertą na wpół otwartych pudeł, ponownie odwrócił się do niej.

- Znalazłaś może jakiś szkielet bez głowy? - spytał z kpiącym uśmiechem.

- Nowy dowcip okolicznej ludności? - zażartowała, przenosząc

zasłony w kierunku drzwi. Upiorny epizod z zeszłej nocy wydawał jej się snem, a warta męża u jej łoża przesadą.

- Myślę, że nasz upiór tym razem trochę przesadził - powiedział Raleigh. - I choć niechętnie postępuję wbrew twoim życzeniom, Jane, obawiam się jednak, że będę jej musiał zabronić wstępu do domu, dla dobra jego obecnych mieszkańców.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że podejrzewasz o to panią Graves?! - wykrzyknęła Jane, upuszczając zasłony.

- Nie mamy tu zbyt wielu podejrzanych - odparł swobodnie. - A gospodyni dała wyraźnie do zrozumienia, że nie lubi żadnych zakłóceń w swoich... obowiązkach.

- To byłoby zbyt oczywiste. Poza tym jest zbyt stara i niedołężna, by włączyć się po wrzosowiskach w środku nocy. Mogłaby sobie połamać nogi!

- Być może powinnaś jej zrobić wykład na temat niebezpieczeństw związanych ze straszaniem po nocach - skwitował cierpko jej mowę obrońcą Raleigh i uniósł monokl, by lepiej obejrzeć wyszczerbiony wazon. Jane wzruszyła ramionami, rozdrażniona jego afektacją.

- Nie rozumiem, po co ten cały idiotyzm - stwierdziła, krzywiąc się.

- Przepraszam - mruknął, wypuszczając monokl z rąk. - Taki zwyczaj. I moda - dodał.

- Nie musisz chyba niewolniczo hołdować wszystkim nowinkom?

- Cóż, Jane, takie są koszty bycia dandysem, musisz to zrozumieć - zakpił.

- Wyglądasz po prostu głupio, gapiąc się przez to szkiełko, i nie sądzę, żeby to była nieodzowna przepustka do elity. Nigdy nie widziałam Wycliffe'a z czymś takim w ręku.

- Wycliffe zawsze miał furę pieniędzy i mnóstwo koneksji, a do tego nienaganną aparycję. Nie potrzebował monokla - odparł Raleigh.

Jane zaskoczył ostry ton jego odpowiedzi.

- Nonsens. Masz tytuł, dość pieniędzy, by dać sobie radę, i jesteś o wiele przystojniejszy niż Wycliffe.

Popatrzył na nią uważnie.

- Tak sądzisz?

- Oczywiście. Noszę binokle, ale to wcale nie znaczy, że jestem ślepa - odparła swoim zwykłym tonem. Czowała się jednak dziwnie i kręciło jej się w głowie. Być może nie powinna tak go bronić przed samym sobą, żeby nie podsycać i tak już rozdmuchanej próżności. Ani pozwalać mu sądzić, że jest pod jego urokiem.

Było już jednak za późno. Zauważyła, że jego twarz nabiera leniwego wyrazu, który tak dobrze zdążyła poznać. Spod półprzymkniętych powiek spojrział na nią uwodzicielsko i zaczął się do niej zbliżać.

Stała w miejscu, choć wiedziała, że powinna uciekać, a przynajmniej usunąć się z zasięgu jego hipnotycznego spojrzenia, i nagle był tuż przy niej, wysoki, barczysty. Po prostu - Raleigh. Może zresztą sama wypowiedziała jego imię drżącym głosem, a może tylko świadomość jego obecności bezgłośnie wyryła je w jej umyśle, wzniecając pożar zmysłów.

Półprzytomna, przymknęła oczy.

Nadal jednak czuła jego bliskość, ciepło, podniecający zapach i przede wszystkim dotyk. Westchnęła. Uniósł jej podbródek, a potem jego usta spoczęły na jej ustach, łagodne i nieustępliwe zarazem, smakując po kolei górną i dolną wargę, coraz łapczywiej, jakby próbował wykwintnego deseru.

Zadrżała, kiedy ujął jej twarz w dłonie i zaczął całować kąciaki ust i

policzki. Serce biło Jane w szalonym tempie. Dłonie Raleigha gładziły jej ramiona, jego wargi ześlizgiwały się po jej szyi, a ich gorąca wilgoć budziła w niej niezwykle doznania. Świat zawirował. Musiała chwycić go za surdut, by nie upaść.

- Jane... - Zabrzmiało to jak westchnienie. Zachłysnęła się, gdy jego dłonie zaczęły wędrować coraz niżej, aż wreszcie kciuki musnęły jej piersi z nonszalancką poufałością, która wzbudziła w niej nie znane pragnienia. Zarzuciła mężowi ręce na szyję i wpiła się w jego wargi tak żarliwie, że aż jęknął.

Oszołomiona własną śmiałością, nawet nie zauważyła, kiedy jego język wślizgnął się do jej ust, ale nagle znalazł się tam, dostarczając jej całej gamy zachwycających doznań. Upajała się nimi, bez wahania odrzuciwszy całe swoje dawne życie, skromne i powściągliwe. W jednej chwili z nieatrakcyjnej Jane, brzydkiego kaczątka, przedzierzgnęła się w kobietę piękną i godną pożądania nie mniej niż mężczyzna, który ją trzymał w objęciach.

Zastanawiała się później, czy nie była bliska osunięcia się na podłogę, pomiędzy brudne i pomięte zasłony, tak spieszno jej było przytulić się do ciała, które ogrzałoby jej ciało, ale, dzięki Bogu, dalszą intymność przerwał mrozący krew w żyłach krzyk.

Raleigh wypuścił ją z objęć. Jane patrzyła na niego oszołomiona, mrugając powiekami. Nie miała jednak czasu na wstyd czy wyrzuty sumienia. Krzyk nie cichł; wtórowały mu męskie głosy. Kiedy Raleigh rzucił się do drzwi - pobiegła za nim.

Za progiem oczom Jane ukazała się jedna z nowych służących, biegnąca prosto na nich. Purpurowa na twarzy, zatrzymała się przed Jane, dysząc ciężko i wskazując za siebie.

- *Ol... olbrzym! Ratujmy się!* - Wychrypiawszy to ostrzeżenie, ze zdumiewającą szybkością popędziła w stronę wyjścia z domu.

Ledwie Jane zdążyła poprawić opadające włosy, a już wyrósł przed nimi brat dziewczyny, drżący i blady, z oskarżycielsko wymierzonym w nich palcem.

- Wytrzymałem całą noc, mimo krzyków i grzechotania kości potępieńców i dziwnych wydarzeń za oknem, kiedy wszyscy porządni ludzie śpią, ale moja noga dłużej już nie postanie w tym diabelskim miejscu! - wrzasnął wiejski osiłek, po czym czmychnął do wyjścia jak spłoszony zając.

- O Boże! - jęknęła Jane. Nowi służący najwyraźniej byli prześladowani przez duchy w swoich pokojach tak samo jak ona z Raleighem w skrzydle głównym. Wciąż jeszcze czuła lekki wstyd przemieszany z żalem, gdy nagle dotarły do niej słowa dziewczyny. - Olbrzym? - powtórzyła w osłupieniu, patrząc pytająco na męża.

Raleigh wzruszył ramionami, jednak natychmiast pociągnął ją w stronę, z której przybiegła tamta dwójka. Po chwili natknęli się na drugą służącą, która groźnie ścisnęła trzonek od miotły.

- Och, milady! - zawołała, z wyrazem ulgi na twarzy powoli opuszczając zaimprovizowaną broń. - Nie wiem, co to wszystko znaczy! Wybiegli stamtąd oboje, wrzeszcząc jak opętani o jakimś olbrzymie!

- Zaraz sprawdzimy - powiedziała Jane stanowczo, dając do zrozumienia, że nie pochwała ucieczki rodzeństwa. Z Raleighem u boku weszła do pokoju, skąd przybiegło tamtych dwoje, zaraz jednak przystanąła zirytowana, widząc, co ich wprowadziło w taki popłoch. Na samym środku dużego, zagraconego pokoju leżała wielka, szara płócienna płachta, spod której wystawało coś, co wyglądało jak sporych rozmiarów ludzka kończyna.

- Powiedziałbym, że to stopa - rzucił niedbale Raleigh. - Do tego całkiem duża.

Jane podeszła bliżej i odkryła, że ogromna stopa jest fragmentem rozbitego posągu, rzymskiego albo greckiego; przypominał rzeźby znajdujące się w kolekcji Wycliffe'a. Musnęła dłonią gładką powierzchnię, zastanawiając się, jakim cudem Corneliusowi Holroydowi udało się wtaszczyć całość do pokoju. Fakt, że pokój był wyjątkowo duży, wypełniony większymi i mniejszymi kształtami pokrytymi szarym płótnem. Czyżby kolekcja posagów?

- Już wiem! - odezwał się nagle Raleigh. Jane aż podskoczyła. - Zamek Otranto. Wspaniała książka Walpole'a. Pamiętasz?

Przez chwilę myślała, że jej mąż zwariował, zaraz jednak przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

- Naturalnie! W jednej z komnat zamczyska pojawia się olbrzym, a ściślej mówiąc - jego stopa!

- Właśnie! - potwierdził Raleigh, wyraźnie bardzo zadowolony z siebie. Zbliżył się do fragmentu posągu i uniósł monokl, zaraz jednak odrzucił go z lekceważącym uśmiechem. - Wygląda, jakby był wart co nieco, choć musielibyśmy zasięgnąć opinii Wycliffe'a lub twojej siostry.

- A nie mówiłam, że wśród tych rupieci można znaleźć coś ciekawego? - ucieszyła się Jane.

- Mówiłaś - odparł, posyłając jej tak znaczący uśmiech, że policzki Jane pokryły się rumieńcem. Poczowała ulgę, kiedy zawrócił w stronę drzwi. - O, pani Graves - powiedział.

Jane zorientowała się ze zdumieniem, że gospodyni stoi przy nich, choć nie zauważyła jej wejścia. Może była zbyt zaabsorbowana mężem? Ta myśl ją rozzłościła.

- Odeszli - oznajmiła ponurym głosem pani Graves. - Wiedziałam, że tak będzie.

- A skąd to pani wiedziała? - spytał Raleigh, unosząc sceptycznie brwi.

- Nikt nie zostaje w Craven Hall.

- Z wyjątkiem pani - zauważył cierpko.

- Pani Graves - odezwała się Jane, wchodząc pomiędzy męża a gospodynię - czy słyszała pani coś niezwykłego zeszłej nocy, coś, co by mogło... przestraszyć nową służbę?

Gospodyni pokręciła przecząco głową. A potem, bez żadnych wyjaśnień, odeszła powoli, nie obdarzywszy nawet spojrzeniem drugiej służącej, która nadal dzierżyła w dłoniach trzonek od miotły.

- Peg! - powiedziała Jane do dziewczyny, nie zwracając uwagi na Raleigha, który z dziwnym uśmiechem spoglądał w ślad za odchodzącą gospodynią. - Jak widzisz, to nie żaden olbrzym, tylko kawał kamienia.

-Uśmiechnęła się, bagatelizując incydent. Nie chciała stracić ostatniej służącej. - Mam nadzieję, że nie wypłoszą cię czyjeś głupie żarty.

Ku jej wielkiej uldze dziewczyna potrząsnęła głową.

- Proszę się nie obawiać, milady - oświadczyła, patrząc na drzwi, w których zniknęła gospodyni. - Niestraszne mi żadne cudaki, żywe czy umarłe.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Raleigh z zainteresowaniem przyglądał się Peg, ponieważ wydawało się, że dziewczyna podziela jego odczucia wobec niemiłej gospodyni. Nie miał jednak odwagi wyrzucić pani Graves wbrew życzeniom żony. Zawsze był miękki wobec kobiet, ale Jane prawdopodobnie byłaby w stanie owinąć go sobie wokół jednego ze swoich smukłych, zręcznych paluszków jak nikt przed nią. Mógł tylko liczyć na to, że jego żona nigdy się o swoich możliwościach nie dowie.

Ledwie pokojówka wróciła do pracy, nadbiegł Antoine, ruszając wąsikiem.

- Uciekli! - wołał, wyraźnie wzburzony rejteradą dwójki służących. - Kiedy powiedziałem, że nie mamy wolnego powozu, by ich podwieźć, ruszyli na piechotę. I to pędem!

- Godne potępienia - zgodził się Raleigh.

- Bełkotali jak nawiedzeni! - dodał Antoine. - Tchórze! Głupcy! Idioci! Co my teraz zrobimy? - spytał, wyrzucając ręce do góry. - Musimy mieć jakąś pomoc.

- I będziemy mieli - obiecał Raleigh. Jednak zamiast skorzystać z pierwszego lepszego pretekstu, by wymknąć się na cały dzień z Craven Hall, poczuł, że nie ma najmniejszego zamiaru opuszczać dworu. Z pewnością nicgo tutaj nie trzymało, a jednak... Spojrzał spod oka na żonę. Stała obok niego sztywno, niemal obojętna na otoczenie.

Raleigh już wiedział swoje o Jane, a sposób, w jaki zdobył tę wiedzę, podniecał go niebywale, gdyż był jedyną osobą, która znała jej sekret. Aż

jęknał na wspomnienie okoliczności, w jakich go poznał.

- Może ty sobie lepiej ode mnie poradzisz - zwrócił się do kamerdynera. - Pojedź do wsi i znajdź kogoś do pomocy.

- Świetny pomysł, milordzie. Już jadę - zgodził się skwapliwie Antoine.

- Czy jednak... nie powinieneś spotkać się z notariuszem? - spytała męża Jane.

Już miał coś cierpko odpowiedzieć, gdy zobaczył, że w oczach jego żony czai się panika.

- Wątpię wprawdzie, czy ten człowiek już wrócił, ale Antoine może podjechać do biura i sprawdzić, prawda?

Kamerdyner skinął głową. Wyraźnie widać było, że nie zamierza zrezygnować z szansy opuszczenia Craven Hall choćby na parę godzin.

- Jak sobie pan życzy, milordzie. Milordzie, milady, czy trzeba coś jeszcze załatwić?

Jane potrząsnęła w milczeniu głową. Raleigh sięgnął do eleganckiej, haftowanej kamizelki, odpiął od butonierki monokl i podał kamerdynerowi

- To dla ciebie, Antoine, w nagrodę za dotychczasowe starania.

Kamerdyner wpatrywał się ze zdumieniem w monokl ze złota i macicy perłowej.

- Ależ, milordzie, to pański ulubiony monokl! Raleigh wzruszył ramionami.

- Teraz jest twój, a kiedy wrócę do Londynu, chcę, żebyś wyprzedał moją kolekcję. Postanowiłem wprowadzić nową modę.

- Na co? - spytał kamerdyner, wytrzeszczając oczy.

- Coś wymyślę.

Potrząsając głową, Antoine wybiegł z pokoju, jakby się bał, że

szaleństwo, któremu uległa służba i wicehrabia, może się udzielić również i jemu.

Nareszcie sam na sam z żoną. Raleigh powoli odwrócił się w jej stronę. Przepęłniało go dziwne uniesienie i gorące pragnienie, by podjąć przerwany wątek. Popatrzył na nią z nadzieją. Niestety jedno spojrzenie na Jane powiedziało mu, że nie jest w nastroju. Westchnąwszy z rozczarowaniem, odwrócił się do niej plecami.

- Mógłbyś mi pomóc? - krzyknęła po chwili rozpaczliwie.

- Oczywiście, że ci pomogę... - zawiesił z premedytacją głos.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Co robisz, na Boga?! - zawołała piskliwym głosem. Jej okrzyk przerażenia rozbawił go.

- Boisz się, że pobrudzę sobie surdut?

Skinęła głową w milczeniu, więc pochylił się. W jej małych dłoniach, jak zdążył się już zorientować, kryła się niecodzienna siła, a ich dotyk, gdy ściągała mu z barków nieskazitelny, bordowy surdut, sprawił, że zamknął oczy. Był złakniony nawet małych przyjemności.

Teraz jednak, kiedy wiedział, czego się może spodziewać po nie tak znów skromnej żonie, poczuł, że krew buzuje w jego żyłach, jakby płynął w nich najprzedniejszy szampan. Swego czasu całował się z wieloma kobietami, ale w Jane wyczuł nieokiełznaną namiętność, przy której jego doświadczenie zdawało się na nic. Nie miał jeszcze jasności, jak wydobędzie ów skarb na światło dzienne, z pewnością jednak palił się do tej roboty.

Rozebrany z pomocą Jane, patrzył, jak z wielką pieczołowitością wieszka ubranie na jelenich rogach. Wymowny rumieniec na jej policzkach dodał mu otuchy. Nie był swej żonie obojętny i świadomość tego napawała

go pewną nadzieją.

W godzinę później nadal miał wyśmienity humor, chociaż siedział na zakurzonej podłodze, przekopując się przez sterty rupieci, których kiedyś nie tknąłby nawet czubkiem eleganckiego buta.

Miotany wiatrem deszcz zaczął uderzać w okna, potwierdzając słuszność jego decyzji, by zostać w domu, nie mógł jednak nie przyznać, że nie tylko deszcz na nią wpłynął. Oparłszy się wygodnie o stopę olbrzyma, stwierdził z zaskoczeniem, że właściwie doskonale się bawi.

Czemu to zawdzięczał? Uśmiechnął się do siebie. Wystarczyło spojrzeć przez pokój na jego towarzyszkę, by znaleźć odpowiedź. Kobieta, którą zawsze znał jako spokojną i nudną, tryskała entuzjazmem. W miarę upływu popołudnia dobry humor Jane stawał się coraz bardziej widoczny. Uwielbiała grzebać w starych pudłach, wynajdywać różne drobiazgi, oglądać je wspólnie i Raleigh nie mógł nacieszyć się jej towarzystwem.

To jednak jeszcze nie było wszystko. Choć wicehrabia początkowo był nastawiony pesymistycznie, ze zdumieniem odkrył, że jego zajęcie coraz bardziej go absorbuje. Fragmenty rodzinnej historii okazały się bardzo interesujące, zwłaszcza gdy dotarł do paczki listów od dziadka, który namawiał Corneliusa, by „porzucił nędzną wegetację” i powrócił do rodowej siedziby.

Monity te wydały się Raleighowi tak znajome, że poczuł nagłą więź ze zdziwczającym starcem, choć z pewnością niewiele mieli ze sobą wspólnego poza reputacją utracjuszy. Wszystkie dobra wicehrabiego z trudem zapełniłyby ten pokój.

Raleigh odłożył pakiet listów i sięgnął po kolejne pudło, głębokie, ciemne i wyjątkowo brudne.

- Chyba tu nie ma szczurów? - spytał niespokojnie Jane.

Jego żona, jak zwykle, nie zamierzała mu okazać nawet cienia zrozumienia. Obojętnie uniosła głowę znad przeglądanej pudła.

- Powinniśmy pożyczyć od Charlotte jednego z jej kotów - zasugerowała.

- Obawiam się, że biedne kicie nie poradzą sobie z tymi northumberlandzkimi olbrzymami. Lepiej weźmy miejscowe zwierzę, ze wsi - odparł cierpko Raleigh.

Miał wrażenie, że przez twarz Jane przemknął uśmiech, zaraz jednak znów rzuciła się w wir pracy. Westchnąwszy, zanurkował w wielkim pudle, by wydobyć zeń wazę.

A raczej urnę. Wyglądała na grecką, w dodatku jej kształt wydał się Raleighowi dziwnie znany. Prawdę mówiąc, przypominała okaz, który widział w kolekcji Wycliffe'a. Bardzo kosztownej kolekcji.

- Wydaje mi się, że część tych przedmiotów ma sporą wartość - powiedział, pokazując kruche naczynie żonie. - Czyż to nie wygląda jak jedna z drogocенności w galerii Wycliffe'a w Casterleigh?

- Mówiłam ci, że tu są ukryte skarby - odparła Jane, a coś w jej głosie kazało mu przyjrzeć się jej uważniej. Przez całe popołudnie był świadkiem huśtawki jej nastrojów, od porywów wesołości po dziwny opór, kiedy krytykował dom wuja.

I nagle zrozumiał: jego żona nie tylko zapaliła się do restauracji posiadłości, ale wręcz... utożsamiała się z Craven Hall.

Z westchnieniem odstawił wazę i oparł się o stopę olbrzymia. Może to było absurdalne, jednak wreszcie wszystkie elementy łamigłówki, jaką była jego żona, zaczęły się układać w całość. Dwór Craven Hall był eklektyczną rudera położoną na całkowitym odludziu. On sam uważał go za odrażająco brzydki, ale w oczach Jane był romantyczną, oryginalną, smaganą wichrem

budowlą, która wymaga jedynie troski, by rozkwitnąć. Co gorsza, Raleigh zaczął podejrzewać, że Jane jego akceptację tego domu, mimo całej brzydoty i osobliwości, podświadomie utożsamia z akceptacją siebie jako żony.

Spróbował spojrzeć na to z jej perspektywy. Patrząc na rzeźbiony plafon, który rozpaczliwie domagał się odmalowania, starał się wmówić sobie, że wcale nie jest taki straszny. Kiedy przebił się wzrokiem przez warstwy kurzu i brudu, musiał przyznać, że sama płaskorzeźba wygląda na nietkniętą. Pokoje z belkowanymi i stiukowymi sufitami, z kafelkowymi posadzkami sąsiadowały tu z nowszymi pokojami, wyłożonymi parkietem i wyblakłym jedwabiem, ale Raleigh czuł, że można je tak urządzić, żeby wyglądały jak fragmenty jednej całości.

Jane mówiła, że w wieży znajduje się wykusz okienny, a jedna z dwóch położonych w niej komnat wychodzi na blanki od południowej, frontowej strony budowli. Można by tam urządzić wygodne apartamenty. Wnętrza, po usunięciu zbutwiałych tkanin i zniszczonych mebli, powinny okazać się całkiem interesujące. Były trochę niecodzienne, ich architektura nie schlebiała tanim gustom i prawdopodobnie - tak jak jego żona - wymagały po prostu uważniejszego spojrzenia.

Popatrzył na swoją świeżo poślubioną małżonkę. Z pewnością nie była źle traktowana ani przez ojca, ani przez rodzeństwo. A jednak, jak daleko sięgał pamięcią, zawsze trzymała się na uboczu, z dala od reszty rodziny. Ekscentryczka? Nigdy by jej tak nie nazwał, dopiero teraz jednak zauważył, jak łatwo godził się wcześniej na jej nieobecność.

Czy Jane czuła się ekscentryczna? Dziwaczna? Niekochana? Potrząsnął głową. Co prawda, oszpecała się, jak tylko mogła, gdyby jednak zdjąć z niej te okropne ubrania i binokle, rozpuścić ciasno zebrane włosy,

poczwarka przeistoczyłaby się w czarującą kobietę.

Choć krzepka, była szczupła i bardzo zgrabna. Powoli zaczynał dostrzegać szczegóły jej urody - delikatne nadgarstki, nieduże stopy i ładne kostki. Kształtne uszy Jane, o podniecająco małych płatkach, przylegały do głowy, a jej szyja była smukła i wdzięczna.

Zwykle nie przyglądał się takim szczegółom, najczęściej wpatrywał się w wyzywający dekolt albo obnażone ramiona kobiet. Jednak u Jane wszystko było ukryte, jak zakazany owoc, musiał więc zadowolić się tym, co udało mu się podpatrzeć, tęskniąc do dnia, kiedy będzie mu wolno podziwiać całość.

Kiedyś uważał jej urodę za pospolitą? Westchnął ze skrucą. Jej oczy za szklami koszmarnych binokli były zachwycające, kości policzkowe wyjątkowo delikatne, a cera nieskazitelna. Uważał, że jej włosy są nijakie? Połyskiwały pięknymi złotawymi pasemkami. Uważał ją za nudną? Gdy zobaczył dziecięce podniecenie, z jakim oglądała stary, zaśnieźniały zegarek, zrozumiał, jak bardzo się mylił.

Wprawdzie nie była uderzająco piękna, nie eksponowała swojej urody ani nie była skłonna do śmiechu i żartów jak kobiety, do których zwykle czuł pociąg, jednak miała pewien dyskretny urok. Pod fasadą wystawioną dla świata wyczuwał dowcip i inteligencję, a także nieokiełznaną namiętność. Gdyby tylko wiedział, jak ją wyzwolić!

W milczeniu obserwował, jak zdejmuje binokle, by je przetrzeć, i nagle po raz pierwszy w życiu poczuł dziwną tęsknotę. Gęste rzęsy okalały jej niespokojne zielone oczy, a kilka wilgotnych od potu blond kosmyków wymknęło się z oplatającego głowę warkocza i przywarło do policzka.

Raleigh poczuł ogarniające go pożądanie. Do tej pory uważał się za człowieka opanowanego, teraz jednak czuł, że będzie musiał zmienić o sobie

zdanie. Jane miała smugę brudu na nosie i nagle zapragnął ją zlizać, przycisnąć wargi do jej wilgotnego czoła, wsunąć dłonie za wysoki gorset, by sprawdzić, czy cała reszta jej ciała jest równie rozgrzana i wilgotna...

Zamruwała niepewnie, wyraźnie niezadowolona z jego inspekcji. Raleigh spieszył się i szybko spuścił wzrok, gdy Jane z powrotem zakładała binokle. Nigdy nie spodziewał się, że będzie się tak rozczulał nad Pospolita Jane. Jego ciało zdradzało gotowość, która zadawała kłam wszelkim pomówieniom o lenistwo.

Stłumiwszy jęk, przytknął głowę do chłodnej stopy olbrzyma. Wiedział, że nie może rzucić się na swoją żonę jak na którąś ze swoich dawnych kochanek. Tamte chichotałyby i piszczały z uciechy, ale nie Jane. Na Boga, gdyby czytała w jego myślach, z krzykiem opuściłaby ten dom, szybciej niż przerażona służba.

Będzie musiał szacunkiem podbić serce swojej żony, a przede wszystkim doprowadzić do tego, by go zaakceptowała. Choć pragnął jej gorąco, wiedział, że nie zniosłby, gdyby potem patrzyła na niego z dobrze mu znaną pogardą. Nie miał szczególnie wygórowanego mniemania o sobie, ale krytyczne oko Jane nie przepuściło żadnej jego słabostki.

- Śpisz czy pomagasz? - spytała ostrym tonem, wytrącając go z rozmyślań.

- Czy przynieść ci pejcz, kochanie? - spytał cierpko, ale kąśliwa uwaga najwyraźniej nie zrobiła na niej wrażenia.

Z westchnieniem odstawił urnę na rzeźbiony, pozłacany stolik, który Jane zdążyła już wyczyścić. Przyjrzał się naczyniu z uwagą.

Był prawie pewien, że mógłby za nie dostać sporo gotówki, musiałby jednak poprosić wpierw Wycliffe'a, jako eksperta, o opinię. Ponownie zajrzał do skrzyni. W środku znalazł kawałki ceramiki i popiersie

mężczyzny o klasycznych rysach.

- Tandeta i falsyfikaty - mruknął pod nosem, wykładając zawartość skrzyni na stolik. - Inaczej pani Grobowiec już dawno wyprzedalaby to wszystko. - Zachichotał, słysząc karcące mruknięcie Jane. - Pewnie dlatego chce się nas pozbyć, żeby uciec z tymi starożytnościami.

- Jestem pewna, że gospodyni nie zdaje sobie sprawy z wartości przedmiotów w tym domu. Nie ma żadnego wykształcenia, poza tym trzeba oka znawcy, żeby wypatrzeć wśród tej zbieraniny rzeczy naprawdę wartościowe. Twój wuj gromadził wszystko, od szmat po rzeźby, z równą pieczołowitością przechowując stary trzewik, jak i Boticellego...

- Znalazłaś Boticellego? - Raleigh poderwał się z przejęcia.

- Jeszcze nie - odparła ze śmiechem.

Naturalnie tylko ekspert mógł ocenić wartość kolekcji Corneliusa, ale Raleigh czuł, że ma podstawy do optymizmu. Jego wzrok spoczął przez chwilę na żonie. Przypomniał sobie, jak leżała na nim i uśmiechnął się. Tak, istniały podstawy do optymizmu.

Raleigh otwierał kolejne skrzynie. Prawie we wszystkich były antyki. Cornelius musiał być swego czasu prawdziwym kolekcjonerem. Jane odkryła zeszyt, w którym własnoręcznie odnotowywał swoje nabytki i ich ceny oraz przygotowania do transportu do Anglii.

Jedno z pudeł było pełne muślinowych, poźółkłych imitacji rzymskich tunik.

- Spójrz! - Raleigh machnął w stronę Jane długim kawałkiem przezroczystej tkaniny, która wyglądała, jakby była noszona przez jedno ramię. - To chyba coś w sam raz dla ciebie.

Tak jak się spodziewał, na twarzy Jane odmalowało się oburzenie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że jakaś kobieta włożyłaby na siebie

coś takiego!

Raleigh uśmiechnął się pod nosem. Wyobraził sobie gromadkę skąpo odzianych kobiet, odgrywających role uczestniczek starożytnych orgii.

Akcje starego Corneliusa znów poszły u niego w górę.

Nie zrażony dezaprobatą żony, podszedł do niej i przyłożył delikatną tkaninę do jej ciała, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze leży.

- Boże, tak bardzo chciałbym cię w tym zobaczyć - wyszeptał.

- Przestań! - ofuknęła go.

Zamiast na ciele żony, starannie udrapował tunikę na jelenich rogach, po czym cofnął się, podziwiając swoje dzieło.

- Wygląda jak stary całun! - dobiegł go zza pleców zirytowany głos Jane.

- Hmm... Trochę zbyt wyzywające na kreację pogrzebową, nie uważasz? - Odwrócił się do niej z kpiącym uśmiechem. - Dla ciebie nieco za blade. Potrzebujesz więcej kolorów, moja droga. Nie jestem jeszcze całkowitym nędzarzem i mógłbym cię ubrać ze smakiem. A propos - dorzucił, wsparłszy się nonszalancko o wielki, marmurowy kominek - Antoine wspomniał, że moja matka przysłała ci kilka kufrów sukien. Naturalnie wolałbym, żeby przysłała pieniądze, żywność lub służbę, ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zobaczyć cię w którejś z nich.

Odwróciła się do niego plecami, nagle ogromnie zajęta starą, zakurzoną skrzynią.

- Mam własne ubrania.

- Zgoda, ale teraz masz ich więcej. Dlaczego nie spróbować małej odmiany? - Przez chwilę milczał, taksując Jane wzrokiem. - Ciemna czerwień, a może cytrynowa żółć.

- Nie noszę kolorowych rzeczy! - odparła ostro.

- Czemuż, na Boga? - zdumiał się szczerze.

- Bo Charlotte lubi kolorowe stroje! - odparła i wyprostowała się dumnie.

Raleigh z trudem powstrzymał się od śmiechu. Wyjaśnienie nasuwało się samo.

- I co z tego? Większość kobiet nosi się kolorowo. Zresztą tu nie ma Charlotte. Nikt was nie będzie porównywał.

- Zawsze ktoś będzie porównywał! - Jane odłożyła trzymane w rękach przedmioty i odwróciła się gwałtownie. Jej policzki płonęły. Reakcja żony zaskoczyła Raleigha, jednak wybuch namiętności zachwyił.

Na dworze zawodził wiatr, a deszcz uderzał w szyby okienne z gwałtownością porównywalną z histerycznym nastrojem Jane. Raleigh sam zaczął ulegać dziwnemu niepokojowi.

- Jak myślisz, dlaczego nie zgodziłam się, by siostra wysłała mnie na sezon do Londynu? - spytała Jane podniesionym głosem.

Zdumiony gwałtownością żony, Raleigh patrzył na nią w milczeniu. Wiedział, że Jane nie była przedstawiana w Londynie, ale kładł to na karb kolejnych ciąż Charlotte oraz niewielkich szans Pospolitej Jane na złapanie bogatego męża. Ze zdumieniem przyjął do wiadomości fakt, że sama odrzuciła taką okazję.

- Oniemiałeś, mój panie? - zadrwiła. - Czarującemu Raleighowi zabrakło języka w gębie? Już dobrze, oszczędź mi swojej litości. Właśnie dlatego nie zamierzałam wyjeżdżać do Londynu, nie chciałam, by wszyscy współczuli biednej Charlotte, że ma na głowie siostrę, która nie jest do niej ani trochę podobna! Jakim cudem wyda ją za męża? Co za pech mieć za siostrę dziewczynę tak pospolitej urody!

Raleigh poczuł, że oblewa się krwistym rumieńcem na dźwięk słów,

które kiedyś sam mógł wypowiedzieć. Po chwili opanował się na tyle, by podjąć rzuconą rękawicę.

- Na Boga, Jane! - zaprotestował gwałtownie. - Zachowujesz się, jakbyś była jakąś wiedźmą, poczwara, brzydula. A jesteś młodą, naprawdę atrakcyjną kobietą. Spójrz tylko do lustra!

- Nie, dziękuję! Jak mogłam się spodziewać, że mnie spróbujesz choć trochę zrozumieć? - spytała, miotając błyskawice przez te swoje koszarne binokle. - Próżności, twe imię to Raleigh!

Zbity z tropu wicehrabia spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Uważasz, że jestem próżny?

- Wiem, że jesteś próżny! - odparła z oskarżycielsko wymierzonym palcem.

Raleigh spojrział po sobie. Haftowana kamizelka, bufiaste bryczesy.

- To, że się lubię ładnie ubierać, nie znaczy wcale, że jestem próżny - powiedział speszony.

Do swoich przyjaciół zaliczał Wrotha, który uchodził za najbardziej wytwornego mężczyznę Anglii. Markiz musiał wręcz oganiać się od kobiet, które doprowadzały jego żonę do szału. Wycliffe, choć nie tak uwielbiany z powodu poważnego usposobienia, też bardzo dbał o siebie. A do Sebastiana, hrabiego Ravenscar, kobiety ciągnęły jak ćmy, mimo jego fatalnej reputacji, którą małżeństwo nie do końca naprawiło.

Raleigh nigdy nie wyobrażał sobie, że mógłby być zaliczany do nich, gdyż z całej kompanii był najbardziej przeciętny. Nie był ani specjalnie wysoki, ani przystojny, ani zbyt inteligentny, a już z pewnością nie miał złamanego grosza. Spojrział na żonę i oniemiał. Jane parodiowała go. Z jedną ręką wspartą na biodrze, drugą lustrowała pokój przez wyimaginowany monokl. Z nosem zadartym do góry i komiczną powagą na

twarzy, wyglądała jak zachwycony swoją osobą dandys.

Raleigha rozśmieszyła ta pantomima. Jane, z każdą chwilą stajesz się bardziej zachwycająca, pomyślał.

- Wspaniale! - zawołał, entuzjastycznie bijąc brawo. - Ale ja naprawdę nie jestem próżny. Po prostu lubię się dobrze ubierać. Czy to zbrodnia? Staram się zrobić najlepszy użytek z tego, co mam, a ty... najgorszy. Po co ukrywać swoje zalety? - spytał łagodnie.

Zachnęła się, pokazując mu plecy, ale zaraz odwróciła się z powrotem do niego.

- I jeszcze jedna rzecz: za dużo mówisz! - oświadczyła.

Raleigh zaczął podejrzewać, że wybuch żony był reakcją na ich wcześniejsze zbliżenie. Było mu z tego powodu przykro, potrafił jednak zrozumieć jej stan ducha. Jane, uosobienie powściągliwości, nie mogła się łatwo pogodzić z namiętną stroną własnej natury.

- Domyślam się, że wolałabyś bajronicznego ponuraka lub wielkiego, milczącego osiłka - zażartował. Nie tylko Jane była dobrą aktorką. Raleigh wbił głowę w ramiona i ruszył przed siebie, tocząc dokoła tęnym wzrokiem. Nie uszedł nawet paru kroków, kiedy dobiegł go zduszony dźwięk.

Przystanął zaskoczony. Jane przysłańiała ręką usta, powstrzymując chichot. Ku radości Raleigha, przegrała tę walkę. Chichot przemienił się w głośny śmiech. Zaszumiało mu w głowie jak od najprzedniejszego wina. W jego oczach musiała jednak pojawić się dojmująca tęsknota, gdyż Jane szybko spoważniała i jakby chcąc zachować dystans, krzyknęła na niego:

- Skończ wreszcie tę komedię!

- Komedię? - Raleigh nic już nie rozumiał.

- Wiecznie wygłupiasz się i kokietujesz, jakbyś się w ogóle nie przejmował tym absurdalnym małżeństwem - oświadczyła, patrząc na niego

z wyraźną wrogością. Oniemiał. - Ty mnie chyba nienawidzisz! - krzyknęła.

Raleigh zastanowił się nad jej słowami. Na początku, owszem, bolał nad utratą wolności, jednak gorycz, jaką czuł w dniu ślubu, zniknęła niepostrzeżenie.

Po namyśle doszedł do wniosku, że gniewanie się na okoliczności, które zmusiły go do ożenku, kosztowało go zbyt wiele energii. Poza tym podejrzewał, że Jane oszczędziła mu małżeństwa z jakąś oziębłą wybranką jego matki. Na samą myśl o tym przeszedł go dreszcz.

Nie reagował na nalegania rodziców, by wreszcie spłodził potomka. Miał nadzieję, że kiedyś jakaś wyjątkowa kobieta rozbudzi w nim namiętność. Tak, lubił wiele kobiet i pociągała go niejedna, ale żadna nie poruszyła jego serca. Widział, jak patrzają na siebie Charlotte z Makssem, Ravenscarowie czy Wroth z żoną. On sam nigdy z nikim nie wymieniał takich spojrzeń.

Kiedy wypił więcej, było mu smutno i zaczynał się rozczulać nad sobą, jednak na co dzień nie przejmował się tym. W końcu nie był pierwszym mężczyzną, który nigdy nie zaznał miłości. I tak los obszedł się z nim łaskawie, czemu więc miałby rozdzierać szaty z powodu czegoś tak nieuchwytnego jak miłość?

Wzruszył bezradnie ramionami, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Jane.

- Nie wierzę w twój dobry humor, bo sama cię nienawidzę! Gdybyś nie wykazał się swoim zwykłym brakiem odpowiedzialności, nie upił się na umór i nie wszedł nie do tego pokoju co trzeba, dalej mieszkałabym w domu...

- I co też takiego byś tam robiła? - spytał Raleigh, którego dziwnie dotknęły jej słowa. Niewątpliwie nie był zachwycony ich wymuszonym

małżeństwem, ale starał się robić dobrą minę do złej gry. Niewątpliwie zaczął lubić swoją żonę, a nawet jej pożądać. Po to tylko, żeby się dowiedzieć, że choć z entuzjazmem odwzajemniła jego pocałunek, nadal żywi do niego wyłącznie pogardę. Poczul się zraniony do żywego. - Czego cię pozbawiłem, Jane? - spytał. Nagle targnęło nim straszliwe podejrzenie. Chwycił ją za ramiona. - Miałaś kogoś? Ukochanego?

Potrząsnęła gwałtownie głową, a Raleigh aż osłabł z nagłej ulgi. Westchnął. Choć podziwiał temperament żony, jego wybuchy męczyły go. Rozluźnił uścisk.

- Jeśli chcesz wiedzieć, nie mam żalu - powiedział spokojnie. - Jestem z natury tolerancyjny i staram się w każdej sytuacji znaleźć jasne strony. Pogodziłem się z naszym małżeństwem.

Zamiast się uspokoić po jego oświadczeniu, wzruszyła zirytowana ramionami.

- Tobie, zdaje się, na niczym nie zależy.
- O co ci chodzi? Chcesz, żebym miał żal?
- Z tobą w ogóle nie można rozmawiać!

Nadal trzymał ją za ramiona, choć próbowała się wyzwolić. Nie miał pojęcia, co się dzieje za jej binoklami, ale miał szczerzy zamiar się tego dowiedzieć.

- Jestem, jaki jestem, Jane, i nie ukrywam tego. Przykro mi, że tak bardzo cię to do mnie zniechęca.

- Po prostu nie rozumiem - mruknęła, odwracając twarz.
- Co? Czego nie rozumiesz?
- Jak może ci tak... na niczym nie zależeć? - spytała oskarżycielskim tonem, nadal nie patrząc mu w oczy. - To denerwujące! To, że jakoby pogodziłeś się z naszym małżeństwem. Chcesz powiedzieć, że czułbyś się

tak samo bez względu na to, kim byłaby twoja oblubienica? Każda by cię zadowolila, bo jesteś zbyt leniwy, by zdobyć się na sprzeciw?

Próbował nie zwracać uwagi na potępienie, zawarte w jej słowach, bo rozpoznał smutną niepewność w jej głosie. Choć sam czuł się również niezbyt pewnie, był o wiele bardziej doświadczony od Jane. Wiedział, że potrafi jej przywrócić wiarę w siebie. Jego żona, w gruncie rzeczy silna i pewna siebie, trzepotała się bezbrinnie, a jemu serce się ścisnęło, gdy widział jej bezradność za fasadą niedostępności.

- Nie, Jane. Jestem wielkim szczęściarzem, że właśnie ciebie znalazłem w moim łóżku - powiedział cicho. Zarumieniła się, ale nadal nie spojrzała na niego. - I chociaż jesteś bardzo nieprzystępna, uważam cię za uroczą niespodziankę, coś cudownego. Jakbym dostał prezent owinięty w szary papier, a w środku znalazł szlifowany brylant.

Zaskoczona, zrobiła głęboki wdech. Mocniej zacisnęła palce na jej ramionach. Czuł niejasno, że im bardziej się do niej zbliża, tym silniej ona go odpycha, i nagle pomyślał, że może rzeczywiście nie jest nic wart. Czyż jego rodzice nie powtarzali mu tego aż nadto często?

Ale Jane była zbyt blisko, by mógł dłużej oddawać się tego rodzaju rozmyślaniami. Jej piersi pod bezbarwną sukienką wznosiły się i opadały gwałtownie, pot wystąpił na czoło. Miał ochotę zdjąć Jane binokle z nosa i pocałować każdy cal jej twarzy, uspokoić jej lęki, rozchmurzyć ją, wyzwolić w niej skrywaną namiętność. Powoli, bardzo powoli nachylił się, jednak zaraz cofnął się raptownie, gdyż coś zimnego i mokrego spadło mu na głowę.

Uniósł głowę. Wielka kropla spadła mu wprost na twarz. Parskając, pozwolił Jane wytrzeć ją, ale natychmiast kolejna brunatna kropla wsiąkła w jego lnianą koszulę, pozostawiając ciemną, rozszerzającą się plamę.

- A niech to! Dach przecieka! - krzyknęła Jane. - Zaraz wyślę Peg po wiadro.

I zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, już biegła do drzwi. Czyżby w Craven Hall panował jakiś duch, który płatał mu figła, ilekroć usiłował pocałować swoją żonę? W dodatku zawsze przy tym go ośmieszał, pomyślał kwaśno Raleigh. Co nie znaczy, broń Boże, że był próżny...

Okiennice głośno załomotały, chłostane deszczem, a Raleigh kątem oka popatrywał na sufit. Na brudnym stiuku i łuszczącej się farbie niemal widział twarz wuja Corneliusa, śmiejącego się z niego w kułak.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Korzystając ze sposobności, Jane popędziła do kuchni. Potrzebowała czasu do namysłu, a nie potrafiła myśleć, kiedy Raleigh był tak blisko niej, patrząc na nią tym swoim leniwym wzrokiem, mówiąc do niej niskim, zmysłowym głosem. Wsparłszy się o wytarty kuchenny blat, próbowała odzyskać oddech, choć wiedziała, że to nie bieg do kuchni przyprawił ją o zadyszkę.

Winien był Raleigh. Choćby nie wiadomo jak perswadowała sobie, nie potrafiła uciszyć wewnętrznego drżenia, wręcz euforii, którą trudno było przypisać podrażnionym nerwom. Nogi pod nią zmiękły, jakby była pijana, odurzona - ale nie winem, lecz upajającymi słowami męża.

Naturalnie nie wierzyła mu ani trochę. To, że ją nazwał brylantem, wydało jej się śmieszne, a jednak słowo to zapadło jej w serce jak

najdroższy skarb. Próbowwała przypomnieć sobie powody, dla których tak nisko ceniła męża, ale wszystkie nikły wobec wspomnienia jego pocałunku.

Wyprostowała się, przerażona tokiem swoich myśli, a co gorsza, czynów. Tego popołudnia wykazała przerażający brak powściągliwości, zarówno w słowach, jak i uczynkach. Gorący rumieniec wstydu wypłynął na jej policzki. Z pewnością Raleigh był częściowo winny, bo sprowokował ją do bolesnych wyznań. Wiedziała jednak, że powinna panować nad swoim językiem i temperamentem, a także dbać o skromność.

Raleigh to nicpoń, któremu nie można ufać. Zawodowy bawidamek, którego pustych komplementów i żartów nie należy brać poważnie. Nie był nią wcale urzeczony, a ona nie miała ochoty na podobne błazeństwa. A jednak poruszała się po kuchni dziwnie lekkim krokiem, wypatrując naczynia, w które mogłaby złapać ciekącą z sufitu wodę.

Po krótkich poszukiwaniach znalazła kubeł i starą balię. Włożywszy jedno w drugie, ruszyła do pokoju, z nadzieją, że uszkodzony jest tylko fragment dachu nad głównym skrzydłem budynku. W miarę jak zbliżała się do celu, szła coraz mniej pewnym krokiem, jednak postanowiła się nie poddawać. Jeśli Raleigh zamierza zacząć tam, gdzie skończył, będzie gorzko rozczarowany!

Ale wicehrabiego nie było. Jane ze stukotem odstawiła balię na podłogę i zaczęła rozglądać się dokoła. Kiedy, rozczarowana wpatrywała się nie widzącym wzrokiem w miejsce, w którym go zostawiła, jej uwagę przykuła plamka na podłodze. Najeżyła się. Nagle wiedziała już wszystko.

Bez wątpienia niepoprawny dandys udał się do garderoby, by zmienić poplamioną koszulę - bo przecież nie mógł pokazywać się z plamką na gorsie. Jednak tym razem Jane wcale nie poczuła pogardy i lekceważenia na tę myśl. Jej własna wyższość nie sprawiła jej żadnej przyjemności.

Stropiona, postanowiła skoncentrować się na swoich zadaniach. Podstawiła balię pod miejsce przecieku i z wiadrem w ręku zaczęła rozglądać się za dalszymi przeciekami. Ściągnęła brwi, widząc ciemną, rozlewającą się plamę w miejscu, które wcześniej sprzątała. Cofnęła się nagle, kiedy zdała sobie sprawę, że nie ma do czynienia ze zwykłą kałużą wody. Ciecz w kałuży była czarna, a jej zapach przyprawiał o mdłości.

Nagle wielki pokój z tajemniczymi kształtami pokrytymi szarymi pokrowcami, z mrocznymi narożnikami, których nie rozświetlało światło nielicznych lamp, wydał jej się groźny. Deszcz, który ledwie zauważała w ciągu dnia, teraz uderzał w stare okna z niepokojącą siłą. Choć zdrowy rozum mówił Jane, że nie ma się czego bać, poczuła strach, kiedy uprzytomniła sobie, że plamy na podłodze wcześniej nie było.

Gdzieś na dworze runęło z trzaskiem drzewo. Jane drgnęła. Dotkliwie zdała sobie sprawę ze swojej samotności w pustym pokoju i, upuściwszy kubek, uległa wreszcie panice. Odwróciła się, by uciec, jednak natychmiast zderzyła się z kimś, kto stanął na jej drodze. Dopiero po chwili zorientowała się, że jest to nie duch, lecz ktoś ciepły, mocny i dobrze znany.

- Raleigh! - Jego koszula pachniała świeżością, a jedwabna kamizelka opinała się na muskularnym torsie. Jane objęła męża, tuląc twarz do jego piersi. Pod elegancką garderobą wyczuwała siłę, którą ją chronił, wewnętrzną jasność, którą rozpraszał ciemności. Jeszcze nigdy nie ucieszyła się tak bardzo na jego widok.

- Jane, kochanie, co się stało? - spytał tak czułym głosem, że miała ochotę wybuchnąć płaczem. Niechętnie wypuszczając go z objęć, wskazała drżącą ręką na plamę.

- T... tam jest coś. To... to chyba jest krew.

- Ale nie twoja, mam nadzieję? - spytał cierpko. Jane potrząsnęła

głową. Choć miała ochotę stać w miejscu, przytulona do jego silnego ciała, pozwoliła mu się uwolnić. A potem z szeroko otwartymi oczyma patrzyła, jak zbliża się do ciemnej plamy i przyklęka, by się jej przyjrzeć.

- Hmm... Jest to niewątpliwie krew, ale zwierzęca. Może pani Grabarz wzięła się za rzeźnictwo?!

Na przekór sobie Jane zachichotała, choć zazwyczaj gorszyły ją głupie żarciki męża.

Raleigh przysiadł na piętach i uśmiechnął się do niej.

- Już wiem! Znowu zamek Otranto. Nasi zartownisie nie są zbyt odcytani. Wydaje się, jakby inspirowały ich głównie dwie powieści grozy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Może pomyliły mi się książki. Ale wyraźnie przypominam sobie posąg broczący krwią...

- Masz rację - stwierdziła z zaskoczeniem. - Może któremuś z posągów krew poszła z nosa?

- Właśnie! - wykrzyknął Raleigh z zachwytem, który sprawił, że wszystkie poprzednie lęki wydały się Jane śmieszne. - Hmm...

Rozejrzał się po pokoju. Jego wzrok spoczął na jednej z odsłoniętych przez Jane rzeźb. Był to marmurowy posąg mężczyzny, który przyklęknął na jedno kolano, zwrócony nagim grzbietem w stronę plamy na podłodze.

Widząc, że Raleigh szykuje się do swawolnego komentarza, Jane nachmurzyła się. Raleigh uśmiechnął się, przekornie unosząc brwi.

- Nawet tego nie mów - ostrzegła, domyślając się, co chce powiedzieć.

- Ależ, Jane, kochanie, może biedak stołuje się u pani Graves? Trudno go w takim razie winić za lekką... niedyspozycję!

Jane potrząsnęła głową. Jej mąż podniósł się szybko z podłogi.

- Jesteś niepoprawny - zbesztła go, ale rozbroił ją niewinny wyraz jego przystojnej twarzy. Uniosła dłoń do ust, usiłując powstrzymać nerwowy chichot, jednak nie była się już w stanie pohamować. Przysiadłszy na stopie olbrzyma, śmiała się w głos, aż oczy zaszyły jej łzami.

Raleigh przyglądał się jej z mieszaniną przyjemności, troski i niedowierzania.

- Jane, dobrze się czujesz?

Potaknęła. Brakowało jej tchu. Czowała się wprost wspaniale. Czowała wolność i uniesienie, jakby ten wybuch podziałał jak katharsis, oczyszczając ją nie tylko z najświeższych lęków, ale i z dawnych, głęboko skrywanych napięć. W jednej chwili cała powściągliwość wydała jej się ciasnym gorsetem. Zapragnęła zrzucić go z siebie, zacząć zachowywać się beztrosko i swobodnie, jakby nie była Pospolitą Jane, lecz nową istotą, którą Raleigh powołał do życia jednym skinieniem swojej arystokratycznej dłoni.

Raleigh. Z jakiegoś absurdalnego powodu miała ochotę zarzucić mu rękę na szyję i pocałować go. Jednak tylko uśmiechnęła się niepewnie, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Żartobliwy błysk w jego oczach, który zawsze brała za kpinę, teraz wydał jej się dziwnie kojący, a zarazem podniecający. Tylko Raleigh potrafił przerażające spotkanie z plamą krwi zamienić w żart i rozproszyć cienie jednym krótkim zdaniem.

Przyglądała mu się. Stał w świeżej koszuli, piękny aż do bólu. Jak to możliwe, że nigdy tego nie zauważyła? A może zauważyła? Dziwnie zdezorientowana, odwróciła głowę. Jej serce biło jak szalone.

- Zadzwońię po panią Graves - powiedział. - Może ona będzie wiedzieć, skąd się tu wzięło to paskudztwo, skoro nie było nas tylko przez chwilę w pokoju. A jeśli nic nie wie, to niech chociaż posprząta - dodał, krzywiąc się z obrzydzenia. - Wtedy będziemy mogli umyć się do kolacji.

Jestem utyłany od stóp do głów po buszowaniu w tych starych skrzyniach. Chyba najlepiej zrobiłaby mi kąpiel.

Jane skinęła głową i wyobraziła sobie w mosiężnej wannie Raleigha - nagiego jak go pan Bóg stworzył.

- Och... -szepnęła bezradnie.

Gdy jej mąż sięgał po dzwonek, ukryła twarz w dłoniach, wizja jednak nie chciała zniknąć - ani kuszące myśli, które jej towarzyszyły.

Raleigh, ten nicpoń, złamał jej system obronny. Jak mu się miała teraz przeciwstawić?

Raleigh obserwował Jane, wiercącą się na krześle. Bawił go i zarazem niepokoił widok sztywnej na co dzień żony tak mocno poruszonej. Dawniej siedziała, skubiąc jedzenie, i wtedy miał ochotę unieść jej podbródek i nakarmić własnoręcznie. Uniósł wzrok w stronę okien. Deszcz nie przestawał chłostać murów Craven Hall, jakby niebo chciało za coś pokarać ten dom.

Zadrżał lekko. Nie będzie oddawał się tego rodzaju rozmyślaniam. Nie wierzył ani w duchy, ani w zemstę z za grobu starego Corneliusa, który nie aprobował krewnych, buszujących wśród jego skarbów. Zadumany, sięgnął po kieliszek, rozkoszując się delikatnym aromatem trunku.

- Nigdy w Northumberland nie piłem lepszego wina. Ciekawe, skąd je biorą?

- Nie mam pojęcia - odparła Jane, a Raleigh uśmiechnął się, widząc dobrze sobie znany grymas dezaprobaty na jej twarzy. Od kiedy odkryła plamę krwi - nie była sobą. Jej oczy za tymi koszmarowymi binoklami nabrały światła i życia. Nawet po kąpieli i wypoczynku, który na niej wymógł, wydawała się podekscytowana, za co mógł obwiniać tę piekielną

rudere i wszystko, co się w niej działo.

Co za dziwne miejsce! Chociaż wypytywał szczegółowo panią Graves, wyciągnął od niej niewiele, poza monosylabami i ponurymi ostrzeżeniami. Po rozmowie z nią czuł się zmęczony i rozgoryczony. Potem Antoine powrócił z pustymi rękoma. Wyglądał jak zmokła kura i przeklinał parszywą pogodę. We dwóch przeszukali cały dom, jednak bez skutku. Nie mogli znaleźć żadnych śladów nieproszonych gości czy choćby śladów zabłoconych butów w nie uporządkowanych jeszcze górnych pokojach.

Nie podobało mu się to. Gdyby nie fatalny stan dróg, o którym doniósł Antoine, zabrałby stąd Jane. Na razie, żarty, choć ponure, były dosyć nieszkodliwe - szczekanie jakiegoś żelastwa, świecące czaszki, zwierzęca krew - co jednak dalej? Niebezpieczeństwo, w jakim mogła się znaleźć jego żona, obudziło w nim uśpione instynkty opiekuńcze. A także zupełnie odmienne instynkty.

I tu tkwił problem: jak miał chronić Jane, kiedy coraz trudniej mu było trzymać ręce z dala od niej? Zważywszy na niedawne niepokoje - ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to kłopotanie się niepożądanymi zalotami. Był jej jedynym obrońcą. Jęknął. Nie ręczył za siebie. Spojrzał w górę, zastanawiając się, czy stary Cornelius nie śmieje się z niego w kułak.

- Chyba pójdę się już położyć - przerwał jego rozmyślania głos Jane.

- Ja też - odparł.

O dziwo, nie obdarzyła go karcącym spojrzeniem. Był zbyt zdumiony, by to skomentować, kiedy szli razem do skrzydła prywatnego. Zostawił Jane przed drzwiami jej sypialni, sam zaś udał się do własnej. Zrzucił ubranie. Założywszy swój adamaszkowy szlafrok, zastukał w drzwiczki w ścianie. Były otwarte. Jane - nie mógł uwierzyć - zaprosiła go do siebie.

Kończyła właśnie pleść warkocz i musiał powstrzymać się siłą, żeby

nie złapać go i nie rozpleść - rozpuszczając jej połyskujące pasma tak, by mógł je podziwiać, dotykać. Zawstydzony, odwrócił wzrok. Do diaska, to będzie trudniejsze, niż myślał.

Rozejrzał się z westchnieniem po pokoju w poszukiwaniu wygodnego krzesła, ale stary Cornelius wyraźnie wolał ciężkie mahoniowe meble bez tapicerki, a Raleigha nie podniecała perspektywa spędzenia kolejnej nocy na jednym z nich. Tego ranka ledwie mógł chodzić, tak był zdrętwiały. Jane jakby czytała w jego myślach

- Nie musisz tu zostawać na noc - powiedziała łagodnie. Patrzyła w stronę okna, więc nie mógł zobaczyć wyrazu jej twarzy, ale światło lampy naftowej rzucało blask na jej szczupłe ramiona, okryte jakimś koszmarnym szlafrokiem, który dawno należałoby wyrzucić. Nie zaskoczyło go to, że go odprawiła, lecz rozczarowanie, jakie poczuł.

Nigdy specjalnie nie zadawał sobie zbytniego trudu dla żadnej kobiety, czuł natomiast niezdrowy przymus zdobycia Jane. Może dlatego, że była jego żoną? Zapewne tak. Ale to nie wszystko. Jane była jedyną znaną mu kobietą naprawdę godną zdobycia. Zgoda, Charlotte była boginią, ciepłą i fascynującą, jednak zawsze czuł, że nie jest dla niej dostatecznie błyskotliwy, nawet jeszcze zanim jej słabość do Wycliffe'a stała się widoczna dla wszystkich.

Były też naturalnie inne - w większości młode, piękne kobiety, które śmiały się z jego żartów i nie brały życia zbyt poważnie. Jane natomiast była pełna sprzeczności. Jakim prawem ktoś tak nieskomplikowany jak on starał się o osobę tak trudną jak Jane? Czy miał u niej w ogóle jakiegokolwiek szanse?

- To na pewno tylko jakieś niewczesne żarty, nie wypoczniesz śpiąc w fotelu - powiedziała żona, jak zwykle wrywając go z rozmyślań. Kiedy

odwróciła się do niego, Raleigh poczuł, że trudno mu oddychać. Nawet okropny, szary szlafrok nie był w stanie ukryć jej smukłych kształtów, a jej oczy za szklami binokli wydawały się podejrzanie świetliste.

Potrząsnął głową.

- Nie zamierzam zostawiać cię samej po tym, co się dziś zdarzyło. - Choć nie dał tego po sobie poznać, świadomość, że ktoś kręcił się po galerii rzeźby zaraz po jego wyjściu, niepokoiła go. Zdany na łaskę losu, na odludziu, bez plejady lokajów i wiernych sług, czuł, że tylko sobie może zaufać, strzegąc bezpieczeństwa Jane.

- Nie możesz jednak siedzieć przez całą noc - powiedziała z troską. Raleigh wzruszył ramionami. Dbał o swoje wygody, ale jeszcze bardziej zależało mu na bezpieczeństwie żony.

- Może mogłabyś mi pożyczyć poduszkę albo dwie... - nie dokończył. Zauważył rumieniec na policzkach Jane.

Odwróciła twarz, nerwowo zakładając niesforny kosmyk za ucho. Raleigh zaczął się właśnie zastanawiać, co miała na myśli, kiedy odezwała się znowu, mówiąc cicho:

- To łóżko jest wystarczająco duże, by pomieścić wygodnie nas oboje. Raleigh wstrzymał oddech. Czyżby się przesłyszał?
- Co powiedziałaś...?
- Łóżko - powtórzyła z wyrazem udręki na twarzy. - Skoro się upierasz, by tu spać, skorzystaj chociaż z łóżka.

Mimo piekielnej pokusy, by przyjąć jej zaproszenie, Raleigh nie miał najmniejszego zamiaru poddawać się dalszym torturom. I chociaż miał spędzić resztę życia z tą kobietą, zdawał sobie sprawę, że przedwczesne wymuszanie na niej intymności żadnemu z nich nie zrobiłoby dobrze. Niestety jego ciało miało na ten temat inne zdanie niż rozum i nie

zamierzało się poddać.

Nabrał powietrza i zdecydował się na uczciwość.

- Trudno mi o tym mówić, kochanie, ale bez względu na to, co o mnie myślisz, jestem mężczyzną. Wprawdzie nasze małżeństwo było nagłe i niespodziewane, niemniej jesteś czarującą kobietą i bardzo cię pragnę. Jeśli zostanę tutaj...

- Nie bądź śmieszny - przerwała mu i zacisnęła usta. Raleigh patrzył na nią przez chwilę zdumiony, a potem zaśmiał się niepewnie.

- Nie wierzysz, że cię pragnę? Wydawało mi się, że dziś po południu dałem ci pewne wyobrażenie o moich apetytach, ale jeśli dalej nie wierzysz... spójrz. - Sam również popatrzył ze skruchą w dół. Poprzez adamaszek szlafroka jego pożądanie wydawało się boleśnie oczywiste. Jej oczy rozszerzyły się za szklami binokli, jednak potrząsnęła przecząco głową.

- Nie jestem kobietą, która mogłaby obudzić pożądanie w mężczyźnie.

- Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie - powiedział, zaskoczony jej protestem. Damy w jego otoczeniu zwykle uwielbiały komplementy, ale Jane patrzyła na niego ponuro, z wojowniczo zadartym podbródkiem, jakby odsądzał ją od czci i wiary.

- Nie denerwuj mnie, bo tego nie lubię - szepnęła. Spojrzała w bok, więc Raleigh nie mógł dostrzec wyrazu jej oczu, jednak wydawała się tak poruszona, że serce ścisnęło mu się z żalu.

- Nigdy bym cię nie oszukał, Jane - wyznał. Wziął ją delikatnie za ramiona i zwrócił w stronę ozdobnego lustra na rzeźbionej toaletce.

- Spójrz sama. Co widzisz?

Próbowała się wyswobodzić, ale trzymał ją mocno.

- Widzę pospolitą dziewczynę w binoklach - wybąkała.

- Hmm... - Powstrzymał impuls, by przyciągnąć ją do siebie.

Zachowując przyzwoitą odległość, sięgnął po jej okulary. Tak często wyobrażał sobie, że je zdejmuje... Ręce mu drżały, jakby zdejmował z niej ubranie, pancerz chroniący Jane przed wzrokiem świata.

Znieruchomiał na moment, próbując okiełznać rosnące pożądanie. Spojrzał na odbicie Jane, zastanawiając się, czy mu się wyrwie, ale po chwili wahania pozwoliła sobie zsunąć okulary z nosa i odłożyć na polerowaną powierzchnię stolika.

- Widzisz cokolwiek? - spytał, powstrzymując uśmiech, kiedy zrobiła do lustra minę.

- Widzę pospolitej urody dziewczynę bez binokli - odparła. - Daruj sobie, Raleigh! - wykrzyknęła, usiłując wyszarpnąć się z jego objęć. - Nic nie zmieni tego, kim jestem. Nie jestem Charlotte i nigdy nią nie będę!

Zaskoczyła go jej gwałtowność, jak również odwoływanie się do żony Wycliffe'a. Siostry wydawały się bardzo kochać nawzajem, a Jane nigdy nie próbowała w najmniejszym stopniu naśladować Charlotte. Jednak nie po raz pierwszy od ich ślubu porównywała się do kobiety, okrzykniętej przez śmietankę towarzyską Londynu „boginią”.

Wziął głęboki wdech. Wiedział, że musi postępować bardzo ostrożnie.

- Niczego takiego nie oczekuję. Jedna Charlotte najzupełniej wystarczy światu - powiedział lekko. - Masz własną urodę, równie zachwycającą jak uroda Charlotte, jeśli tylko pozwolisz ludziom ją dostrzec.

Nie zwracając uwagi na grymas niedowierzania na twarzy Jane, sięgnął po jej warkocz i zaczął go powoli rozplatać. Dłonie znów mu drżały. Uśmiechnął się przeproszająco. Przy skromnej, wręcz purytańskiej Jane nawet tak prosta czynność wydawała się niemożliwa do wykonania. Na myśl o jej włosach, opadających swobodnie na ramiona, o tym, że po raz pierwszy ujrzy je rozpuszczone, zabrakło mu tchu w piersiach. W świetle lampy

wydawały się gładkie i ciemnozłote. Bawił się niespiesznie jedwabistymi kosmykami. Na Boga, nigdy by nie pomyślał, że cokolwiek w Jane może być aż tak gładkie!

Pożądanie zaczęło pulsować w nim coraz gwałtowniej, był to głód, który żądał natychmiastowego zaspokojenia. Raleigh wstrzymał oddech, kiedy jego palce musnęły kark Jane. Wolałby dotknąć go ustami. Z trudem panował nad sobą. Prawdę mówiąc, pierwszy raz w życiu starał się być tak delikatny i ten wysiłek wydawał się wyostrzać jego zmysły.

Wreszcie włosy jego żony opadły w dół, spływając połyskliwymi pasmami aż do bioder. Jane, czemu ukrywasz taki skarb? Spojrzał znów w lustro i ze zdumieniem dostrzegł jej nieszczęśliwą minę.

- Widzisz! Są całkiem proste - poskarżyła się, ale jej głos podniósł się o oktawę, a policzki zabarwił rumieniec.

Raleigh potrząsnął głową.

- Nie są kręcone, jak u Charlotte, ale lśniące i delikatne jak jedwab. - Przesunął dłonią wzdłuż włosów Jane, kiedy jednak jego ręka natrafiła na krągłość jej biodra, poczuł się, jakby go łamano kołem. To udowadnianie, że jest piękna, nagle stało się bardziej intensywne niż najbardziej podniecające kontakty erotyczne. Każda komórka ciała Raleigha, od mózgu po palce u stóp, wibrowała, zelektryzowana ponad wszelką wytrzymałość. Z trudem przeniósł wzrok z powrotem na taflę lustra i ponownie skupił się na rozwiewaniu wątpliwości Jane co do jej wyglądu.

- Twoje włosy są zachwycające, kochanie. Masz nieskazitelną cerę i egzotyczne oczy, przypominające rzadkie okazy kwiatów z tropikalnej wyspy. Zbyt wiele uwagi poświęcasz porównywaniu siebie do innych, by zauważyć własną urodę.

Z lustra patrzyło na niego bez przekonania, mrużąc oczy, odbicie

Jane. Westchnął.

- Pozwól, że cię o coś spytam - zaczął, próbując przekonać ją inaczej.
- Czy widziałaś kiedyś słońce wschodzące w ciepły, letni poranek?

W odpowiedzi na to pytanie posłała mu jedno ze swoich pełnych politowania spojrzeń. Zagryzł usta, żeby się nie rozeźmiać.

- Owszem - odparła dosyć kwaśno.
- Piękny widok, prawda? - ciągnął.
- Owszem. - Jej odpowiedź była ostrożna, jakby podejrzewała w jego słowach jakiś podstęp. Raleigh miał ochotę wziąć ją w objęcia i rozwiać wszelkie obawy. Jednak nie ustawał w wysiłkach, wiedząc, że nigdy nie ujrzy Jane w całej jej krasie, póki ona sama siebie takiej nie ujrzy.

- A czy w letnie wieczory zdarzało ci się spacerować po ogrodzie, kiedy gwiazdy świeciły na niebie, a kwiaty rozsiewały upoją woń? - Położył jej dłonie na ramionach tak, by spojrzała w lustro.

- T... tak - odparła drżącym głosem.
- Oba widoki są piękne, ale różnią się od siebie jak noc od dnia, i tak też różnicie się od siebie z Charlotte. Twoja siostra jest jak promień słońca, ty zaś - powiedział, nachylając się do jej ucha - jesteś jak noc. Ciemniejsza, głębsza, skrzysz się skrywaną wesołością, poważna, a jednak podniecająca...

- Bzdury - zachnęła się gniewnie.
- Jej włosy po kąpieli pachniały cudownie. Wyprostował się.
- A jeśli chcesz już wszystko wiedzieć... masz bardzo kobiece ciało, Jane, szczupłe, lecz kształtne i miękkie.

Jakby dla potwierdzenia swoich słów, zsunął powoli dłonie z jej ramion w dół, po spranym szlafroku, który wstydliwie zasłaniał Jane aż po szyję. Nawet przez materiał wyczuwał w ciele Jane uśpioną namiętność, czekającą, by ktoś ją obudził...

Wsunął delikatnie palce za poję szlafroka i ujął jej pierś. Szarpnęła się do tyłu z gwałtownym westchnieniem, ale znów ją przyciągnął do siebie. Pieścił ją przez cienkie płótno nocnej koszuli, najpierw delikatnie, potem coraz śmieiej, aż poczuł, że jej sutki twardnieją mu pod palcami.

Nagle przestała się opierać. Raleigh zapragnął rozsunąć poły jej szlafroka i dotykać jej całego ciała przed lustrem, przyglądając się metamorfozie pruderyjnego dziewczęcia, za jakie chciała uchodzić, w namiętą kobietę, którą odkrył. Podnieconą, gorącą, spragnioną... i dziewiczą. Jęknął. W jego umyśle znowu odezwał się sygnał ostrzegawczy.

Jane była zupełnie niedoświadczona i bardzo niepewna zarówno siebie, jak i swojego męża, poślubionego nagle, pod przymusem. Jak mógłby to naprawić? Jego dłoń zawędrowała jeszcze niżej, na brzuch Jane. Wydała z siebie cichy okrzyk zdumienia i rozkoszy. Nie miał zamiaru jej uwieść, jednak jego pieszczoty wyraźnie sprawiały jej przyjemność. A chyba przyjemność między nimi dwojgiem była czymś dozwolonym.

Rozdarty między dojmującym pragnieniem a potrzebą chronienia żony, wił się jak na mękach. Jednak ostatecznie decyzja podjęta została za niego. Za ich plecami rozległ się nagle zwielokrotniony echem dźwięk. Raleigh był zbyt sfrustrowany, by potraktować to jako zrządzenie losu.

- Do diabła, wiedziałem! I co jeszcze? - wykrzyknął, kiedy wiatr powiał przez pokój, gasząc lampę. - Ten przeklęty dziadyga zagiął parol na moje małżeńskie szczęście! - wybuchnął, z trudem powstrzymując się, by nie zacząć wygrażać pięścią w sufit. Puścił Jane i rozglądał się, mrużąc oczy w ciemnościach. Tylko smuga światła z sąsiedniej sypialni wpadała do środka, to jednak wystarczyło, by zobaczyć, że jedno z wysokich okien jest stłuczone, a odłamki szkła pokrywają cały parkiet. Ki diabeł? Deszcz przestał padać, a było raczej nieprawdopodobne, by grzmot pioruna mógł

wybić szybę.

- Umawialiśmy się przecież, że nie ma tu duchów - syknęła mu zza pleców Jane.

- Pewnie! - mruknął. - Cokolwiek to było, cholernie brakuje mu wyczucia. Nie ruszaj się! - polecił i pchnął żonę na fotel. Żałował teraz, że pozwolił jej zdjąć stare draperie, bo czuł się odsłonięty nawet tutaj, w głębi pokoju.

- Jesteś bosy! - szepnęła przerażona. - Nie chodź po szkłe! Przyniosę ci buty!

- Nie! Nie ruszaj się stąd - powiedział Raleigh ostrzej, niż zamierzał. Nie mógł pozwolić, by błąkała się po tym domu wariatów. Jego zmysły, rozbudzone przez Jane, koncentrowały się teraz na jednym zadaniu: chronienia jej. Wprawdzie okno mogło zostać stłuczone po prostu przez spadającą gałąź, ale nie zamierzał ryzykować. Zbyt wiele dziwnych rzeczy działo się w Craven Hall, by ostatni incydent przypisywać siłom natury.

Ledwie ostrożnie ruszył przed siebie, jego podejrzenia potwierdziły się. Pod oknem majaczył kształt, który wyglądał jak duży kamień. Przy bliższych oględzinach okazało się, że jest obwiązany sznurkiem.

- Co to? - spytała zaintrygowana Jane. Przyklękawszy ostrożnie, podniósł znalezisko. Wstał i z powrotem podszedł do Jane.

- To kamień owinięty w papier. Chodź, obejrzymy go.

- Gestem ręki nakazał, by szła w ślad za nim do jego sypialni. Kiedy znalazła się w środku, pociągnął ją do najdalszego kąta i dopiero wtedy rozwiązał sznurek. Rozprostował wilgotną kartkę papieru.

- Coś jest na tym napisane! - Jane. - Może to jakaś wiadomość?

- Raczej ostrzeżenie - stwierdził Raleigh. - Jednak, o ile się nie mylę, klątwy wypisywało się zawsze na starym pergaminie. - Jane patrzyła na

niego, nie rozumiejąc.

- Powieści grozy, moja droga - wyjaśnił. - Żyjemy w powieści grozy. Ravenscarowie nigdy nam nie uwierzą.

Choć Sebastian i Prudence zzielenieliby pewnie z zazdrości, Raleigh nie czuł rozbawienia. Kamień był bardzo duży i z pewnością mógł zabić. Z łatwością uderzyłby Jane, a przynajmniej obsypał ją tłuczonym szkłem, gdyby znajdowała się bliżej okna. Z przerażenia ścisnęło go w żołądku.

- I co? Co tam jest napisane? - spytała niecierpliwie, przerywając jego rozmyślenia. Z binoklami z powrotem na nosie, w ogóle nie przestraszona, nachylała się nad tajemniczym komunikatem. Z westchnieniem podsunął jej zmięty papier.

- „Jesteście na złej drodze. Opuśćcie Craven Hall”. - przeczytała na głos. - Tak, miałeś rację. To ostrzeżenie!

- W dodatku dosyć żałosne - dodał cierpko. - Nie wiem, jakie są twoje lektury, Jane, ale w powieściach, które ja czytałem, istoty nadprzyrodzone nie wrzucają pogróżek przez okno.

- Może nasz duch jest bardziej pomysłowy - powiedziała Jane z namysłem.

Mimo jej widocznego spokoju, Raleigh z chwili na chwilę był coraz bardziej zdenerwowany. Nie wiedział, czemu miał służyć ostatni żart, ale łatwo mógł się tego domyślić. Skoro żadna z wcześniejszych sztuczek nie wypłoszyła ich z Craven Hall, ich autor postanowił uciec się do groźniejszych sygnałów. Nagle targnął nim lęk, jakiego jeszcze nie zaznał w całym swoim beztróskim życiu.

- Wątpię, czy nasz żartowniś jest pomysłowy. Gdyby był, nie czerpałby pomysłów z cudzych powieści - mruknął. - Jedno jest pewne: jest coraz bardziej zdesperowany.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Patrząc na dziwną wiadomość, Jane czuła rosnący gniew. Ktoś chciał, żeby opuścili Craven Hall. Jak śmiało wtrącać się w ich sprawy? Jak śmiało niszczyć jedyne miejsce, w którym czuła się jak u siebie, w którym czuła się panią, była pożyteczna, zadowolona... i godna pożądania?

Ta ostatnia myśl sprawiła, że się zarumieniła, przypominając sobie słodkie słowa Raleigha i jego łagodne pieszczoty. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, drząc z tęsknoty i zawstydzenia, miotając się pomiędzy niedowierzaniem a palącą potrzebą, by zaufać mężowi, gdy nagle zauważyła, że przedmiot jej rozmyślań gdzieś zniknął.

Rozejrzała się wokół i z przerażeniem zobaczyła, że właśnie wkłada - w jej obecności! - spodnie. Oniemiała, zamknęła oczy i odwróciła się twarzą do ściany.

- C... co robisz? - wyjąkała.

- Wychodzę się rozejrzeć.

Odwróciła się gwałtownie, nie bacząc na to, że właśnie zrzucił szlafrok.

- Nigdzie nie pójdziesz! - oświadczyła. Przerwał ubieranie się i spojrzał na nią ze zdumieniem. - Najpierw mówisz mi, że ten ktoś jest zdesperowany, a potem chcesz wyjść na dwór po ciemku i go szukać? Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Widząc, że nie ma zamiaru jej ustąpić, rozpaczliwie szukała argumentu, który by go przekonał. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie paść mu w ramiona, ale nie miała pewności, czy pożądanie, o którym mówił,

było wystarczające, by go odwieść od jego zamiarów. Mogła skompromitować się jeszcze bardziej lub znaleźć się z nim w łóżku. Rumieniąc się gwałtownie, zastanawiała się, czy byłoby to gorsze... czy może lepsze wyjście.

- Po deszczu wszędzie będzie pełno błota - powiedziała, uciekając się do nieodpartego, jak się jej wydawało, argumentu. - Zniszczysz sobie ubranie i buty!

Przez chwilę patrzył na nią, jakby straciła rozum, a potem uśmiechnął się ironicznie.

- Boisz się, że stracę na urodzie, kochanie?

Nie zwracając uwagi na kpinę, Jane wyteżala umysł, próbując znaleźć inny pretekst do zatrzymania męża. Była zdecydowana nie pozwolić mu wyjść na zewnątrz. Ktoś, kto rzucił kamieniem, mógł tam być nadal, uzbrojony w kolejny kamień lub coś jeszcze gorszego, a Raleigh, rozpieszczony paniczyk, nie nadawał się do walki ze zbirami. Zadrżała na myśl, że ktoś mógłby go zranić.

- A co ja mam robić w tym czasie? - spytała zaczepnie. - Nie mam zamiaru taplać się w kałużach w środku nocy ani też nie zamierzam czekać tutaj sama.

Jej słowa podziały na Raleigha otrzeźwiająco. Obrzucił żonę baczny spojrzeniem, po czym westchnął z rezygnacją.

- Naturalnie, masz rację. Tylko że to diabelnie frustrujące, siedzieć tu beczynnie, kiedy nasz nieznany przyjaciel może w każdej chwili zaatakować! - Sięgnąwszy do spodni, zaczął je rozpinać. Jane krzyknęła.

- Co się stało? - spytał zdziwiony. Widząc jej minę, uśmiechnął się łobuzersko. - Rozumiem, skromność. Bardzo dobrze. Ale najpierw pozatykajmy wszystkie dziury. - Przeszedł przez pokój i zanim Jane

uświadomiła sobie, co robi, zamknął drzwi łączące ich sypialnie.

- Nie! - krzyknęła. Choć sam widok jego nagiej klatki piersiowej wystarczał, by obudzić wszystkie jej niespełnione tęsknoty, była zbyt zmieszana, by po prostu paść mu z powrotem w objęcia. - M... moja s... sypialnia - wyjąkała.

- Zostaniesz tutaj na noc, kochanie - oznajmił, obdarzając ją płomiennym spojrzeniem, od którego cała zadrżała. W uczuciu tym było coś dziwnie znajomego, od lat trzymanego przez nią samą na uwięzi.

- Raleigh! - zaprotestowała, zbierając wszystkie siły, żeby jasno myśleć. Ale on już zastawiał fresk ciężką, mahoniową szafą, odcinając jej drogę ucieczki.

- Będziesz musiała się ze mną przespać - powiedział, a jego namiętny głos pozbawił ją tchu.

- Nie! - jęknęła przerażona.

Odwrócił się i spojrzał na nią ze skruszoną miną.

- Nie denerwuj się, kochanie, nic ci nie zrobię - zapewnił i podszedł do drugich drzwi, by je również zabezpieczyć.

Krew tętniła w żyłach Jane. Czowała strach przemieszany z podnieceniem.

- A... ale... - wybąkała ze zdumieniem i obejrzała się, gdyż wyminął ją i wszedł do garderoby. Poszła za nim, obserwując, jak popycha coś, co niegdyś było elegancką kozetką, w stronę drzwi.

- Zarysujesz podłogę! - krzyknęła, rzucając mu się na pomoc. Kozetka była przeraźliwie ciężka i Jane nie mogła wyjść ze zdumienia, widząc, jak Raleigh bez najmniejszego wysiłku unosi jeden jej koniec. Ale przecież dotykała tych mięśni i wiedziała, jaka w nich tkwi siła. Siła i zarazem delikatność. Na myśl o tym znowu zadrżała.

Jakim cudem Raleigh zyskał nad nią taką władzę? Niestety znała odpowiedź. Jej mąż zaczarował ją czułymi słówkami i pieszczotami, od których kręciło się w głowie, słodkimi oczyma i lekkomyślnymi wyznaniem, które rozbudzały zmysły.

- Jane, zostaw to, zanim coś sobie zrobisz - powiedział, a w jego głosie dał się słyszeć śmiech.

Nigdy się na nią nie gniewał. Deverell... przemknęło jej przez myśl jego imię, eleganckie i kuszące. Miała ochotę je wyszeptać, jednak westchnęła tylko i wycofała się w zacisze łóżka, zbyt tchórzliwa, by spełnić swoje najskrytsze marzenia.

- No to dobranoc - mruknęła, wślizgując się pod kołdrę. Choć odwróciła się od niego, słyszała szelest zdejmowanych ubrań. Wyobraziła sobie gładki jedwab, powoli zsuwający się ze złocistej skóry męża. Stłumiwszy jęk, wcisnęła twarz w poduszkę, ale pościel pachniała Raleighhem, więc zamknęła oczy, oddychając ciężko, jakby się miała zaraz rozplakać.

Wyczerpana emocjami dnia, nie mogła zasnąć, poruszona wspomnieniem kałuży krwi i innymi odkryciami, wśród których niebagatelną rolę pełniło odkrycie kobiety w niej samej, kobiety, która chciała być całowana, która chciała wierzyć Raleighowi, gdy mówił, że jest czarująca. Deverell... Kiedy tak bardzo wypiękniała?

W miarę jak jej napięcie ustępowało, pojawiły się wspomnienia jej męża: z Craven Hall, z jego rodzinnego domu, wreszcie - z domu jej siostry. Raleigh tuż przed ślubem - przystojny mimo marnej formy - a jeszcze wcześniej jego ciepłe ciało w jej łóżku, jego szokująca obecność.

Potem obraz się zamglił i zobaczyła go z perspektywy dziecka, którym kiedyś była: eleganckiego, czarującego, w ubraniach z materiału

najlepszego gatunku, z jasnokasztanowymi, nienagannie ułożonymi włosami, gęstymi i lśniącymi - tak różnymi od jej matowych kosmyków. Doskonały w każdym calu, od kpiących niebieskich oczu po ruchliwe, zawsze uśmiechnięte usta, jaśniał i olśniewał jak słońce. I jak słońce - był niedosiężny.

Z westchnieniem otwarła oczy, zdumiona żywością wspomnień i bólem, który im towarzyszył. Czyż nie pogardzała zawsze Raleighem? Nigdy jej się przecież nie podobał. Tymczasem, wbrew jej woli, strumień wspomnień płynął przez nią, jakby wydarzenia dnia uruchomiły w niej lawinę głęboko zagrzebanych uczuć.

Miała czternaście lat, kiedy przystojny wicehrabia po raz pierwszy pojawił się w Casterleigh; w nagłym przebłysku uświadomiła sobie, że już wtedy podbił jej serce. Ponieważ nigdy nie dostrzegwał jej młodszej siostry Charlotte, uznała, że ona sama tym bardziej nie jest godna jego uczuć. Tak jak zazdrość o Charlotte paradoksalnie popchnęła ją do lekceważenia garderoby i manier, podobnie podziw dla Raleigha zmusił ją do tego, by nim pogardzała.

Nie, to nie całkiem było prawdą. Nigdy nie była do niczego zmuszana. Zawsze miała wybór i sama wybrała bierność zamiast działania. Pozwoliła, by cudze opinie o niej kształtowały jej osobowość, aż w końcu nie potrafiła już powiedzieć, kim jest prawdziwa Jane i czy w ogóle istnieje.

Istnieje. To był cichy głos dziewczyny w lustrze. Przestała być nieładną siostrzyczką Charlotte, przeistoczyła się w inną osobę, istotę pełną powabu, która wzbudziła zachwyty Raleigha. Mężczyzna, któremu oddała swoje serce, nie tylko zauważył ją, ale nawet twierdził, że jej pragnie.

Co miała z tym wszystkim począć?

Obudziło ją stukanie do drzwi. Usiadła na łóżku. Do pokoju wbiegł Antoine i na widok Jane w łożu Raleigha zamarł w osłupieniu, po czym natychmiast się wycofał. Jane odczekała parę minut i ruszyła za nim, przytomnie omijając kanapę, na której przeciągał się leniwie Raleigh.

Gdy weszła do własnej sypialni, natychmiast przystąpiła do porannej toalety, starając się nie nastąpić na zaścielające podłogę tłuczone szkło. Przez chwilę zawahała się nad wyborem sukni, bo nagle odechciało jej się brązów i szarości. Wreszcie wybrała prostą, lawendową sukienkę, jedną z tych, które przysłała jej hrabina. Starając się nie myśleć o tym, że może ją pobrudzić przy porządkach, omotała szyję apaszką i ruszyła do pokoju stołowego.

Jej wysiłki doczekały się nagrody, gdy wicehrabia zjawił się wreszcie, nieskazitelny w każdym calu, i stanął jak wryty, patrząc na nią. Jego dłoń błędziła po kamizelce, jakby szukał monokla, zaraz jednak zreflektował się i skłonił nisko.

- Milady, wyglądasz zachwycająco - powiedział, znów wprawiając jej nerwy w stan drżenia. Zacerwieniona po korzonki włosów, skinęła głową. Jeśli nawet nie była piękna - podziw Raleigha czynił ją taką.

Jedząc skromne śniadanie, czuła się wspaniale. W tym samym czasie jej mąż pochłonał jajka, wędzoną rybę, szynkę i grzanek z marmoladą. Jeszcze niedawno kręciłaby na to nosem, teraz jednak uświadomiła sobie, że fascynuje ją jego nieokiełznany apetyt. Serce stanęło jej w piersiach, gdy przyglądała się, jak szczupłymi dłońmi rozsmarowuje marmoladę na grzance, a potem unosi ją do ust.

Musiał zauważyć jej wzrok, bo uśmiechnął się.

- Chcesz skosztować, kochanie? - spytał szeptem. Odchyliła się gwałtownie do tyłu, kręcąc przecząco głową.

Śmiejąc się, włożył grzanekę z powrotem do ust. Jane wiedziała, że nie powinna zwracać na niego uwagi, jednak nie mogła oderwać od męża wzroku, a on również śledził ją spod przymrużonych powiek. Powoli, jakby chciał przeciągnąć tę chwilę w nieskończoność, ugryzł grzanekę, połknął, a kiedy oblizwał wargi, Jane nieomal poczuła dotyk jego języka. Drżąc, z trudem oderwała od niego spojrzenie. Raleigh zaśmiał się.

- Jeszcze rozbudzę w tobie zmysły - zapowiedział obiecująco, przyprawiając Jane o rumieniec. - Jedzenie to także uczta dla zmysłów, należy się nim delectować.

Próbowała pokręcić głową z dezaprobatą, ale jakaś jej cząstka nie mogła się z nim nie zgodzić. Dlaczego odmawiała sobie wszystkiego? Uwielbiała słodczyce - ale przecież zdecydowała się wyrzec deserów, jak również kolorowych sukien i wielu innych rzeczy. Zadrżała, ogarnięta nagłym pragnieniem tego wszystkiego, czego nie zaznała. Wszystkiego.

Zdumiona siłą swoich pragnień, poderwała się od stołu. Nigdy nie mogła myśleć jasno, kiedy Raleigh był przy niej, poza tym musiała wrócić do pracy. Kiedy jednak szykowała się do wyjścia, jej mąż zatrzymał ją rzuconą mimochodem uwagą:

- Nie uciekaj, Jane. Deszcz już od wczoraj nie pada, więc drogi powinny być przejezdne.

W jednej chwili zapomniała o swoich planach. Posłała mu strwożone spojrzenie.

- Nie chcesz powiedzieć, że wyjeżdżamy! - krzyknęła. Spojrzał na nią zdumiony.

- Nie możemy tu zostać po tym, co wydarzyło się ostatniej nocy.

Naturalnie, stłuczone okno to była poważna sprawa, nie był to jednak wystarczający powód, by porzucić Craven Hall.

- Chyba nie jesteś takim tchórzem, żeby uciekać z powodu jednego kamienia i głupiego liściku? - zapytała.

W oczach Raleigha mignął cień bólu i Jane poczuła wyrzuty sumienia. Czyż nie przyrzekała sobie, że będzie dla niego miłsza? Nie była gotowa opuścić Craven Hall ani nie zamierzała dawać satysfakcji jakiemuś łądakowi, który robił wszystko, by ich stąd wypłoszyć.

- Może cię to nie bardzo obchodzi, ale jestem twoim mężem i ślubowałem sobie cię chronić - powiedział cicho Raleigh. - Co by twój ojciec powiedział, gdyby ci się coś stało?

Zarumieniła się. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Raleigh czuje się za nią odpowiedzialny. Ale czyż ona również się o niego nie martwiła? Świadomość, że jej mąż dzieli z nią niektóre jej odczucia, wzruszyła ją, jednak mimo to bardzo chciała zostać w Craven Hall. Tylko tu czuła się naprawdę u siebie.

- Nie sądzę, by jeden kamień z listem był dobrym powodem do wyjazdu. Poza tym nie powinniśmy jechać, bo ten ktoś właśnie tego sobie życzy.

Raleigh westchnął.

- Wiem o tym, Jane, i wcale nie podoba mi się to bardziej niż tobie, ale nie chcę narazić cię na niebezpieczeństwo.

- Jak dotąd nic się nam nie stało - odparła.

- Wszystko byłoby dobrze, Jane, gdyby Craven Hall nie leżało na takim strasznym odludziu - westchnął, odkładając serwetę na bok.

Odwróciła się do niego niezdecydowanie.

- Peg powiedziała, że powinniśmy pojechać do wsi poszukać służby. Że zna ludzi, którzy byliby wdzięczni za taką pracę.

Raleigh znowu westchnął.

- Podejrzewam, że w dalej położonych wioskach łatwiej kogoś znajdziemy. Mógłbym już dzisiaj wysłać Antoine'a...

- Naprawdę? - ucieszyła się Jane. Raleigh kiwnął głową.

- Czułbym się lepiej, mając tu więcej osób. Do ochrony naturalnie, nie do obsługi - dorzucił pośpiesznie.

- Naturalnie - przytaknęła i uśmiechnęła się radośnie. Raleigh przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, zanim sam odważył się na uśmiech.

- Porozmawiam z Antoine'em, ale najpierw muszę rozejrzeć się wokół domu - powiedział i podniósł się z wdziękiem.

Choć miała wiele roboty, postanowiła mu towarzyszyć. Tłumaczyła sobie, że robi to, bo powinna pomóc Raleighowi w tropieniu śladów, ale jej serce znowu zaczęło łomotać, co należałoby przypisać nie tyle czekającemu ich zadaniu, ile bliskości męża.

Mimo że ciepła noc poprawiła sytuację, ziemia nadal była rozmokła i Jane zakasała spódnicę. Ciepłe, pastelowe kolory jej nowej sukni zachwyciły ją i uradowały, podobnie jak pełne uznania spojrzenia Raleigha. Po deszczu świat wokół lśnił od rosy i Jane czuła się, jakby oglądała wszystko - zwłaszcza męża - pierwszy raz w życiu. Lekki wiatr, który przeganiał chmury znad wrzosowisk, niósł w sobie obietnicę, która znajdowała oddźwięk w jej sercu.

Nie wypowiadała jednak na głos swoich nadziei, kiedy torowała sobie za mężem drogę przez zaniedbany ogród. Raleigh kilkakrotnie przyklękał, szukając śladów stóp, ale żadnych nie znalazł. Nie zawrócił jednak do domu, lecz szedł dalej, do miejsca, w którym znaleźli czaszkę.

W świetle dnia nie było widać niczego niepokojącego i Jane wzięła głęboki oddech, rozkoszując się świeżym powietrzem. Od zachodu połyskiwała tafla wody; pośród wysokich traw znajdował się stary,

zarośnięty rzesą staw.

- Ciekawe, czy są w nim jeszcze jakieś ryby? - zainteresowała się Jane.

Raleigh obrzucił staw sceptycznym spojrzeniem.

- Wątpię, czy nawet najbardziej odporne przeżyłyby w tym mule.

Ale Jane już szła brzegiem stawu, wyobrażając sobie wykładaną kamieniami ścieżkę, kwiaty, kamienną ławeczkę, może parę większych głazów, na których mogliby siedzieć, łowiąc z dziećmi ryby. Z dziećmi? Ta myśl zaskoczyła ją. Przecież bracia i siostry zostali daleko, w Sussex. Przeszył ją dreszcz, a potem pojawiła się dziwna myśl. Jednak zamiast ją odepchnąć, przystanąła, by się w nią wsłuchać.

Jej dzieci. Nigdy nie odważyła się pomyśleć o sobie jako o matce, ale teraz... Obrzuciła męża szybkim spojrzeniem, zastanawiając się, jak by zareagował, gdyby podjęła ten temat. Chociaż zawsze miała Raleigha za lekkomyślnego strojnisia, niezdolnego do ponoszenia jakiegokolwiek odpowiedzialności, teraz wyobraziła sobie, że mógłby być cudownym ojcem. Jej własny ojciec był kochający i dobry, jakkolwiek roztargniony; Raleigh łączyłby w sobie wszystkie te cechy i jeszcze coś: potrafiłby się z dziećmi bawić.

Z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak udaje z malcami Indian, własnoręcznie sporządza wędkę albo śpi z nimi pod gołym niebem - oczywiście dopóty, dopóki jego garderoba nie poniosłaby przy tym uszczerbku. Patrzyła na niego ze skupieniem, zastanawiając się, w jakim stopniu jego próżność będzie mu stawać na przeszkodzie. Pograżona w tych rozważaniach, nie pomyślała, że jej zapatrzenie może się wydać nieco dziwne. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy Raleigh spytał:

- A teraz co znów? Czyżbym ubłocił sobie bryczesy?

- Ależ skąd. Zawsze jesteś nieskazitelny - odparła nie bez kądziłości.
- Rozumiem, że właśnie dlatego patrzysz na mnie zawsze z takim obrzydzeniem - zauważył, unosząc brwi.

- Nic podobnego - obruszyła się.
- Hmm... Tak się tylko mówi. Prawdę mówiąc, chciałbym wiedzieć, kiedy postanowiłaś nie apróbować niczego, co mnie dotyczy. O ile sobie przypominam, nigdy mnie nie lubiłaś.

Aż do ostatniej nocy zgadzała się z jego opinią, jednak teraz, kiedy poruszył ten temat, przygryzła nerwowo wargi. Odwróciła wzrok, niepewna, czy jest gotowa do wyznań.

- Nie byłeś mi obojętny - powiedziała cicho, zrywając długie źdźbło trawy.

Raleigh roześmiał się.

- Zdumiewasz mnie. Zawsze krzywiłaś się na mój widok, jakby cię zęby bolały.

Jane zarumieniła się.

- Przyznaję, że moje zachowanie nie zawsze było stosowne, jednak miałam swoje powody.

- Jakie powody? - zapytał, przyglądając się jej z nie skrywanym rozbawieniem.

Jane zebrała się na odwagę, choć ogarnęła ją dziwna słabość i niepokój.

- Trudno to wyjaśnić, ale można powiedzieć, że byłam pod twoim wrażeniem.

- Pod wrażeniem? - W głosie Raleigha słyhać było niedowierzenie. Trudno go było za to winić. Tak długo traktowała go jak zadzumionego.

- Pod wrażeniem. Zafascynowana. Zauroczona. - Zamilkła na chwilę,

by nabrać powietrza. - Tak bardzo cię podziwiałam, że nie wiedziałam, jak się zachować, więc zachowywałam się w pożałowania godny sposób. Wybacz. - Jednak teraz, kiedy przeprosiła go za te wszystkie lata nieuprzejmości, zamiast ulgi czuła niepokój, jak Raleigh zareaguje na jej wyznanie. Kiedy cisza zaczęła się przeciągać, spojrzała na niego spod oka i zobaczyła, że na jego twarzy maluje się wyraz kompletnego zaskoczenia, jakby właśnie usłyszał od niej, że świnie potrafią latać, a ryby śpiewać. Kąciki jej warg drgnęły. Uśmiechnęła się, a on wpił się w nią wzrokiem. Zaskoczenie w jego oczach ustąpiło miejsca leniwemu namysłowi.

- Jeśli uważałaś, że warcząc na mnie, pozyskasz moje względy, to nic dziwnego, że tak nam opornie szło - powiedział łagodnie, ale coś w jego głosie podrażniło każdy nerw Jane. Uśmiechając się łobuzersko, ruszył w jej stronę. Kiedy był już o krok od niej, zatrzymał się nagle, rozglądając się demonstracyjnie na wszystkie strony.

- O co chodzi? - zdziwiła się Jane.

- Po prostu staram się dostrzec w porę kolejne nieszczęście, moja droga. Wygląda na to, że ilekroć zbliżam się do ciebie, wydarza się coś, co przeszkadza mi w zalotach, w dodatku tak się nieszczęśliwie składa, że zawsze w jakiś sposób zostaję ośmieszony - odparł, uśmiechając się krzywo.

- No tak... - szepnęła. Miał rację. Zdażył już zostać przysypany czasopismami, poplamiony brudną wodą ciekącą z sufitu, obsypany tłuczonym szkłem. Czy coś zniechęci go wreszcie do niej ostatecznie?

- Niebezpiecznie jest zbliżać się do ciebie, Jane. Albo po prostu robię się niezdarzy, albo nasz duch nie życzy sobie, żebym dotykał mojej żony - dodał, wymawiając słowo „dotykał” z takim naciskiem, że Jane zadrżała, jakby mówił o fakcie dokonanym.

Zarumieniona, miała szaleńczą chęć rzucić mu się w ramiona, jednak

znów dał o sobie znać jej dawny brak pewności. Choć uwierzyła w końcu mężowi, że jej pragnie, nie wiedziała, jak bardzo jej pragnie - i czy pragnie jej dostatecznie.

Nękana wątpliwościami, stała bez ruchu, ale Raleigh nie zamierzał się poddać. Przysunął się do niej. W jego spojrzeniu odczytywała oszłamiającą obietnicę.

- Prawdę mówiąc, obawiam się, że gdybym spróbował skorzystać z moich praw małżeńskich, natychmiast padłbym rażony piorunem, a wraz ze mną mój instrument...

Próbowała prychnięciem zbyć jego nieprzystojne słowa, ale był zbyt blisko, a jego uwaga o skorzystaniu z praw małżeńskich wzburzyła jej myśli i ciało. Raleigh wyciągnął ręce i wziął ją w objęcia. Tym razem nie miał rękawiczek i dotyk jego ciepłych dłoni przyprawił Jane o zawrót głowy.

- Kochanie - szepnął, przyciągając ją do siebie.

Uniosła twarz w oczekiwaniu na pocałunek. Próbował jej warg na różne sposoby, upajając się ich smakiem i dotykiem. Delikatnie starał się ją rozbudzić, ale ona była spragniona mocniejszych doznań. Objęła go rękami za szyję i rozchyliła wyczekująco wargi. Zamruczał coś i jego język znalazł się w jej ustach, wyczyniając tam harce, od których Jane zabrakło tchu.

Przycisnąwszy się mocniej do Raleigha, wplotła palce w jego włosy, rozkoszując się ich gładkością i gęstością. Dotyk jego włosów nie tylko ją podniecał; przyjemność sprawiała jej też szansa zburzenia jego doskonałej fryzury. Musiała jakoś wyrzucić na nim swoje piętno, by znowu nie wyszedł z tego spotkania nieskazitelny. Sama czuła, jak pod wpływem bliskości jego ciała, gorących pieścizot, znikają jej ostatnie opory.

Kiedy oderwał usta od jej warg, ze zdumieniem usłyszała własny okrzyk protestu, ale Raleigh całował już jej podbródek, a potem szyję.

- Masz śliczne uszy - wyszeptał. A gdy udowadniając swój podziw, wsunął do środka język, zadrżała z nieoczekiwanej rozkoszy.

Jakby chcąc powstrzymać żonę przed upadkiem, objął ją w tali. Druga dłoń zsuwała się z ramienia ku jej piersiom. Zanim Jane zorientowała się, co robi, jego palce odchyłały już suknię. Modna sukienka była wycięta o wiele głębiej niż którakolwiek z jej własnych sukien i wkrótce z zaskoczeniem poczuła powiew powietrza na nagiej skórze.

Ale Raleigh rozgrzewał ją ciepłem własnego dotyku i Jane wstrzymała oddech, zdumiona własnymi odczuciami, o ileż bardziej intensywnymi od wczorajszych, wywołanych pieszczotami w słabo oświetlonym pokoju. Choć byli skryci pośród drzew i wysokich traw, słońce świeciło jasno, odkrywając przed Jane jej własne ciało. Zabrakło jej tchu, gdy patrzyła na ciemne palce Raleigha na swojej bladej skórze. Był to szokujący, egzotyczny i ekscytujący widok. Wstrzymała oddech i przez zmrużone rzęsy patrzyła, jak jego włosy muskają jej dekolt.

Rozsunął jeszcze bardziej jej suknię i zanurkował pod materiał, przyciskając wargi do jej delikatnej skóry. Uśmiechnął się przekornie i, nachyliwszy się nad jej piersią, wziął sutek w rozpalone usta.

- Ach! - wydała z siebie zduszony okrzyk. Zalała ją rozkosz, promieniując na całe ciało, a potem ogniskując się pomiędzy nogami. Jane, która przez całe życie była nieświadoma zmysłowych doznań, nagle zaczęła wszystko chciwie chłonać - ciepły powiew, który targał kędziory Raleigha, nadpływające znad wrzosowisk zapachy polnych kwiatów i podniecające odgłosy, jakie wydawał jej mąż, całując jej pierś. Gorący uścisk jego warg i dotyk języka sprawił, że Jane zakreśliło się w głowie, widziała jego głowę wtuloną między jej piersi, i czuła usta, kosztujące jej ciało.

Było tego zbyt wiele naraz, a jednak nie dosyć. Chciała go gładzić,

zedrzeć z niego to eleganckie ubranie i całować go tak samo namiętnie jak on ją. Chciała posmakować go jak on ją.

Zaszlochała pod naporem tych szalonych myśli, a potem krzyknęła z rozkoszy przemieszanej z udręką, kiedy całował jej drugą pierś

- Raleigh! Deverell, ach, proszę cię! - błagała nie wiedząc o co, znów zarzucając mu ręce na szyję. Wspinając się na palce, zsunęła dłonie na jego pośladki, próbując jeszcze mocniej się do niego przytulić.

Odpowiedział jękiem na jej błagania i uniósł ją w górę, a potem zrobił krok w tył i zachwiał się, uświadamiając Jane, gdzie się znajdują. Nie byli w jednej z sypialń w Craven Hall, lecz na zewnątrz, niebezpiecznie blisko rozmiękłego po deszczu brzegu stawu.

Niestety otrzeźwienie przyszło zbyt późno, bo nawet zręczność wicehrabiego zdała się na nic, kiedy błotnisty brzeg zaczął obsuwać się do wody. Zakławszy pod nosem, Raleigh postawił żonę na ziemi i zaczął szukać czegoś, czego mógłby się złapać, ale Jane nagle straciła równowagę. Odruchowo złapała się Raleigha. Upadli i oboje zsunęli się do stawu.

Jane usłyszała plusk, a potem zalała ją brudna woda. Parskając, stanęła na nogi, ale jej mąż nadal leżał na plecach w przybrzeżnym mulu. Wyciągnęła rękę, by mu pomóc. Wstał. Jego elegancki strój był pokryty błotem i wodorostami.

- Raleigh, twój płaszcz! - wykrzyknęła ze zgrozą. Jednak on potrząsnął tylko głową, rozpylając w powietrzu kropelki wody.

- Do diabła z płaszczem! - mruknął, po czym wyciągnął do niej rękę i przytulił ją do siebie, natychmiast odnajdując jej usta.

- M... moja suknia! - wyjąkała, odsuwając usta od jego warg.

- Kupię ci nową, kochanie - wymamrotał, pociągając ją za sobą na trawę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wiedząc, że doprowadzenie męża do jego dawnej elegancji zajmie Antoine'owi nieco czasu, Jane założyła jedną ze swoich starych sukien i czepek i wzięła się do roboty. Pamiętając o tajemniczych plamach krwi w kolekcji posągów, trzymała się bliżej apartamentów rodzinnych, omijając bibliotekę. Inną kobietę z pewnością zniechęciłyby sterty porzucanych książek, ale Jane zakasała tylko rękawy, gotowa podjąć nowe wyzwanie.

Do czasu gdy Raleigh znalazł ją, zdążyła już zedrzeć stare draperie. Siedziała na podłodze, nie bacząc na brud, zatopiona w lekturze starej księgi rachunkowej, którą znalazła pod fotelem.

- Jane, kochanie, wolałbym, żebyś nie włóczyła się sama po domu - rzucił od progu Raleigh. Jego próba skarcenia jej rozbawiła ją mile, jednak była zbyt podniecona swoim znaleziskiem, by poświęcić temu uczuciu więcej uwagi.

Podniosła wzrok na męża. Był znów nieskazitelny. Z trudem oderwała od niego wzrok.

- Czy wiesz, że twój wuj miał nieślubną córkę, której nigdy nie uznał?

- Co ty mówisz? - zdumiał się Raleigh. Jane podziwiała przez chwilę grację, z jaką lawirował po zagraconej podłodze. Z pewnością nie był niezdarą. Czując, że rumieniec wypełza jej na policzki, spróbowała skupić się na świeżo odkrytej rewelacji.

- Czy wiedziałeś, że Cornelius miał córkę? - spytała ponownie.

- Na Boga, nie - odparł, wyraźnie zaszokowany. - Zawsze sądziliśmy, że ten stary dziwak jest wrogiem kobiet. Nie mogę sobie nawet wyobrazić,

jak mógłby zbliżyć się do kobiety na tyle blisko, by mieć...

Osadziła go karcącym spojrzeniem.

- Wszystko znajdziesz tutaj - powiedziała, podsuwając mu księgę rachunkową. - Jej matka była posługaczką w Craven Hall. Twój wuj nie dość, że zrujnował jej życie, ale jeszcze wyrzucił ją z minimalną odprawą i kazał jej podpisać oświadczenie, że zrzeka się wszelkich praw do dodatkowych pieniędzy.

Strzepnąwszy kurz z niskiego stołeczka, Raleigh usiadł przy Jane.

- Stary świntuch - oświadczył. - Musiał dostać szału, kiedy urodziła mu się córka.

Jane przytaknęła. Obok rachunków w księdze znajdowała się sążnista lista rzekomych przewinień posługaczki.

- Niewyraźne, rozchwiane pismo pozwala sądzić, że był już chory. Zanotował, że po odprawieniu posługaczki zwolnił cały żeński personel, zatrzymując tylko kilku służących.

Raleigh wzdrygnął się.

- Z pewnością właśnie wtedy wszystko zaczęło się tu sypać i walić - stwierdził. - Ale jak wytłumaczyć obecność pani Grobowiec? - zapytał z dwuznacznym uśmiechem. - Chcesz mi powiedzieć, że stary drań zmienił gusta na starość?

Jane przygryzła wargę. Nie zamierzała podtrzymywać krotocwilnego nastroju męża.

- Deverell! To poważna sprawa! - ofuknęła go.

- Czy mogłabyś to powtórzyć? Spojrzała mu gniewnie w oczy.

- To poważna sprawa. Ja...

- Jane, Jane... - mruknął z naganą. - Mówiłem ci już, że nie ma poważnych spraw. Prosiłem tylko, żebyś powtórzyła moje imię.

Zarumieniła się.

- Deverell... - Jego imię zawisło w ciszy zamkniętego pokoju i Jane wzięła głęboki oddech, by rozproszyć nastrój narastającej intymności. Nie zamierzała flirtować z mężem przez cały dzień, kiedy miała tyle do zrobienia i przemyślenia. - Nie rozumiesz, co to znaczy?

- Że wuj Cornelius był jeszcze gorszy, niż sądziłaś? - spytał, unosząc brew.

- Nie. To znaczy oczywiście, że tak, ale oprócz tego, znaczy też, że gdzieś żyje jego córka, którą wydziedziczył.

- Zmarszczyła brwi, gdy mąż obdarzył ją niedowierzającym spojrzeniem, a potem wybuchnął śmiechem. Choć brzmienie jego śmiechu sprawiło jej przyjemność, nie wiedziała, co go tak śmieszy.

Raleigh rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał objąć otaczający ich rozgardiasz, spłowiałe draperie opadające ze ścian, brud i kurz, książki, papiery i różne przedmioty, piętrzące się tak wysoko, że przejście przez pokój graniczyło z niemożliwością.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że zamierzasz podzielić się z nią tym bogactwem?

- Uważam, że powinniśmy przynajmniej spróbować ją znaleźć.
Biedna kobieta, z pewnością coś jej się należy.

Raleigh podniósł się, kręcąc głową i uśmiechając się do żony. W jego oczach zamigotał ciepły, pełen miłości ogień.

- Ta biedna kobieta, kimkolwiek jest, prawdopodobnie nie ma pojęcia, co ją czeka - mruknął.

- Co masz na myśli? - spytała Jane, niepewna, czy nie powinna się obrazić.

- Myślę, że wuj Cornelius spotkałby wreszcie godną siebie

przeciwniczkę.

Antoine pojawił się późno, o zmierzchu, z tuzinem nowych służących. Jane była tak uszczęśliwiona, że zarzuciła małemu Francuzowi ręce na szyję i ścisnęła go. Cofnął się i Zakrzuszył ze zdumienia, a ona zaśmiała się głośno, co tylko pogłębiło osłupienie kamerdynera.

Zarumieniona i uśmiechnięta, obserwowała, jak Antoine, ruszając wąsikami, komenderuje nowymi pomocnikami, usiłując nieokrzesanych wieśniaków zamienić w zręcznych służących. Cieniem na jej szczęściu kładła się jedynie pani Graves, która nową służbę przyjęła z tak ponurą dezaprobatą, że Jane zaczęła zastanawiać się, czy aby Raleigh nie miał racji i czy to właśnie nie ona stała za wszystkimi niepokojami w Craven Hall. Ale jakoś nie bardzo mogła sobie wyobrazić stateczną, niemłodą już niewiastę, jak biega po nocy wokół domu i rzuca kamieniami w okno.

Odsunęła od siebie te ponure myśli. Przez całą kolację dopisywał jej humor. Dała się nawet namówić Raleighowi na łyżeczek czy dwa wina, więc była śmielsza niż zwykle. Gdy jej mąż wyszedł konferować z Antoine'em, stanęła w oknie jadalni, napawając się widokiem zmierzchu zapadającego nad wrzosowiskami.

- Milady...?

Jane drgnęła, zaskoczona. Teraz, kiedy mieli nową służbę, będzie musiała przyzwyczać się, że jej dom nie należy wyłącznie do garstki wybrańców. Jej dom. Nie, nie wolno jej jeszcze tak myśleć. Wciąż przecież nie wiedziała, co przyszłość ma dla niej w zanadrzu.

Odwróciła się i znalazła twarzą w twarz z niskim, przysadzistym mężczyzną, ubranym niezbyt wykwintnie. Zupełnie nie wyglądał na lokaja, ale Jane zdawała sobie sprawę, że musi być wdzięczna za to, że ktokolwiek

chce służyć w tej ponurej rezydencji. Skinęła głową.

- Pański mąż życzy sobie spotkać panią w oranżerii. Tędy, proszę.

Raleigh w oranżerii? Ucieszyła się. Może wreszcie zaczął interesować się Craven Hall - i roślinami również! Ruszyła pośpiesznie za mężczyzną. Na dworze zapadał już zmierzch i wewnątrz domu spowijał mrok. Jane z trudem orientowała się, którądy służący ją prowadzi. Nie porządkowała tego skrzydła i wiszące jeszcze na oknach ciężkie zasłony odbierały resztkę światła. Żałowała, że nie wzięła lampy, ale już było za późno.

Kiedy dotarła do oranżerii, zobaczyła, że drzwi stały otworem. Gasnące światło odbijało się w licznych oknach przybudówki. Jane weszła do środka. Nie widziała ani Raleigha, ani sługi, który ją tu doprowadził. Owionęła ją woń stęchlizny i rozkładu. Zwiędłe, uschnięte rośliny sterczały w ciemnościach niczym strażnicy mroku. Zawahała się, nagle tracąc pewność siebie.

- Halo! - zawołała. Jej głos zabrzmiał dziwnie cienko w otaczającej ją ciszy. Chociaż kochała Craven Hall, poczuła się nagle bardzo osamotniona. Nie mogła też nie pamiętać o niedawnych wydarzeniach. Wszędzie widziała wysokie kształty pokryte pokrowcami, które z łatwością mogły skrywać kogoś - lub coś - pamiętała aż za dobrze kałużę krwi w galerii Corneliusa. Nagle, gdzieś pomiędzy donic z roślinami, dobiegł ją dziwny szelest. Drgnęła nerwowo.

Nonsens, pomyślała. Nigdy nie była tchórzliwa. Ganiąc się za niemądre zachowanie, ruszyła przed siebie.

- Raleigh?! - zawołała. Jeśli to był jakiś jego żart, zamierzała ostro go zbesztać. - Raleigh?

Odpowiedziało jej milczenie, a potem usłyszała za sobą odgłos kroków. Chciała coś powiedzieć, ale wielka, szorstka dłoń zamknęła jej usta.

Wydała zdławiony okrzyk, wpijając się paznokciami w potężne ramię, kiedy zatykano jej usta szmatą. Materiał był suchy i sztywny i musiała oddychać przez nos, żeby nie zwymiotować. Kiedy napastnik poderwał ją do góry, jakby miał ponieść ją gdzieś, zaczęła walczyć, kopiąc i młóćąc rękami. Mężczyzna zaklął cicho.

- Uspokój się, ty! - wycharczał. Jane zorientowała się, że jest ich dwóch. Obaj nosili czarne szaty, obaj byli Zakapturzeni. Widok ich mnisich strojów wprowadził ją w drzenie. Chciała krzyknąć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Z łatwością podźwignęli ją do góry.

Wynieśli ją z oranżerii na wieczorne powietrze. Daremnie usiłowała przypomnieć sobie fragment z jakiejś książki, dotyczący złowrogich mnichów - klasztory i opactwa były przecież ulubioną scenerią powieści grozy. Niestety Raleigh znał je o wiele lepiej niż ona.

Na myśl o mężu jęknęła z rozpacz. Teraz żałowała, że lekceważyła jego prośby, by była ostrożna. To, co uważała za nieszkodliwe żarty, które ich miały nastraszyć, zamieniło się w śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie miała pojęcia, dokąd zabierają ją Zakapturzeni mężczyźni. Kiedy Raleigh odkryje jej nieobecność, skąd będzie wiedział, gdzie jej szukać?

Otworzyła szeroko oczy. Ogarnęła ją determinacja. Choć słońce prawie już zaszło, zrobi, co tylko będzie mogła, by pozostawić jakiś ślad. Zacznie natychmiast. Zaczęła się szamotać, potrząsając gwałtownie głową i zrzucając przy okazji czepek, który zaczął się zsuwać już wcześniej, kiedy walczyła z pierwszym porywaczem.

Mężczyźni wzmocnili uchwyt, ale nie zauważyli zguby. W milczeniu weszli do zagajnika wysmukłych jesionów za domem, którego Jane nie zdążyła jeszcze obejrzeć. Mrużąc oczy, dostrzegła w półmroku małą kapliczkę. Przeraziła ją myśl, że mogą ją tu poddać jakiejś upiornej

ceremonii.

Kult szatana. Czarna magia. Klub ognia piekielnego, znany w ubiegłym stuleciu z rozpusty i innych okropności. Co by powiedział jej ojciec, pastor, na wiadomość, że jego córka uwikłana jest w tego rodzaju herezje? Ta myśl doprowadziła ją do szaleństwa. Szarpnęła się, wymierzając jednemu z porywaczy kopniaka w brzuch. W szamotaninie, która się wywiązała, zgubiła pantofel.

Kopnięty mężczyzna zaklął głośno, narażając się na reprimendę swojego towarzysza. Widocznie nie wolno im się było odzywać, jednak porywacz trzymający Jane za nogi najwyraźniej był u kresu wytrzymałości. Jej triumf trwał krótko. Ostre szarpnięcie za włosy sprawiło, że łyzy nabiegły jej do oczu.

Przeszli obok rozpadającej się kaplicy, ale strach Jane przerodził się w prawdziwą trwogę, kiedy weszli na cmentarz. Wychowała się na plebanii i przywykła do pogrzebów, opiekowała się nawet kwiatami na przykościelnym cmentarzu. Jednak dobrze utrzymane, ozdobione kwiatami groby w Sussex w niczym nie przypominały ponurego, tonącego w ciemnościach miejsca, porośniętego chwastami i drzewami o karłowatych konarach, w którym się znalazła.

Porwanie przez dwóch zakapturzonych mężczyzn przebranych za mnichów to była scena z koszmarnego snu, a nie ze spokojnego życia Pospolitej Jane. To wszystko nie mogło być prawdą. Poczucie nierealności towarzyszyło jej, kiedy zbliżali się do mrocznego wejścia do krypty, jednak gdy przeszli przez mroczną bramę i spowiły ich ciemności, oblał ją zimny pot. A jeśli włożą ją do trumny... Zadrżała z przerażenia. Nawet w jej czasach słyszało się niekiedy o ludziach pogrzebanych żywcem.

Poczuła krótką ulgę, kiedy zaczęto układać ją na zimnym katafalku, a

nie w drewnianej trumnie, ale zaraz opadły ją nowe lęki. Czy zostanie zamordowana w jakimś pogańskim rytuale? Bardzo się bała, czuła jednak, że musi zachować przytomność umysłu. Musi wykorzystać każdą szansę ucieczki, która się trafi. Okazja może się nie powtórzyć.

Jakby na przekór jej nadziejom mężczyzna, który trzymał ją pod pachy, upuścił ją na twarde podłoże tak gwałtownie, że aż zaszumiało jej w uszach. Ale kiedy zaczął się wokół niej kręcić w ciemnościach - dostrzegła swoją szansę. Wgryzła się w szmatę w ustach i wydała z siebie przeraźliwy krzyk, uwalniając cały nagromadzony w sobie lęk i furję. Jej krzyk odbijał się od ścian krypty przeciągłym, mrozącym krew w żyłach skowytym, dopóki nie przerwał go paroksyzm nudności tak gwałtownych, że Jane zaczęła się dławić.

Mężczyzna przy jej nogach ponownie zaklął i ponownie jego towarzysz uciszył go, a potem z gniewnym sapnięciem wyciągnął coś spod swojej mniszej szaty. Kiedy Jane zobaczyła, że owijają ją w biały materiał, wyglądający jak starożytny całun, krew uderzyła jej do głowy.

Szansa już przeminęła, a ona nic nie osiągnęła, bo jej krzyk słychać było najwyżej w krypcie. Zresztą nawet jeśli wydostał się na zewnątrz, na tonące w półmroku pustkowia, cóż mogło jej to dać?

Ogarnęła ją rozpacz, kiedy uświadomiła sobie, że w Craven Hall nikt jej nie usłyszy, nawet mężczyzna, który być może najbardziej chciałby uciszyć ten krzyk. Nagle poczuła, że niczego na świecie nie pragnie tak bardzo, jak znów zobaczyć Raleigha, z jego beztroskim wdziękiem, łobuzerskim uśmiechem i przekornym błyskiem w oku.

Z jękiem opuściła głowę na kamień i przeklinając czas, który zmarnowała, pogardzając swoim mężem, zaszlochała gorzko.

Raleigh kazał służącym zatrzymać się, czuł jednak, że coś go zmusza

do pośpiechu. Wraz z Antoine'em wybrali dwóch największych, najodważniej wyglądających mężczyzn do patrolowania posiadłości w nocy. Nie chcąc niepokoić Jane, wywołał ich na dwór, by im udzielić instrukcji. Jednak bardzo nie lubił zostawiać żony samej, nawet pod opieką nowych służących.

Nigdy jeszcze nie był tak spięty i czujny. Gdzież podział się jego spokój, który kiedyś uważał za jedyny naturalny stan swego ducha? Ale za nic nie oddałby tego dreszczyku emocji, tego dziwnego, nie znanego mu dotąd podniecenia, kającego mu się ślizgać w błocie z głową wypełnioną wyłącznie myślami o kobiecie, którą wkrótce weźmie w objęcia.

Jej wspomnienie wciąż go podniecało. Odwrócił się do służących. Właśnie otwierał usta, by wydać im polecenia, gdy nagle powietrze przeszył mrozący krew w żyłach krzyk. Serce skoczyło mu do gardła. Rozpoznał ten głos. Znał go dobrze.

- Czy to są odgłosy, o których pan wspominał, milordzie? - spytał jeden z mężczyzn.

- Nie! To moja żona! - odparł zdenerwowany Raleigh. Krew szaleńczo tętniła mu w żyłach, kiedy ruszył w stronę, z której dobiegł krzyk. Nowi lokaje biegli za nim, unosząc wysoko latarnie. Na końcu ogrodu Raleigh zatrzymał się, nasłuchując, jednak wszystko ucichło i ta nagła cisza nappełniła go jeszcze większą trwogą.

Gdyby coś się stało Jane... Kiedyś uważał ją za skwaszoną świętoszkę, zdążył już jednak zmienić zdanie. Wbrew pozorom, była czarującą, pełną życia i ciepła kobietą. Przypominała ciasto owocowe - twarda i szorstka na zewnątrz, a w środku słodka i miękka, z tyloma warstwami o różnych smakach, że mógłby się nimi delectować przez całe życie.

Nareszcie zrozumiał, że Jane jest mu droga jak nikt inny. Nie dość, że

coraz bardziej jej pożądał, dotykała w nim strun, których dotąd nie poruszyła żadna kobieta - w ciele, w umyśle, w sercu. Czy to była miłość?

- Ten krzyk chyba dobiegał z wrzosowisk - powiedział jeden z mężczyzn, wytrącając go z rozmyślań. Raleigh spojrział w stronę ciemnych wzgórz i jęknął. Wiedział, że mogą błąkać się godzinami po pustkowiach i nic nie znaleźć.

- Wydaje mi się, że raczej od strony drzew - mruknął drugi służący.

Nie tracąc cennych sekund, Raleigh wyrwał mu z ręki latarnię i rzucił się w stronę zagajnika. Ledwie zrobił parę kroków w szeleszczących gałęziach, zauważył coś białego.

- A to co? - Nachylił się i nagle poczuł bolesny ucisk w żołądku. W skrawku muślinu rozpoznał czepek Jane. Tyle razy ją przekonywał, że nic nie jest dla niego ważne ani poważne. Mylił się. Ona była ważna.

Rzucił się biegiem przed siebie z mocnym postanowieniem, że jeśli cokolwiek stało się jego żonie, winowajca zapłaci za to. Życiem.

Zaczęli owijać ją w pasie. Jane zastanawiała się, czy owiną jej pierś tak ciasno, że straci oddech. Już teraz trudno jej było oddychać. Zrobiło się całkiem ciemno, więc kiedy zobaczyła błysk światła, sądziła, że ma urojenia albo może nawet wizje przedśmiertne. Kiedy usłyszała głos Raleigha, nabrała pewności, że opuściła ten świat.

- Rozkazuję natychmiast uwolnić moją żonę!

Jane omal nie roześmiała się, słysząc te słowa, ale zaraz poczuła brutalne szarpnięcie i uniósłszy głowę, zobaczyła Raleigha we własnej osobie, stojącego w wejściu do krypty. Jej nerwy, dostatecznie wystawione na próbę, zawiodły ją wreszcie. Nie wiedziała, czy ma krzyczeć, czy płakać na widok nonszalanckiej postawy męża.

Nie tyle zobaczyła, ile poczuła, że mężczyzna dotychczas stojący przy jej głowie cofa się powoli.

- Craven Hall żąda zapłaty - oświadczył posepnie. Przypomniało to Jane mroczne przepowiednie pani Graves i nagle zapomniała o swoim strachu, gdyż zaczęła się bać o Raleigha. Obaj porywacze, choć nie podejrzewała ich o żadne nadludzkie zdolności, byli jednak dużymi, silnymi mężczyznami. Jak jej mąż miał im stawić czoło?

- Umff... - wymamrotała przez szmatę w ustach, ale Raleigh nawet nie spojrzał w jej stronę.

- Proszę w tej chwili rozwiązać moją żonę - zażądał stanowczym tonem.

- Co takiego? - zakpił mężczyzna, stojący w nogach Jane. Gdy partner usiłował go uciszyć, powiedział ze śmiechem: - Nie sądzisz chyba, że ten londyński fircyk zechce zabrudzić sobie rączki, schodząc do nas, prawda? - Powoli ruszył w stronę wspartego o mur Raleigha i stanął przed nim, przyjmując groźną postawę. Jane, głośno dysząc, usiłowała wyzwolić się z krępujących ją więzów. - Jestem fircykiem, mówisz? - Raleigh wyprostował się. - Obawiam się, że dzisiaj zrobię wyjątek...

Jane patrzyła z niedowierzaniem na swojego męża, który zrobił dwa kroki do tyłu i nagle rzucił się wprost na przeciwnika. Jego pięść z przerażającym chrzęstem zetknęła się ze szczęką zbira, zdzierając mu kaptur z głowy. Druga pięść z impetem uderzyła porywacza w żołądek. Mężczyzna zatoczył się i runął na ziemię.

- Muszę przyznać, że lekcje boks u Wycliffe'a na coś się przydały - mruknął Raleigh.

Towarzysz powalonego zbira natychmiast wkroczył do akcji i zaatakował, ale przeleciał obok wicehrabiego, który zrobił zgrabny unik, a

następnie kopnął napastnika w siedzenie z taką siłą, iż ten z rozpędu uderzył głową w przeciwległy mur i z łoskotem runął na ziemię, dołączając do swojego kolegi.

- To nie było całkiem w zgodzie z kodeksem honorowym, ale sądę, że oni też, gdybym tylko dał im szansę, nie walczyliby fair - powiedział Raleigh, błyskając łobuzerskim uśmiechem. Jane miała ochotę rozplakać się z radości. Nie spodziewała się go więcej oglądać.

Nagle uśmiech zgasł na twarzy wicehrabiego.

- Nic ci nie jest, moja najdroższa? - wyszeptał, śpiesząc do niej. Pokręciła niepewnie głową. Wyjął knebel z jej ust, rozwinął krępujące ją bandażę i pomógł usiąść, a potem delikatnie założył jej z powrotem pantofel. Wyprostował się przysunął do Jane, ujmując jej twarz w dłonie. Nawet w ciemnościach czuła powagę jego spojrzenia, powagę, której nigdy by się po nim nie spodziewała. Z trudem powstrzymywała łzy.

Zamierzał chyba coś powiedzieć, ale pierwszy zbir zaczął się ruszać i Raleigh odwrócił się do niego.

- Chciałbym wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć - wycedził, wspierając się niedbale o kamienny katafalk.

- Nie chcieliśmy jej zrobić nic złego, milordzie - odparł mężczyzna. Uniósł dłoń, by pomasować szczękę, i Jane dostrzegła krew ciekącą po jego podbródku, krew, którą upuścił mu jej mąż. Potrząsnęła głową, zaszokowana tym faktem. - Chcieliśmy was nastraszyć i tyle. Mieliśmy ją zawinąć i zostawić. Nigdy byśmy jej nie zrobili krzywdy, daję słowo.

Jane była odmiennego zdania, na co miała dowody w postaci zadrapań i stłuczeń, jednak się nie odzywała. Była zadowolona, że żyje.

- Czemu? Czemu nie chcecie, żeby ktokolwiek mieszkał w Craven Hall?

Osilek rzucił niepewne spojrzenie na swojego towarzysza, ale ten nie dawał znaków życia.

- Używamy tego miejsca - wymamrotał.
- Uzywacie? A to jak? - kontynuował indagację Raleigh.
- No... Składujemy tu różne rzeczy - odparł zbir z kwaśną miną.
- Kradziony łup! - wykrztusiła Jane, z trudem dobywając głosu z wyschniętego gardła. Ogarnęła ją rozpacz na myśl, że wszystkie piękne przedmioty w Craven Hall wcale nie należą do Raleigha.

- Nie, milady! Przysięgam, że to nie są kradzione rzeczy! - zawołał mężczyzna, wyraźnie przerażony jej oskarżeniem. - Wszystkie kupione i opłacone, większość z za granicy, a część z drugiej strony kanału, rozumie pan.

- Myślałam, że przemysł skończył się wraz z wojną - powiedziała Jane.
- Szmugiel będzie istniał, dopóki istnieją cła i opłaty przewozowe - zauważył Raleigh i zwrócił się do mężczyzny: - Gdzie składujecie swój towar?

Rzuciwszy kolejne niepewne spojrzenie na kompana, zbir zmełł w ustach jakieś przekleństwo.

- W piwnicy, za kominkiem.
- Fałszywym kominkiem, domyślam się?
- Zgadza się, milordzie.
- Hmm... - mruknął Raleigh, a Jane poczuła, że jego głos przepływa przez nią jak życiodajny eliksir. Nagle wszystkie koszmary wieczoru zbladły, ustępując miejsca nieprzepartej potrzebie, by cieszyć się życiem i wszystkim, czego sobie dotąd odmawiała: szampanem, słodyczami, eleganckimi strojami, wszystkim, co wiązało się z jej mężem. A zwłaszcza nim samym...

- I to już trwa od pewnego czasu, tak? - spytał Raleigh porywacza.
- No... już jakieś parę ładnych lat - wymamrotał osiłek.
- W dodatku pewnie wszyscy o tym wiedzieli - domyślił się wicehrabia. - To dlatego miejscowi próbowali zniechęcić nas do zamieszkania w Craven Hall. Proceder jest dochodowy, cała wioska na nim zarabia.

- Nie chcecie chyba powiedzieć, że pan Holroyd popierał tego rodzaju działalność! - oburzyła się Jane. Wuj Raleigha może nie był aniołem, ale nie mogła sobie wyobrazić, żeby tolerował szmugiel.

- Chwileczkę! Zapłaciliśmy sowicie za prawo użytkowania tego miejsca! - zaprotestował mężczyzna. Nagle zawahał się, jakby wymknęło mu się coś niezamierzonego.

- Znaczy się, zapłaciliśmy sowicie za towar - dodał pośpiesznie.

Było już jednak za późno, nie mógł cofnąć swoich słów.

- Hmm... - mruknął Raleigh i oderwał się od katafalku, o który dotąd wspierał się niedbale. - Potrafisz czytać? - spytał nagle.

- Nie, milordzie - odparł zdumiony zbir.

Raleigh prowadził śledztwo z prawdziwym zapałem. Jane nie mogła wyjść z podziwu.

- A więc to ona wymyślała te sztuczki rodem z powieści grozy: świecąca czaszkę, krew, mnisie szaty - powiedział, machnąwszy pogardliwie ręką. - Naturalnie po tym, jak ukradła moją książkę - dodał z pewną irytacją.

Jane nie do końca nadążała za tokiem rozumowania męża, była jednak zbyt zaszokowana jego świeżo odkrytymi umiejętnościami, by jasno myśleć. Wstrzymując oddech, patrzyła, jak Raleigh przechadza się na oczach osłupiałego wieśniaka. Nagle odwrócił się błyskawicznie.

- Prawdę mówiąc, mogła być mózgiem całej operacji! - oświadczył.

- Nic podobnego - zaprotestował zbir. - Może nam trochę doradzała, jak się was pozbyć, ale obaj z Alfem od dawna zajmujemy się handlem... - Słowa zamarły mu na ustach, gdy uświadomił sobie, jak wiele wygadał. - Nic już więcej nie powiem - rzekł kwaśno i zdecydowanie wysunął szczękę do przodu.

Raleigh westchnął i wzruszył ramionami.

- No to obawiam się, że wezmą cię do ratusza.

- C... co? - wymamrotał mężczyzna, próbując usiąść.

- Zwykle nie dociekam pochodzenia mojego szampana, ale dotknąłeś mojej żony, a tego nie przepuszczę nikomu. Powiedz swoim wspólnikom, kiedy odwiedzą cię w więzieniu, że towar przepadł. Nic mnie nie obchodzi, że cała wieś bierze w tym udział... a tak to wygląda, sądząc z zachowania jej mieszkańców. Craven Hall należy teraz do mnie i nie zniosę, żeby mi się ktoś plątał po domu. A jeśli ktoś jeszcze tknie moją żonę, przypłaci to życiem. Przysięgam.

Zanim Jane zdążyła domyślić się, co ma zamiar zrobić, wymierzył pięścią cios w twarz mężczyzny. Przemytnik z łoskotem runął na kamienną podłogę.

- Chyba muszę podziękować Wycliffe'owi za to, że ciągał mnie na te diabelne lekcje boksu - rzekł Raleigh, z zadowoloną miną rozcierając pięści. - Okazały się bardzo pożyteczne. Trudno powiedzieć to samo o lekcjach fechtunku z Sebastianem u Angela w Haymarket Room, choć muszę złożyć ukłon Wrothowi, który życzył sobie, żeby każdy z jego przyjaciół potrafił sam się bronić - dodał z uśmiechem, demonstrując mały, lecz groźnie wyglądający nóż zatknięty za cholewkę buta.

Jane poczuła gwałtowną falę podniecenia. To był Raleigh, jakiego nigdy dotąd nie знаła. Nieustraszony i porywczy. Prawdziwy bohater.

Błyskawicznie pokonał dwóch porywaczy, nie odnosząc przy tym nawet najłżejszych obrażeń. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy zemdleć.

Jakby czytając w jej myślach, Raleigh podszedł do niej i jednym zręcznym ruchem poderwał ją do góry. Przypomniała sobie, że kiedyś sądziła, iż nie potrafiłby jej podnieść. Teraz nie miała takich obaw. Widziała jego siłę i zręczność, ukryte za fasadą miękkości i lenistwa. Mimo to czuła się trochę skrępowana tym, że niesie ją jak małe dziecko.

- Potrafię sama chodzić- zaprotestowała. Oparła dłoń na jego piersi i nagle poczuła falę gorąca, rozchodzącą się po całym ciele. Ich spojrzenia się spotkały. Zaczerwieniła się, bo nawet w ciemnościach potrafiła dostrzec, że z oczu Raleigha zniknął gdzieś kpiący błysk, a jego miejsce zajął żar płomiennego uczucia. Zarzuciła mu rękę na szyję i oparła głowę na jego ramieniu. Tu było ciepło, pociecha i radość. Tu było jej miejsce.

Na zewnątrz ze zdumieniem dostrzegła dwóch czekających na nich potężnie zbudowanych wieśniaków. W pierwszej chwili pomyślała, że to kolejni napastnicy, jednak Raleigh zwrócił się do nich:

- Jest tam dwóch w środku. Zamknijcie ich, a jutro damy znać do ratusza.

Jane wiedziała, że powinna już stanąć na własnych nogach, ale w ramionach Raleigha czuła się tak wspaniale. Tulila się do niego, rozkoszując się ciepłem i słodyczą jego bliskości. A on niósł ją, nie zatrzymując się, do wnętrza domu i dalej przez labirynt pokojów.

Kiedy dotarli do sypialni to nie jemu, lecz jej zabrakło tchu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Raleigh położył Jane na łóżku, a potem nachylił się nad nią, patrząc jej w oczy, jakby oczekiwał jakiejś odpowiedzi, ale ona nie bardzo wiedziała jakiej. Po chwili odsunął się.

- Powinnaś odpocząć po tym, co przeszłaś - powiedział niskim, schrypniętym głosem, w którym brzmiał cień rozczarowania.

- Tak... nie! - Próbowała złapać go za rękę, kiedy jednak zwrócił ku niej pytający wzrok, nie wiedziała, co powiedzieć. Zostań ze mną. Uczyń mnie swoją żoną. Nie potrafiła jednak wyrazić swoich pragnień, nie mogła wydusić z siebie ani słowa, a nawet wytrzymać jego spojrzenia.

Zarumieniwszy się, spuściła wzrok. Dostrzegła krwawe otarcia na jego napiętkach.

- Skaleczyłeś się! - zawołała i natychmiast usiadła. - Pozwól, że się tobą zajmę!

Raleigh uśmiechnął się przeproszająco. Jane zapaliła lampę i wylała wodę z porcelanowego dzbana do miski. Popchnęła lekko męża na krzesło, wyjęła chustkę do nosa i ostrożnie przetrzała ranę. Skaleczenie, choć drobne, niepokoiło ją, ale była zadowolona, że ma coś do roboty, dzięki temu łatwiej jej było mówić.

- Byłeś... byłeś cudowny, Raleigh... Deverell - wyszeptała. - Kiedy stanąłeś w drzwiach, myślałam, że śnię. A potem powaliłeś tamtych dwóch na ziemię... Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Zachowałeś się jak prawdziwy bohater...

Mruknął coś pod nosem. Podniosła oczy. Patrzył na nią uważnie.

Gdzieś ulotnił się żartobliwy błysk, a jego miejsce zajęło głębokie zadowolenie, ciepło i jeszcze coś, w co trudno jej było uwierzyć.

- Muszę nałożyć balsam i zabandażować ci nadgarstki - oświadczyła.

- Ja też byłem z ciebie dumny, Jane, moja dzielna, piękna żono - powiedział łagodnie. Bandaż wysunął się nagle z jej rąk. Raleigh odsunął go delikatnie. - Nie musisz mi robić opatrunku - powiedział, wstając i próbując ściągnąć surdut. Jane pośpiesznie pomogła mu go zdjąć, dziwiąc się samej sobie, czemu cały czas próbuje go powstrzymać.

Otrzeptyjąc wykwintny materiał, powiesiła surdut na narożniku masywnego lustra.

- Gotowe - oświadczyła z udawaną szorstkością. Serce skakało jej w piersi jak szalone, dłonie drżały. Co teraz?

- Włosy ci się rozsypały - powiedział zza jej pleców, przejmując inicjatywę. Pisnęła gniewnie, gdy wyjął ostatnią spinkę i przeczesał palcami złotawe pasma, ale po chwili, drżąc, poddała się.

Dotyk Raleigha ośmielił ją. Nadal nie podnosząc oczu, zaczęła rozpinać jego kamizelkę.

- Pobrudziłeś się - szepnęła, choć bokserskie wyczyny Raleigha nie zostawiły na jego garderobie prawie żadnych śladów. Zadrzała ponownie na wspomnienie jego odważnej akcji wobec dwóch osiłków. Jedwabna kamizelka wyśliznęła jej się z rąk.

- Och - westchnęła, zawstydzona własną niezręcznością.

Schyliła się, by podnieść kamizelkę, ale powstrzymał ją łagodny głos Raleigha:

- Zostaw ją.

Zaskoczona, podniosła wzrok; jej mąż właśnie zdjął fular i beztrąsko cisnął go za siebie,

- Zostaw? - zdziwiła się.

- Ale...

Łobuzerski uśmiech wicehrabiego sprawił, że zrobiło się jej gorąco.

- Zostaw - powtórzył, po czym chwycił koszulę i zdjął ją przez głowę, a następnie rzucił przez cały pokój, bez najmniejszego szacunku dla lnu w najlepszym gatunku.

Miała zamiar zaprotestować, ale widok jego nagiej piersi, gładkiej i złocistej, niemal pozbawił ją przytomności.

- Jesteś tak piękny, że brak mi tchu., - wyznała drżącym głosem.

Jakby wyczuwając jej najtajniejsze pragnienia, ujął jej rękę i położył na swojej piersi. Była gładka i ciepła. A pod złocistą skórą łomotało serce Raleigha. Powoli poprowadził jej dłoń, aż musnęła palcami jego sutkę, i wtedy zamruczał coś. Jane znów czuła, jak jego głos wibruje w niej.

- Pozwól, że dam ci moją miłość, moje ciało, moje nasienie... - szepnął. Jego głos docierał do niej gdzieś na obrzeżach świadomości, a jej serce trzepotało jak oszalałe.

Niezdolna do ani jednej sensownej myśli, skinęła tylko głową. Raleigh zaczął ją całować delikatnie, najpierw jedną wargę, potem drugą i wreszcie wziął jej usta w swoje usta. Wydała jęk rozkoszy.

Nim zorientowała się, co jej mąż robi, rozpiął jej suknię i zsunął na podłogę.

- Chcę cię widzieć całą - wyszeptał, całując jej policzki i uszy. Skinęła głową i poczuła, jak jego palce muskają jej udo, nieubłaganie unosząc halkę coraz wyżej.

I nagle stała już przed nim naga, zarumieniona ze wstydu. Jak mogła się na to zgodzić? Teraz zobaczy wszystkie jej braki. Teraz się zorientuje... Oddychała z trudem. Dłoń Raleigha musnęła jej szyję i zaczęła zsuwać się

coraz niżej.

- Jesteś zachwycająca, najdroższa - szeptał. Podziw w jego schrypniętym głosie przyprawił ją o drżenie, jego spojrzenie burzyło w niej krew. - Zachwycająca.

A potem uniósł ją w objęciach i położył na łóżku, delikatnie zsuwając pończochy z jej nóg. Drżąca, rozpalona, przyglądała się, jak sam zrzuca buty i zaczyna zdejmować bryczesy.

Patrzyła zahipnotyzowana, jak ciska spodnie na bok i staje przed nią w prowokującej pozie, jakby spodziewał się, że go odepchnie lub odwróci wzrok. Ale Jane z zachwytem przyglądała się jego doskonałym kształtom. Był tak piękny, tak szczupły i muskularny.

- Jesteś niesamowicie... wielki - wyszeptała.

Uśmiechnął się.

- Już to słyszałem - powiedział, zbliżając się do łóżka. - Tym więcej dostarczę ci rozkoszy. - Jego spojrzenie do reszty pozbawiło ją tchu. Pochylał się nad nią coraz niżej i wreszcie ich ciała się zetknęły.

Zachwycająca. Czy tak właśnie powiedział? To słowo rozbrzmiewało w całym jej jestestwie. Na całej skórze czuła siłę i gładkość jego palców, muskających ją, gładzących i pieszczących. Zalana potem i drżąca, zdążyła jeszcze raz pomyśleć „zachwycająca”, zanim zatraciła się w głębokim uniesieniu.

Gdy wypłynęła na powierzchnię, by zaczerpnąć tchu, czuła, jak usta Raleigha przesuwają się po całym jej ciele, po ramionach, piersiach, smakuja każdy cal jej ciała, jakby była egzotycznym deserem. Mruczał z zadowolenia, od czasu do czasu przerywając, by szepnąć kilka słów.

- Smakujesz cudownie, Jane, każda twoja cząsteczka. Co za pyszności. Chciałbym cię zjeść. - Kiedy wziął jej sutkę do ust i wessał

głęboko, zadrzała, wstrząśnięta i zachwycona. Jej ciało wygięło się w łuk, wypełnione niewiarygodną rozkoszą, a jednak dziwnie puste. Kręciła się niespokojnie, póki Raleigh nie zaczął jej gładzić kojącymi ruchami. Wtedy dotknęła go również, leciutko muskając palcami jego plecy.

- Tak, Jane, kochanie, rób tak, to cudowne - szepnął.

Chciała spełnić jego życzenie, ale gdzieś głęboko odzywał się w niej głos, który żądał czegoś więcej. Kiedy Raleigh rozsunął jej nogi swoim muskularnym udem, zaczęła się wyrywać, choć obsypał ją gradem uspokajających pocałunków. Straciła orientację w czasie. Czucie na przemian opuszczało ją i powracało ze wzmożoną, zatrważającą intensywnością. Zdyszana i spotniała, rozpaczliwie za czymś tęskniła.

- Spokojnie, maleńka... niecierpliwisz się, tak? - pytał ją. - Tak się cieszę, Jane. Tak się cieszę. - Słuchając go, ponownie wygięła się w łuk. - Spróbujmy tak - powiedział, unosząc się lekko. Klęcząc pomiędzy jej nogami, uniósł je powoli. Poczowała się bezbronna i obnażona, a zarazem niezwykle podniecona i podniecająca. Odwróciła głowę w bok, ale on zaczął szeptem domagać się jej uwagi. A potem, kiedy patrzyła na niego nieprzytomna, bez tchu, ujął swą męskość w dłoń i dotknął nią jej ciała.

Usłyszała dziwny jęk, który, jak sobie uświadomiła, wydobywał się z jej własnych ust. Coś gorącego, twardego, wilgotnego ocierało się o nią. Wczepiła się palcami w pościel, a wtedy Raleigh nachylił się i zaczął poruszać się w przód i w tył, przyprawiając ją o utratę zmysłów. Nie była już Pospolitą Jane, lecz nieznaną istotą, rozpaloną do szaleństwa dłońmi mężczyzny.

Wygięta w łuk, poczuła wtargnięcie Raleigha w swoje ciało i usłyszała jego głos pełen uniesienia:

- Ach, Jane, moja najdroższa, moja słodka... - I zaraz już był w niej i

wszystkie jej cudowne doznania eksplodowały rozdzierającym bólem.

- Nie! Przestań! Jesteś za duży!

- To normalne, Jane - szepnął, uspokajając ją głosem, dłońmi i ustami.

- Pozwól mi tylko przejść... - Ledwie jednak zaczęła się rozluźniać, wbił się w nią jednym gwałtownym pchnięciem, które pozbawiło ją tchu. Leżała pod nim, dygocząc. Gdzieś zniknęła cała rozkosz.

Przez dłuższą chwilę leżeli w ciszy i Jane zaczynała już sądzić, że jest po wszystkim, jednak Raleigh zaczął znów szeptać czułe słowa.

- Jane, moja najdroższa, moja cudowna, zachwycająca. Czy... powiedz, czy czujesz się dobrze, moja słodka żono? Moja namiętna, ognista kochanko...

Z trudem się pohamowała. Ostatnia rzecz, jaką czuła, to ognista namiętność. Była spocona i rozgrzana, było jej też niewygodnie. Pragnęła tylko, żeby mąż zostawił ją wreszcie w spokoju, ale z przerażeniem poczuła, że wsuwa się w nią jeszcze głębiej.

Mruknęła gniewnie, ale on pocałował ją w usta, pieszcząc ją językiem tak długo, aż ponownie odpłynęła w niebyt.

- Tak, teraz poznaję moją żonę. Najdroższa, czy przyjmiesz mnie całego? - Poczwała, jak powoli wycofuje się, by powrócić powolnym pchnięciem. - Całego - szepnął. - Weź mnie całego.

Jego ochryply, błagalny głos wprowadził ją w drzenie. Raleigh odchylił głowę do tyłu. Widząc jego płonące oczy i zaciśnięte usta, czuła, że poszłaby za nim do piekła.

- Całego, Jane - powtórzył i nagle miejsce bólu zajął oślepiający błysk podniecenia. Raleigh wbijał się w nią coraz głębiej. - O tak, tak, moje kochanie - szeptał i nagle w Jane wstąpiła moc. Poczwała się najpiękniejszą kobietą na świecie.

Najpierw sprawiała jej przyjemność tylko jego nie skrywana rozkosz, gdy jednak przyspieszył tempo, pękła jakaś niewidoczna tama i zalało ją morze nieuchwytnych doznań i emocji.

- Bądź ze mną, Jane... - wyszeptał. - Poczuj to. Czujesz? Powiedz mi, że też to czujesz...

Zabrakło jej tchu, by mu odpowiedzieć; hipnotyzowała ją gładkość jego skóry. Czuła jego usta i ręce, ich niezwykłą, podniecającą pieśczość. Nagle wsunął pod nią dłonie, wpijając się palcami w jej ciało, i uniósł ją, poruszając się tak, że zadygotała w ekstazie.

- Tak, kochanie, właśnie tak. O, Jane, moja cudowna, moja pyszna, mój cudzie... - Urwał i uniósł się, by scalić się z nią w jedno. - Kocham... cię... Jane - wydyszał, nim opadł na nią, spotniały i osłabły od rozkoszy, którą go obdarzyła.

W pobliżu brzęczała zabłąkana pszczoła. Raleigh otworzył jedno oko, obserwując, jak owad krąży w powietrzu. Leżał na grubym pledzie, z rękami pod głową, bliski drzemki. Odwrócił lekko głowę, by mieć w polu widzenia Jane, zbierającą polne kwiaty. Westchnął. Jej energia była doprawdy niespożyta. Jego żona, do niedawna skromna i wstydliva, wyczerpała go z kretesem.

Uśmiechnął się na wspomnienie szczegółów tego wydarzenia. Kiedy znalazł ją w krypcie, zdrową i całą, ogarnęła go taka radość i ulga, że straszliwie jej zapragnął, zapragnął uczcić odnalezienie żony, smakując każdy cal jej ciała.

Wciąż jednak powstrzymywała go niepewność co do jej uczuć - aż do chwili, gdy zaczęła opatrywać jego nieszkodliwe zadrapania, a potem spojrzała na niego w sposób, w jaki nie patrzyła na niego dotąd żadna

kobieta. W jej spojrzeniu kryła się taka słodycz, taka namiętność i graniczący z uwielbieniem podziw, że Raleigh przez chwilę czuł się tak wspaniale, jak jeszcze nigdy w życiu.

Wreszcie udało mu się zdobyć jej szacunek; znaczyło to dla niego więcej niż uznanie ludzi, więzy krwi czy nawet miłość przyjaciół. A kiedy kochał się z nią, miał wrażenie, że cały jego żywot utracjusza prowadzić miał właśnie do tej jednej, jedynej chwili.

Ta nagła egzaltacja rozbawiła go. Jego myśli poszybowały w stronę bardziej fizycznych aspektów ich związku. Wyczerpanie zaczęło ustępować miejsca nowemu podnieceniu. Z początku nie był pewien, czy Jane zaufa mu na tyle, by pozbyć się zahamowań, ale ona zaskoczyła go swoją namiętnością i entuzjazmem.

Przy każdym zbliżeniu wznosiła go na wyżyny, jakich się nie spodziewał. Tak, zdążył się już przekonać, że Jane nie była zwykłą kobietą. Ta sztywna, do niedawna wiecznie skwaszona dziewczyna przywiązała go do siebie tak silnie, że na przekór wszystkiemu pokochał ją ciałem, duszą i sercem.

Wsparł się na łokciu, by popatrzeć na żonę. Miała na sobie jedwabną suknię w żółte paski, pod kolor wstążki od słomkowego kapelusza, który opadł jej na plecy. Binokle zdjęła już wcześniej, jeszcze kiedy leżała przy nim. Stała bokiem, z rozpuszczonymi włosami, które rozwiewał letni wiatr. Raleigh poczuł nagle, że brakuje mu tchu. Każdy, kto spojrzałby teraz na Jane, musiałby przyznać, że jest bardzo piękną kobietą...

Zazdrość, która nim targnęła, zaskoczyła go, podobnie jak pragnienie, by trzymać ten skarb przy sobie, z dala od chciwych oczu i nieczystych myśli innych mężczyzn. Nie zamierzał z nikim się nim dzielić. Kiedy wróca do Londynu, każe jej nosić habit mniszki, choć to zdecydowanie nie w

porządku wobec kobiety, która właśnie zaczęła odkrywać swoją kobiecość.

Jego pragnienie ukrycia żony przed innymi spotęgowało się, kiedy Jane powoli odwróciła się z szeroko rozpostartymi ramionami, jakby płała się w nowo nabytej wolności. Niczym nieskrępowana. Namiętna.

- Kocham wrzosowiska! - powiedziała, odwracając się i szerokim gestem obejmując Northumberland. Wiatr rozwiewał jej włosy. - Kocham to miejsce! Kocham... - Urwała i spojrzała w tarczę popołudniowego słońca.

- Jak na kogoś, kto nie wierzy w miłość, kochasz bardzo szczodrze - zażartował, zastanawiając się niespokojnie, co mogła oznaczać ta pauza.

Jane, omijając jego wzrok, zerwała długie źdźbło trawy.

- Po prostu nigdy nie myślałam... nigdy nie sądziłam, że coś takiego mogłoby się przydarzyć właśnie mnie - wyznała cicho, a Raleighowi ścisnęło się serce. - W świecie, w którym twarz to majątek, byłam nędzarką. Kulą u nogi mojej rodziny, najgorszym nieszczęściem: córką, która korzystnym zamążpójściem nie zwróci kosztów wychowania.

Jej rozgoryczenie sprawiło, że Raleighowi znów boleśnie ścisnęło się serce. Wyraźniej niż kiedykolwiek uświadomił sobie, że ma przed sobą smutną, wrażliwą dziewczynę, która dorastała pełna zwątpienia we własną wartość. Zapragnął cofnąć się w czasie do jej nieszczęśliwego dzieciństwa i zapowiedzieć wszystkim, że Jane wyrośnie na piękną kobietę. I że ma piękną duszę, a przecież tylko to się liczy. Niestety nie mógł zmienić przeszłości, nawet jej cząstki. Ale mógł spróbować wynagrodzić Jane tę przeszłość.

- Jestem pewien, że dla twojej rodziny nigdy nie byłeś ciężarem - powiedział. - Twoja siostra Sarah nie jest zbyt urodziwa, a przecież ma męża i dwójkę małych dzieci, które ją uwielbiają. Kochają ją i o to w życiu chodzi, nie o pieniądze ani o urodę.

- Łatwo ci mówić - nastroszyła się Jane. - Zawsze ci było łatwo, bo urodziłeś się w luksusie i mogłeś dogadzać swoim kaprysom, nosić piękne stroje...

- Myślisz, że moje życie było aż takie proste? - zaśmiał się gorzko Raleigh. - Kiedy ty dorastałaś na przytulnej plebanii u boku kochającego ojca i wśród gromady wspaniałych sióstr i braci, ja mieszkałem w mauzoleum Westfield Park pod okiem guwernerów, a potem w kolejnych szkołach, gdzie zawsze musiałem toczyć walki ze starszymi chłopcami, którzy dokuczali mi na różne sposoby.

Zaczerpnął powietrza. Słowa, których nigdy nie miał zamiaru wypowiedzieć, cisnęły mu się teraz na usta.

- Nie karmili nas tam zbyt dobrze - dodał. - A ja, w przeciwieństwie do moich kolegów, nie miałem kieszonkowego. Hrabia jest wrogiem rozpieszczania, sama rozumiesz. Chroniło mnie poczucie humoru, moja pogoda ducha była jedyną receptą na przetrwanie.

Jane patrzyła na niego w osłupieniu, ale on nie mógł już przestać.

- Niestety nie znalazłem uznania w oczach rodziców, którzy chcieli, żebym był równie oschły i wyprany z uczuć jak oni. Kiedy ty zastanawiałaś się, jakiego koloru róże sadzić po nasłonecznionej stronie muru plebanii, ja przygotowywałem się do dźwigania ciężaru pozycji społecznej, którą miałem zająć, do spełniania oczekiwań rodzinnych i towarzyskich oraz zachowywania pozorów.

Potrząsnął głową, jakby usiłując zakpić z siebie, jednak zaraz się poddał.

- Byłem zawsze głodny... tęskniłem za dobrym jedzeniem, eleganckimi ubraniami, śmiechem, uczuciami. To pierwsze potrafiłem wyłudzić, to drugie dostawałem od przyjaciół, bandy dziwaków podobnych

do mnie. Ale to mi nie wystarcza. Teraz pragnę miłości, Jane. Czy możesz mi ją ofiarować?

Przekonywał sam siebie, że musi upłynąć nieco czasu, zanim zdobędzie swoją pruderyjną Jane, zanim przełamie jej opory i przekona ją do swojego sposobu myślenia i odczuwania. A mimo to siedział tutaj, wysuwając żądanie, którego mogła nie chcieć lub nie umieć przyjąć.

Już miał powiedzieć, że cofa wszystko, co powiedział, że uszczęśliwi go wszystko, co mu ofiaruje - ale było za późno. Odwróciła się do niego z poważną miną.

- Ja... ja... - Uciekła spojrzeniem w bok. Odrzuciła źdźbło trawy, którym się bawiła. Raleigh wstrzymał oddech.

- Chciałabym... chciałabym spróbować wszystkiego, wszystkiego, czego możesz mnie nauczyć, co możesz mi dać. To wszystko jest tak cudowne, podniecające i nowe, ale i przerażające. Ufam ci, choć czasem nie mogę uwierzyć, że wicehrabia Raleigh, piękny i nieskazitelny mężczyzna, którego zawsze adorowałam, mógłby mnie zapragnąć.

Raleigh z westchnieniem wypuścił powietrze, ale Jane mówiła dalej:

- Mimo woli zastanawiam się, czy wszystkie swoje... przyjaciółki traktowałeś w ten sam sposób. Czy kochasz mnie dla mnie samej, czy też żywiłbyś podobne uczucia wobec każdej kobiety, którą byś poślubił?

Zachnął się, urażony.

- Kochanie, czy uważasz mnie aż za takiego błazna?

Uśmiechnęła się ze skruchą.

- Nie, to ja jestem głupia.

- Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie - rzekł Raleigh, sięgając po dłoń Jane. - Nie wiem, dlaczego jesteśmy razem, Jane, ale może to los chciał, żebyśmy zajęli to samo łóżko w Casterleigh. Wiem tylko tyle, że

przez całe życie tęskniłem za miłością. Patrzyłem z zazdrością, jak staje się udziałem moich przyjaciół, i teraz, kiedy jestem z tobą, jeszcze bardziej jej pragnę... - Urwał na chwilę, by mogła w jego oczach wyczytać, co naprawdę czuje, po czym dodał: - Musisz mi wybaczyć, jeśli będę zbyt zachłanny, ale uwierz mi, że nigdy jeszcze się tak przy nikim nie czułem. Jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem, i chciałbym cię o tym przekonywać, dając ci dowody mojej miłości dniem i nocą.

Kiedy zobaczył, że egzotyczne, zielone oczy Jane wypełniają się łzami, poczuł się, jakby mu ktoś zdjął wielki ciężar z ramion, wyzwalając go tak, jak on wyzwolił ubiegłej nocy ukrytą namiętność swojej żony.

- Chodź do mnie - powiedział łagodnie. - Zaraz ci udowodnię, że to prawda.

Przyciągnął ją do siebie. Zanim wziął ją w ramiona, zdjął jej kapelusz i odłożył na bok. Zaczął scałowywać jej łzy.

- Cudownie smakują, ale wolałbym, żebyś nigdy nie płakała - wyszeptał.

Z gardła Jane wydobył się dziwny dźwięk, coś między jękiem a śmiechem. Ostrożnie położył ją na pledzie, przykrywając swoim rozpalonym ciałem. Jej ciało pasowało cudownie do jego ciała. Krągłe kształty żony wzbudzały w nim nieokiełznaną namiętność.

Ujął jej usta swoimi wargami. Jane była zachwycającą uczcią dla jego wygłodniałych zmysłów. Poczuł radość, kiedy odpowiedziała rosnącym podnieceniem. Dopiero kiedy nasycił się jej ustami, zsunął się niżej, na dekolt.

- Nie tutaj! - zaprotestowała, a w jej głosie dało się słyszeć nutę paniki.

- Dlaczego? - szepnął, oswobadzając jej ramię z sukni.

- Ktoś może nas zobaczyć.

- Kto? - spytał ze śmiechem Raleigh. Zewsząd otaczały ich wysokie trawy, ciągnące się aż po pagórkowaty horyzont. Delikatnie zanurzył język w uchu Jane, a potem musnął jedwabistą skórę jej szyi.

- Ktoś... z... domu - odparła zdyszana, a Raleigh uśmiechnął się, tuląc twarz do jej ramienia. W oddali, w dole, pośród gęstwiny drzew, widniało Craven Hall.

- Nikt nas nie może zobaczyć - zapewnił ją, zsuwając suknię i odsłaniając koronkowy brzeżek halki, którą musiała przysłać jego matka. Tuląc się do jej krągłych piersi, zaczerpnął tchu. Czysty len, polne kwiaty i Jane. Najcudowniejsze perfumy świata.

Jej sutka wciskała mu się w policzek, odwrócił głowę, by jej skosztować przez delikatną tkaninę. Jane mruknęła gniewnie. Uśmiechnął się, choć wszystkie mięśnie w nim stężały. Uwielbiał te jej śmieszne reakcje. Protest mieszał się w nich z zachętą i czuł się tak, jakby uwodził kobietę, którą poślubił wbrew jej woli. Przeszył go dreszcz miłosnego triumfu.

- Co za delicje, kochanie - szepnął.

Ssał jej pierś przez cienkie płócienko, aż wygięła się w łuk, a on poczuł gorąco i ból. Nie miał na sobie surduta. Pospiesznie zaczął rozpinąć kamizelkę, a kiedy jeden z guzików odprysł, zaśmiał się beztrąsko.

- Antoine tego nie przeżyje - szepnął do Jane, która gorączkowo rozpiniała jego koszulę. Przez chwilę szamotał się, zdejmując fular i przeklinając Niezrównanego - węzeł, który ongiś wychwalał pod niebiosa. Jane śmiała się radośnie. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek usłyszy ten uroczy dźwięk.

- Masz mnie za niezdarę - oskarżył Jane, choć nie wydawało jej się, by się tym zbytnio przejmował. Spojrzał na nią. Jej suknia zsunęła się do

pasa, halka nosiła wilgotne ślady jego ust. Miał ochotę skosztować każdego calu jej ciała.

Potrząsnęła głową. Wcale nie miała go za niezdarę. Patrzyła na jego pierś wygłodniałym wzrokiem. Dotknęła jego brzucha i zaczęła przesuwając dłonie do góry. Wsparty na łokciach, bez ruchu przyjmował jej nieśmiało pieszczoty, gdy jednak uniosła głowę i zaczęła całować jego tors, zadrżał.

- Tak, Jane - wymruczał. - Tak. Właśnie tak. - Nagle okazało się, że dzieli ich zbyt wiele materiału, więc zsunął do końca suknię z Jane. Przesunął dłońmi po jej smukłych nogach, dotknął delikatnej skóry nad brzeżkiem pończoch, a potem zadarł wysoko rąbek halki i wtulił twarz między jej nogi.

Całując gładką skórę jej ud, dotarł do źródła rozkoszy. Czuł pod sobą wibrujące ciało Jane.

- Raleigh! - krzyknęła.

Nie zważając na jej protesty, dotknął ustami delikatnej skóry, delektując się Jane jak wybornym winem.

A potem wsunął dłonie pod biodra Jane, podniósł ją z pledu do swoich zachłannych ust i dał jej wszystko, co tylko potrafił, aż zaczęła się wic i wyrywać z jego rąk, wykrzykując w ekstazie jego imię.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Choć Raleigh nie przepadał specjalnie za wrzosowiskami, czuł, że mógłby tak leżeć przy Jane w leniwym nasyceniu, patrząc na odległy horyzont, do końca życia. Był wyczerpany, ale było to przyjemne zmęczenie, skonstatował, leniwie wodząc palcem po plecach żony.

Niestety jego energicznej oblubienicy nie zadowalało spędzanie dnia na drzemce. Zasnęła na moment, jednak już się obudziła i robiła się coraz bardziej niespokojna. Raleigh znał ją na tyle, by spodziewać się, że zaraz rzuci się do jakiejś roboty. A on nie potrafił jej od tego odwieść.

- Dev?

Uśmiechnął się. Wiedział, co zaraz powie.

- Tak? - wymruczał prosto w jej włosy.

- Przestań. Łaskoczesz mnie - oświadczyła z lekkim westchnieniem.

No tak, było jeszcze lepiej, niż sądził.

- Zostań jeszcze trochę - poprosił, obiecując sobie, że w nadchodzących latach będzie mruczał często i wytrwale.

- Nie. Muszę wracać do pracy - zaprotestowała.

Ku jego ubolewaniu siadła i zaczęła wkładać suknię; ulegając jej determinacji, pomógł jej pozawiazywać wstążki. Następnie sięgnął po koszulę, którą beztrąsko cisnął we wrzosa, i zmaltretowaną kamizelkę, uboższą o jeden guzik. Antoine będzie niepokieszony.

Jane, chichocząc, przyglądała się jego wysiłkom, gdy próbował ją zapiąć. Raleigh spojrział na nią z komicznym wyrzutem.

- Widzę, że lata życia dandysa mam już za sobą. - Jane nie wyraziła

współczucia, lecz podnosząc się z pledu, skinęła z aprobatą głową. Raleigh uprzytomnił sobie, że nie tylko jego garderoba wymaga zmiany, i świadomość ta rozweseliła go. Wreszcie i on, śladem swoich przyjaciół, wkraczał w nowe życie pełne miłości, za którą tak często tęsknił.

Gdyby tylko mógł być spokojny o ich wspólną przyszłość. Patrząc na zarośniętą posesję wokół Craven Hall i pomagając Jane złożyć pled, rozmyślał nad obowiązkami, jakie go czekały. Zbiry, z którymi rozprawił się wczorajszej nocy, miały zostać przekazane władzom. Choć nie interesował go pościg za resztą bandy, był jeden przeciwnik, którego nie zamierzał lekceważyć.

- Nie gniewaj się, ale czuję, że muszę dzisiaj jeszcze coś zrobić, to znaczy coś przy domu - powiedziała Jane.

Uniósł jej podbródek i złożył szybki pocałunek na jej ustach.

- Rozumiem cię. Sam też mam pewne obowiązki.

- Notariusz? - spytała, schodząc w dół pośród wysokich traw.

- Nie. To sprawa związana z twoimi porywaczami.

- Mówisz o ich zagadkowym wspólniku?

- Tak. Chociaż „zagadkowy” jest ostatnim słowem, jakiego bym tu użył. Prędzej „odrażający” albo „groteskowy”, pomyślał Raleigh. Ale przynajmniej jego domostwo będzie wolne od tej kreatury, bo nawet Jane nie mogła zakwestionować pewnych faktów. Spojrzał w jej stronę. - Tym razem pani Graves musi odejść na dobre - oznajmił z całą stanowczością, na jaką było go stać. Jane przystanęła.

- Nie sądzisz chyba, że to ona jest motorem wszystkiego?

- Jane, jeżeli wierzyć jej słowom, była tutaj jedyną służącą przez całe lata. Komu więc, jeśli nie jej, płacono za korzystanie z domu?

- No tak, ale musiała mieć jakiś powód! - próbowała bronić jej Jane. -

Nie mogę sobie wyobrazić, żeby ot tak, po prostu, przechowywała kontrabandę. - Raleigh stłumił westchnienie, widząc determinację na jej twarzy. - Idę z tobą - oznajmiła.

Kiedy dotarli do drzwi, otworzył je przed żoną.

- Wątpię, czy ta stara wiedźma w ogóle będzie tutaj po tym, co wydarzyło się zeszłej nocy - stwierdził, po czym odłożył pled i zdecydowanym krokiem ruszył do kuchni, nie zatrzymując się nawet, by się choć trochę ogarnąć.

Niestety okazało się, że nie miał racji. Gospodyni posłusznie stawiała się w jadalni, dokąd ją wezwał. Wyglądała równie ponuro jak zawsze.

- Proszę, pani Graves, niech pani siada - powiedział i poczekał, aż gospodyni usiądzie na jednym z ciężkich mahoniowych krzeseł. - Chciałem z panią porozmawiać o porwaniu mojej żony - zaczął, nie zwracając uwagi na Jane, która skrzywiła się, słysząc, co mówi. - Chciałbym też dowiedzieć się od pani, od kiedy przemytnicy przetrzymują w naszej piwnicy kontrabandę.

Gospodyni milczała, starannie omijając jego spojrzenie. Cisza przeciągała się i zaczął zastanawiać się, czy aby pani Graves nie postanowiła milczeć jak grób, wreszcie jednak przemówiła ponurym głosem:

- To było konieczne, inaczej nie byłoby co do garnka włożyć.

Raleigh spodziewał się raczej usłyszeć, że została sterroryzowana, niż takiej rewelacji.

- Chce pani powiedzieć, że pieniądze, które pani dostawała od przemytników, szły na wyżywienie? - spytał zdumiony.

Przytaknęła niechętnie.

- Moje i pana Holroyda - dodała.

Na Boga, sytuacja była gorsza, niż sądził, skoro służba musiała

uciekać się do działalności przestępczej, żeby się wyżywić!

- Widzisz, mówiłam ci, że musiały być jakieś poważne powody - zatriumfowała Jane.

Raleigh skarcił ją wzrokiem, zanim zwrócił się z powrotem do pani Graves,

- Chce pani powiedzieć, że mój wuj nie dawał pani dosyć pieniędzy na prowadzenie domu?

- Odmawiał pieniędzy na naprawy i utrzymanie domu. W końcu przestał także płacić pensje tym, którzy pozostali. Twierdził, że czasy są zbyt ciężkie.

Raleigh poczuł, że serce mu się ściska. Do tej pory nie tracił nadziei, że uda mu się zatrzymać Craven Hall dla Jane, jednak rewelacje gospodyni pozbawiły go resztek optymizmu. Odchrząknął.

- Nie myślała pani, żeby sprzedać coś z kolekcji pana Holroyda? Gospodyni obrzuciła go tak mrocznym spojrzeniem, że przez chwilę pożałował, iż Prudence Ravenscar nigdy jej nie pozna.

- Pan Holroyd nie lubił się niczego pozbywać.

- Ale przecież część posągów i obrazów ma sporą wartość, można więc było niektóre spieniężyć - nie ustępował Raleigh.

Gospodyni nadal mierzyła go ponurym wzrokiem.

- To by nie było w porządku.

Cóż, dosyć szczególne zasady moralne, pomyślał Raleigh. Pobieranie opłaty za ukrywanie kontrabandy w piwnicy było w porządku, natomiast sprzedaż czegokolwiek, by napełnić brzuch Corneliusa - nie. Tak czy owak, nie miało to już większego znaczenia. Gospodyni po prostu robiła, co mogła, żeby utrzymać dom.

- Przykro mi, jeśli milady ucierpiała z tego powodu. Nie chciałam

nikogo skrzywdzić, chciałam was tylko stąd wypłoszyć - wyznała pani Graves z rozbijającą szczerością.

Gniew na wspomnienie Jane w łapach dwóch porywaczy walczył w Raleighu o lepsze ze zrozumieniem dla starej kobiety, która usiłowała wydobyć z siebie coś w rodzaju przeprosin.

- Wierzę pani - oświadczyła Jane, a Raleigh stłumił westchnienie. Jego żona miała zdecydowanie zbyt miękkie serce, on sam zaś nie mógł do końca pojąć, co kryło się za dziwnym zachowaniem gospodyni.

- Mogę zrozumieć, że przemytnicy chcieli się nas pozbyć, czemu jednak pani miałyby pragnąć naszego odjazdu? - spytał, choć domyślał się już odpowiedzi. Każdy spadkobierca, który by miał choć trochę oleju w głowie, zrównałby cały dwór z ziemią i wypędził upiorną gospodynię, gdzie pieprz rośnie.

Pani Graves milczała z kamienną twarzą. Ciszę przerwał dopiero cichy głos Jane.

- Może bała się pani, że dokonamy jakichś zmian w gospodarstwie? - zasugerowała, a Raleigh aż się uśmiechnął blade na myśl o pani Graves przeżywającej jakiegokolwiek obawy. - Na pewno nie mieliśmy zamiaru pani zwalniać, chyba że pani sama by sobie tego życzyła - powiedziała Jane. - Domyślałam się, że jest pani wytrącona z równowagi tymi wszystkimi zmianami - dorzuciła. - Może chciałaby pani wypocząć przez resztę dnia?

Z niepokojem i fascynacją Raleigh śledził poczynania swojej żony, która pomogła gospodyni wstać, a następnie odprowadziła ją do skrzydła dla służby. Miał takie uczucie, jakby się znalazł na kartach powieści grozy. Czyżby Jane miała naprawdę zamiar wiązać sobie sznur na szyi, zatrzymując panią Graves?

Zaczął wspominać niepokojące zajścia, które jego i Jane budziły w

środku nocy, zmuszając do błąkania się w świetle księżyca, do spania w jednym pokoju...

Nagle ogarnęły go wątpliwości, czy przewinienia gospodyni były rzeczywiście aż tak niewybaczalne. Może przeciwnie, powinien być wdzięczny tej kobiecie za to, że pośrednio przyczyniła się do zbliżenia między nim a żoną?

Po chwili zastanowienia odrzucił jednak gniewnie tę myśl. Wdzięczność dla pani Grobowiec to gruba przesada.

W polu widzenia pojawiały się pierwsze chaty wioski. Raleigh uświadomił sobie, że coraz bardziej przyzwyczajają się do Chistleside. Miesiąc temu, ba, nawet tydzień temu podobna myśl by go zaniepokoiła. Teraz już nie, pomyślał, odpowiedziawszy skinieniem głowy na głośne pozdrowienie z ust mijanego tubylca.

Uśmiechnął się. Nadal odczuwał zaskoczenie, kiedy miejscowi zwracali się do niego bez tak wyraźnej niedawno wrogości. Po ostatnich wydarzeniach spodziewał się raczej nienawiści ze strony wieśniaków, tymczasem wyczuwał coś w rodzaju odpornej zgody na jego obecność w Craven Hall.

Prawda, że incydent z przemytnikami potraktował bardzo ulgowo, załatwiając po cichu rozproszanie towaru po lokalnych gospodach i nie podejmując żadnych kroków przeciwko szmuglerom, poza oddaniem władzom mężczyzn, którzy porwali jego żonę. Zbytńio smakowało mu wino z piwnic Craven Hall, by miał dociekać jego pochodzenia, nie widział też powodu, by robić dużo szumu z powodu procederu, uprawianego w tej okolicy od stuleci.

Tak, zaczynało mu się coraz bardziej podobać w Northumberland. A

w Craven Hall? Roześmiał się na myśl o reakcji Pimperingtona. Londyńska socjeta z pewnością go odrzuci. Ale nie przejmował się tym ani trochę. Choć brzmiało to nieprawdopodobnie, bawił się znakomicie. Prawdę mówiąc, zeszły tydzień był najbardziej podniecającym tygodniem w jego życiu: długie noce upływały pod znakiem rozkoszy, dni - na wyciąganiu żony na schadzki na wrzosowisku. W wolnych chwilach przetrząsał zbiory Corneliusa, szukając czegoś, co oczarowałoby Jane.

Jane. Uśmiechnął się na samą myśl o niej, tak szczęśliwej w Craven Hall, wciąż wynajdującej sobie nowe zajęcia, zarumienionej z podniecenia na widok każdego znaleziska. Wreszcie zaczęła ubierać się kolorowo, nosić rozpuszczone włosy i przekomarzać się z nim, rozluźniona i radosna. Serce zabiło mu mocniej, kiedy przypomniał sobie, jak pozwoliła mu się karmić słodkimi biszkoptami i jak jej namiętność, nareszcie nie skrepowana, przyprawiała go o utratę tchu.

Jednak mimo miłosnych uniesień i nowo nabytej pewności siebie, która biła z jej twarzy, nadal miał niemiłe uczucie, że nie odnalazłaby się nigdzie indziej, w Sussex, Londynie czy też w Westfield Park.

Była to jedyna rzecz, która powstrzymywała go przed całkowitym pograżeniem się w hedonistycznym rozleniwieniu. Wciąż nurtował go niepokój, kładąc się cieniem na ich szczęściu. On sam miał wprawę w cygańskim życiu, wiedział, jak wpraszać się do przyjaciół i jak kursować między majątkiem rodziców a posiadłościami swoich druhów, teraz jednak sytuacja uległa zmianie. Nie mógł namawiać Jane, by wraz z nim prowadziła nieustatkowany, niezgodny z jej naturą tryb życia.

Jane była na zawsze i potrzebowała stabilizacji. Poza tym wyraźnie podobało jej się doprowadzanie ruiny po wuju męża do porządku, ale jak długo będzie dane im tu zostać? Odkryli wprawdzie parę przedmiotów, które

wyglądały, jakby miały jakąś wartość, nie wiadomo było jednak dokładnie jaką. Choć utrzymanie dworu nie zapowiadało się zbyt kosztownie w porównaniu z większymi, bardziej okazałymi rezydencjami, Raleigh nie miał złudzeń. Najstarsza część budowli pilnie potrzebowała nowego dachu, a całość wymagała dużych nakładów na remont.

Było tego dość, by zwarzyć pogodną beztroskę wicehrabiego; teraz jednak porzucił tak obce mu smętne myśli, gdyż powóz zwalniał. Jak zwykle, zanim udał się na sprawunki, przystanął przed kancelarią nieobecnego notariusza. Obrzucił witrynę spojrzeniem i zamarł.

Napis zniknął. Czyżby Felix Fairman powrócił? Powóz nie zdążył dobrze zahamować, kiedy Raleigh wyskoczył, nie mogąc doczekać się spotkania z notariuszem. Zaraz jednak zwolnił kroku, szykując się na złą nowinę. Jeśli jego wuj zostawił bardzo dużo długów, wszystkie ich znaleziska na nic się zdadzą...

Wziąwszy głęboki oddech, nacisnął klamkę. Znalazł się w niewielkim pokoju, zagraconym niemal tak jak Craven Hall. W środku siedział mały, łysy człowieczek. Uniósł głowę znad papierów.

- Pan Felix Fairman? - upewnił się Raleigh.

- Owszem, to ja - potwierdził mężczyzna, wstając z krzesła. - Mam zapewne zaszczyt z lordem Raleigh. Przepraszam, że mnie nie było, kiedy pan się tu zjawiał, ale mój siostrzeniec uległ wypadkowi w drodze do Londynu. Siostra była w rozpacz. Chwała Bogu, jest już lepiej, więc wróciłem najszybciej, jak mogłem, choć zapewne wcale mnie pan nie potrzebował. Doszły mnie słuchy, że się pan tutaj urządza. Jestem przekonany, milordzie, że postawi pan tę okolicę na nogi.

Raleigh miał ochotę spojrzeć za siebie, czy przypadkiem nie ma tam jego ojca. Czyżby Fairman naprawdę o nim mówił? Notariusz

entuzjastycznie kiwał głową.

- Od powrotu nasłuchałem się tyle dobrego o panu! Bardzo się cieszę, że w Craven Hall znów zamieszka dziedzic z dziedziczką. To wspaniałe miejsce do założenia rodziny, milordzie - powiedział i uśmiechnął się.

Raleigh poczuł nagły ucisk w piersi na myśl o Jane z dzieckiem w łonie. Dawniej spłodzenie potomka wydawało mu się uciążliwym obowiązkiem, koniecznością zapewnienia dziedzica, teraz jednak widział to w innym świetle - jako szansę stworzenia rodziny, w której będzie się cenić uczucia bardziej od ambicji.

Oczywiście wyobraźni zobaczył Jane biegnącą przez wrzosowisko, otoczoną gromadką ich synów i córek. Przecież już mogła być w ciąży - ta myśl sprawiła, że jeszcze bardziej zapragnął zamieszkać w Craven Hall, z dala od zimnych korytarzy Westfield Park. Ale chcieć niekoniecznie znaczy móc, o czym wielokrotnie miał okazję się przekonać.

Odchrząknął.

- Nie wątpię, że ma pan rację, jednak jest jeszcze pewien drobiazg... stan majątkowy mojego wuja - powiedział, siląc się na obojętność.

- Ach tak, oczywiście! Proszę, milordzie, mech pan siada. - Fairman opadł za biurko i zaczął grzebać w papierach. - Mam to wszystko tutaj, w największym porządku. Jak napisałem hrabinie, jest pan jedynym spadkobiercą.

Raleigh znów wrócił myślami do tajemniczej córki, której danych nie udało mu się ustalić.

- A co z córką? - zwrócił się do notariusza. - Są pewne dowody na istnienie potomka z nieprawego łoża.

Fairman podniósł na niego wzrok.

- Co pan powie! Szczerze mówiąc, nigdy o niczym takim nie

słyszałem, a nawet gdybym słyszał, osoba taka nie miałaby żadnych podstaw do roszczeń majątkowych. To wszystko należy do pana: kilka dzierzawionych farm, dwór z całym inwentarzem, a także inwestycje i fundusze, dające roczny dochód w wysokości około pięćdziesięciu tysięcy funtów.

Raleigh był kompletnie zaskoczony.

- Pan wybaczy, chyba się przesłyszałem - mruknął. Fairman poprawił na nosie binokle, patrząc na niego z rozbawieniem.

- Naturalnie nie mam dokładnych danych, bo nie było mnie przez parę tygodni, niemniej pan Holroyd zdążył zgromadzić całkiem zgrabną sumkę.

Raleigh gwałtownie potrząsnął głową.

- Chyba czegoś tu nie rozumiem. Dwór, jak pan zapewne wie, jest w opłakanym stanie, odniosłem więc wrażenie, że mój krewny był bez grosza...

- Rozumiem - uśmiechnął się Fairman. - Pan Holroyd stronił od towarzystwa, był raczej samotnikiem, nigdy więc u niego nie bywałem. Wszystkie sprawy załatwialiśmy korespondencyjnie. Większość służby odprawił. Domyślam się, co doprowadziło pana do podobnych wniosków. - Spochmurniał. - Bardzo mi przykro, że budynek został tak zapuszczony, jednak zapewniam pana, że pan Holroyd, mimo opinii dusigrosza, miał dobrą rękę do inwestycji i, jak sędzę, również do kolekcjonowania dzieł sztuki. Prawdę mówiąc, ta sytuacja nie należy do wyjątkowych. Często spotykam ludzi, którzy wyglądają, jakby przymierali głodem, choć w rzeczywistości posiadają całkiem pokaźny kapitał.

Słuchając uspokajających słów Fairmana, Raleigh, zazwyczaj tak opanowany, z najwyższym trudem zachowywał spokój. Miał ochotę na klęczkach błagać łysego jegomościa, by z niego tak bezlitośnie nie drwił.

Postanowił więc się upewnić.

- Chce pan powiedzieć, że nie mam żadnych długów do spłacenia?

- Naturalnie koszty pogrzebu zostały pokryte z pańskiej schedy, poza tym jednak nic mi nie wiadomo o żadnych długach, chyba że dotyczą służby czy dostawców, ale jak dotąd nikt się z tym do mnie nie zgłosił.

Pani Graves. Raleigh poczuł wyrzuty sumienia, że ta upiorna istota nie dostawała pensji, jednak mógł to łatwo wynagrodzić. Ogarnęła go radość. Z pewnością miał niezbyt mądry wyraz twarzy. Notariusz musiał sądzić, że postradał zmysły - nie miał przecież pojęcia o jego nędznej sytuacji finansowej ani o tym, jak wiele te nowiny znaczyły dla jego żony. Jane... Nie mógł się już doczekać, kiedy powie jej o tym wszystkim.

- Doskonale, panie Fairman. A teraz wybaczy pan, ale muszę wracać do... domu. Wkrótce umówię się z panem na uzgodnienie szczegółów. Spisał się pan doskonale i zadbam o to, by moja wdzięczność miała bardziej materialny wymiar. - Miał na myśli pieniądze, ale z radości mógłby nawet ucałować notariusza w łysinę.

Mały jegomość poczerwieniał.

- Nie ma potrzeby, milordzie. Cieszę się, że wreszcie będziemy mieli, po latach, dziedzica z prawdziwego zdarzenia. Mam nadzieję, że pod pańskimi rządami rozkwitnie cała okolica. Raleigh nie był tego aż tak pewien, jednak pożegnał się zadowolony, a kiedy Fairman zamknął za nim drzwi, rzucił się pędem do powozu. Kazał stangretowi popędzić konie, sam zaś, śmiał się w głos z kaprysów losu, który przez lata obchodził się z nim po macoszemu, by nagle, ni stąd, ni zowąd, rzucić mu do stóp fortunę.

Jane z ciężkim westchnieniem odsunęła masywną, pozłacaną ramę. Chciała obejrzeć inne portrety ukryte między obrazem a ścianą. Trafiała na

prawdziwą kopalnię płócien, kiedy wreszcie usunęła stertę papierzyśk z rogu biblioteki. Płoneęła z ciekawościi, aby zobaczyć, jakie nowe skarby wpadły jej w ręce.

Raleigh bez wątpienia kazałby jej powierzyć to zadanie jednemu z nowych służących, ale Jane wolała uporać się z tym sama. Jej mąż będzie musiał się z tym pogodzić. Najbardziej nieskazitelny mężczyzna w całej Anglii poślubił kobietę, która chętnie brudziła sobie ręce. Dziwne, ale prawdziwe, stwierdziła z uśmiechem. Nie wiadomo, dlaczego rumieniec wypłynął na jej twarz.

Z wysiłkiem próbowała wrócić myślami do znalezioneo portretu, ale wciąż miała przed oczyma męża. Odgarnęła niesforny kosmyk włosów, pozostawiając smugę brudu na twarzy. Uniosła rąbek fartucha, żeby wytrzeć policzek i nagle w jej pamięci ożyło wyznanie wyszeptane przez Raleigha, że szczególnie podnieca go jej widok, kiedy jest zgrzana, spocona... Puściła rąbek fartucha i przez chwilę smakowała pożądanie, które teraz przychodziło jej tak łatwo jak oddech.

- Chyba naprawdę cię kocham... Uśmiechnęła się, słysząc głos męża. Z pewnością wyczuł jej pragnienie i wrócił do domu, by je zaspokoić. Odwracając się radośnie w stronę, z której dochodził głos Raleigha, ujrzała go, opartego o drzwi. Wyglądał tak elegancko i pięknie, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- A to dlaczego? - spytała żartobliwie, ruszając w jego stronę. Widziała, jak jego wzrok zsuwa się z jej twarzy na szyję i dekolt. Poczwała, że jej ciało oblewa fala gorąca. Przymknął oczy i z leniwym wdziękiem odepchnął się od futryny.

- Ponieważ zamierzam zostać w tej dziurze, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Rozmawiałeś z notariuszem? - Przystanęła zaskoczona.

- Owszem - odparł z chytrym uśmiechem - Twierdzi, że jesteśmy bogaci. Bardzo bogaci, Jane! Możemy zatrzymać twoje ukochane Craven Hall, wyremontować je, wynająć dosyć służby, by żyć na poziomie, i bawić się z dziećmi na wrzosowiskach.

Jeszcze nie skończył, kiedy podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Porwał ją w objęcia i zakręcił w powietrzu, aż zabrakło jej tchu. Cieszyła się, że Raleigh będzie miał wreszcie jakieś pieniądze, ale to jego plany wobec Craven Hall sprawiły, że łzy stanęły jej w oczach.

- Jesteś absolutnie pewien, że chcesz tutaj zostać? - spytała. Bała się jego odpowiedzi, jednak musiała zadać to pytanie. - A co z Londynem? Nie będzie ci go brakować? - Znam Londyn do znudzenia - odparł z kpiącym błyskiem w oku. - Natomiast tutaj są pewne rzeczy, którymi jeszcze nie zdążyłem się nasycić. - Jego dłoń zsunęła się z pleców Jane niżej, na krągłe pośladki.

Widząc wyraz powątpiewania w jej oczach, roześmiał się.

- Jeśli będziesz miała ochotę, Jane, możemy udać się do Londynu, kiedy tylko zechcesz, ale ta rozpadająca się rudera jest moja i mam do niej uczuciowy stosunek. Liczę, że na tym skorzysta.

Jane dostrzegła niezwykłą powagę w jego spojrzeniu. Powaga ta, choć nie zaćmiła jego wrodzonego humoru i dowcipu, wystarczyła, by przekonać ją, że wicehrabia naprawdę chce stworzyć dom, rodzinę, nowe życie. Uśmiechnęła się do niego, delektując się chwilą wspólnego szczęścia. Raleigh pochylił się i już zamierzał ją pocałować, gdy głośny łoskot poderwał ich oboje.

- Tylko nie to! - przeraził się wicehrabia. - Dlaczego tak trudno kochać własną żonę w tym domu? - zwrócił się do wymaganych

słuchaczy, bezradnie rozkładając ręce.

Rozbawiona Jane podniosła obraz, który upadł na podłogę. Oparła go o ścianę, po czym zrobiła krok do tyłu, by obejrzeć mroczną podobiznę starszawego dżentelmena o siwych, krzaczastych brwiach i ponurym, a nawet groźnym wyrazie twarzy.

- Powinienem się był domyślić! - powiedział cierpko Raleigh. - Ten zdziwaczały staruszek prześladowa mnie od chwili przyjazdu! Chyba mu jednak wybaczę, bo pozostawił nam całkiem zgrabną sumkę, jak to określił pan Fairman.

- Jesteś pewien, że to twój wuj? - spytała Jane, popatrując podejrzliwie na portret. Staruszek ani trochę nie przypominał wicehrabiego.

Raleigh stanął obok niej.

- Absolutnie! Ma rysy Holroydów, a jego temperament, niestety, widać na pierwszy rzut oka. - Wzdrygnął się. - Dzięki Bogu, odziedziczyłem urodę po rodzinie ojca.

Jane ze zmarszczonym czołem studiowała podobiznę Corneliusa. Coś w krzaczastych brwiach i ponurych ustach wydało jej się dziwnie znajome.

- Kogoś mi przypomina... - zaczęła. Również surowe oczy wyglądały znajomo. Nagle odwróciła się do męża.

- Pani Graves! - wykrzyknęli chórem, Jane podniecona, Raleigh lekko rozbawiony

- Rozumiesz, co to znaczy? - spytała Jane, patrząc na męża.

Raleigh skinął głową.

- Jest jego córką.

- Jak to możliwe? Kiedy wróciła? Przecież nie mieszkała tutaj przez cały czas! Dlaczego Holroyd pozwolił córce służyć u siebie? - Jane urwała nagle, bo przyszła jej do głowy nowa, jeszcze bardziej przerażająca myśl. -

Wielkie nieba, nie sądzisz chyba, że go zabiła, prawda?

- Na Boga, nie! Gdyby go chciała zamordować, zrobiłaby to już dawno.

Jego słowa nie zabrzmiały zbyt przekonująco i Jane zastanawiała się, czy nie omyliła się, biorąc panią Graves za przepracowaną, źle opłacaną służącą. Bez wątpienia w Craven Hall działo się więcej, niż podejrzewała.

- Intryga naprawdę w stylu powieści grozy! - wykrzyknął Raleigh.

- Co przez to rozumiesz?

- Ona to wszystko wymyśliła... wszystkie strachy, od brzękania łańcuchami i potępieńczego wycia aż po świecącą czaszkę, fałszywą krew, tajemnicze ostrzeżenie i zbirów przebranych za mnichów. Wszystko to wzięła z książek - powiedział, wybuchając śmiechem.

Choć uwielbiała jego śmiech, prychnęła z dezaprobatą. Nie miała pojęcia, o czym jej mąż mówi.

- Przepraszam cię, kochanie, ale zastanów się przez chwilę - powiedział Raleigh. - Co jest wspólnym mianownikiem prawie wszystkich tych powieści?

- Klątwa rodowa?

- Ciepło, ale jeszcze nie gorąco. Co prawda, niezbyt się odnajduję w roli mrocznego uzurpatora - stwierdził, śmiejąc się z miny Jane - ale niewątpliwie pani Graves jest córką Holroyda!

Choć Raleigh nie był tym wcale zachwycony, Jane odkryła swoją władzę nad nim i wykorzystywała ją bez skrupułów, nie bacząc na jego kielkujące poczucie odpowiedzialności. Jak miał się nią opiekować, skoro nie chciała mu na to pozwolić? Przeklęte baby, na każdy temat mają własne zdanie, myślał z lekkim poczuciem winy, bo dziwnym trafem zdanie żony zazwyczaj pokrywało się z jego zdaniem.

Odetchnął głębiej i odsunął na bok te myśli, gdyż obiektem jego uwagi była teraz pani Graves. Wezwał ją na rozmowę do jadalni, a Jane uparła się im towarzyszyć.

- Zawsze uważałem, że jest niezrównowazona. Co będzie, jeśli nagle dostanie ataku szału? - spytał, patrząc z niepokojem na żonę. Zachnęła się gniewnie, ale widział, że powstrzymuje śmiech. Musiała akurat teraz rozwinąć w sobie poczucie humoru? Raleighowi cała ta sytuacja wcale nie wydawała się zabawna.

- Wiesz, Dev, wołałam chyba, kiedy nie przejmowałeś się tak wszystkim - zażartowała Jane. - Zresztą i tak wierzę, że potrafisz mnie obronić.

Błysk w jej oku przypominał mu noc, kiedy ją uratował. Uśmiechnął się. Nieźle się spisał podczas potyczki ze zbirami, później też. Na moment pograżył się w słodkich rojeniach, ale uśmiech przygasł na jego twarzy, kiedy dotarło do niego, że kolejny raz jest manipulowany.

Jednak za późno już było na protesty, bo właśnie zjawiała się gospodyni. Ponura jak zawsze, usiadła w identycznej pozie jak przed tygodniem. Raleigh odchrząknął.

- Pani Graves, o ile dobrze wiem, wicehrabina życzy sobie, by mimo udziału w jej porwaniu pracowała pani u nas nadal - oznajmił, nie zwracając uwagi na karcące spojrzenie Jane. - Proszę nam również wierzyć, że jesteśmy głęboko wstrząśnięci, odkrywszy pani prawdziwą rolę w tym domu.

Gospodyni słuchała go z wzrokiem wbitym w dal. Nie odezwała się, więc Raleigh zdecydował się przejść do rzeczy.

- Krótko mówiąc, wiemy, kim pani jest... kuzynko - stwierdził, wzdrygnąwszy się lekko przy ostatnim słowie. Miał nadzieję, że nigdy nie odezwą się w nim dziwactwa tej gałęzi rodziny.

Zapadło długie milczenie.

- Skąd pan o tym wie? - spytała wreszcie pani Graves głosem, w którym słychać było jedynie ponurą rezygnację.

- Znaleźliśmy list pana Holroyda, informujący o pani istnieniu - powiedziała łagodnie Jane. - Od tej chwili próbowaliśmy panią odszukać, nie wiedząc, że była pani tu przez cały czas!

- No właśnie, od jak dawna pani tu mieszka? - spytał Raleigh, który nie umiał tak łatwo jak Jane wybaczyć tej kobiecie oszustw i intryg. - Z listu wynikało, że mój wuj odrzucił panią zaraz po urodzeniu - oświadczył, nie zwracając uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenie, jakie posłała mu żona.

- Tak zrobił - syknęła pani Graves, obrzucając ich oboje wściekłym wzrokiem, który z pewnością znalazłby uznanie w oczach starego Corneliusa. - Zrujnował mojej matce życie. Musiała mieszkać u krewnych, którzy ani na chwilę nie pozwalali jej zapomnieć, gdzie jest jej miejsce. Nienawidziłam go za to, co zrobił, a kiedy moja matka zmarła, wróciłam tutaj, żeby się zemścić.

Zdumiony jej gwałtownością, Raleigh poczuł lekki przyływ współczucia dla starego Corneliusa, który nie przeczuł, że tak blisko padnie jabłko od jabłoni...

- Wystąpiłam o posadę gospodyni w Craven Hall z nadzieją, że uda mi się odzyskać coś z tego, co mi się należy - ciągnęła pani Graves. - Ale zastałam tu biednego, schorowanego starca, więc... skończyło się tym, że to ja zarabiałam na jego utrzymanie.

Raleigh usłyszał, jak Jane bierze głęboki wdech.

- Nigdy się pani przed nim nie zdradziła? - spytała panią Graves.

- Miałam taki zamiar, ale on nie zawsze był przy zdrowych zmysłach. Nienawidził kobiet i nigdy by mnie nie przyjął na służbę, gdyby nie to, że

rozpaczliwie potrzebował kogoś do pomocy. Niewiele osób zniosłoby jego humory - wyjaśniła. - Bałam się, że jeśli się dowie, kim jestem, natychmiast mnie odprawi.

Cóż za ironia losu, że Cornelius u schyłku swoich dni musiał żyć z łaski swojego dziecka, którego się wyparł, pomyślał Raleigh. Gdziekolwiek teraz był, prawdopodobnie wił się w mękach. A może jednak nie? W końcu tę parę łączyło jakieś dziwne, nieuchwytnie podobieństwo. Oboje należeli przecież do rodu zimnych, bezwzględnych Holroydów.

- I została pani - odezwała się cicho Jane.

- Nie mam innego domu - odparła gospodyni, prostując się z godnością. Nie miała również pieniędzy, pracując bez zapłaty od Bóg wie kiedy. Na tę myśl Raleigh poczuł się nieswojo.

- Może pani pozostać u nas, jak długo pani zechce - oświadczyła Jane, potwierdzając najgorsze przeczucia Raleigha. - Naturalnie nie oczekujemy od pani żadnych usług, będzie pani mieszkać z nami w charakterze rezydentki.

Raleigh skrzywił się. Już jako służąca była niezłym utrapieniem, a co dopiero jako gość? Wyobraził sobie ponurą twarz pani Graves witającą go znad śniadania i poczuł, że traci apetyt. Przez moment atmosfera w jego rodzinnym domu w Westfield Park wydała mu się dziwnie pociągająca.

- Naturalnie gdyby wolała pani otrzymać własny dom lub podróżować czy odwiedzać krewnych - wtrącił - chętnie wyznaczymy pani pensję. Cornelius, choć żył bardzo ubogo, zostawił całkiem spory spadek.

Po raz pierwszy na twarzy gospodyni odbiło się zaskoczenie, nie wiadomo, czy z powodu propozycji Raleigha, czy wiadomości o fortunie starego dusigrosza.

- Tak - odparła drżącym głosem. - Chciałabym wrócić do mojej

wioski, jeśli starczy na kawałek dachu nad głową.

- Dostanie pani cały dom na własność - zapewniła ją zdecydowanie Jane.

Pani Graves zachowała stoicki wyraz twarzy.

- Dziękuję - odparła sztywno. - Zaraz pójde się spakować.

- Nie musi się pani śpieszyć - powiedziała Jane. Raleigh stłumił protest, zresztą gospodyni już wychodziła z pokoju. Wziął głęboki oddech i zwrócił się do żony, by położyć stanowczo kres jej hojności, zanim zaproponuje starej jędzy ich dom, ich łóżko, a w końcu ich pierworodnego.

Zdążył zrobić zaledwie dwa kroki, gdy Jane zatrzymała go jednym ze swoich słodkich uśmiechów, które nieodmiennie wprawiały go w oszołomienie.

- Jestem dumna z ciebie, że się tak pięknie znalazłeś - oświadczyła, obdarzając go promiennym spojrzeniem.

Kiedy odzyskał mowę, uśmiechnął się z rezygnacją i powiedział:

- Jane, kochanie, cóż ja bym bez ciebie począł?

EPILOG

Raleigh znalazł Jane na wrzosowisku, przy starym pniu, na którym niedawno zobaczyli świecąca czaszkę. Umieściła tam teraz wielką dynię z domalowaną ludzką twarzą. Z uśmiechem pomyślał, że jego żona objawiła kolejną nieoczekiwaną cechę - zamiłowanie do horrorów.

Siedziała na spleśniałym pledzie, a jesienny wiatr rozwiewał jej pojaśnione od słońca włosy. Choć rozwijające się w łonie Jane dziecko nie zmieniło jeszcze jej sylwetki, myśl o nim kazała mu przystanąć. Trudno mu było uwierzyć, że ta cudowna kobieta i sztywna skromnisią, którą poślubił, to jedna i ta sama osoba, podobnie jak trudno mu było uwierzyć, że mieszka w Craven Hall.

Miał ochotę śmiać się w głos, zachwycony dobrodziejstwami losu. Jednak list, który niósł w ręku, psuł nieco jego dobry nastrój. Z westchnieniem zaczął wspinać się pod górę.

- Dev! - powitała go radośnie Jane. Nachylił się, by scałować jej uśmiech, po czym rozciągnął się obok niej na pledzie. - Co się stało? - spytała z zatroskaną twarzą. Pomyślał, że zna go na wylot, i uśmiechnął się.

- Przyszedł list od mojej matki. Pyta, czemu dotąd nie wróciliśmy, i odgraża się, że złoży nam wizytę - odparł, podając żonie kopertę. - Napiszesz do niej i poinformujesz ją, że wbrew jej życzeniom nie rozebraliśmy jeszcze Craven Hall, czy też ja mam to zrobić?

- Napiszę do niej z największą przyjemnością - odparła Jane.

Spokojna odpowiedź żony poprawiła humor Raleigha. Zanurkował wzrokiem w coraz bujniejszy dekolt Jane. Spłodzenie dziedzica okazało się

bardzo przyjemnym zadaniem, stwierdził w duchu, zaraz jednak przypomniał sobie o innych rodzinnych obowiązkach i ciężko westchnął.

- Mam wrażenie, że oni raczej pytają, czy mogliby nam złożyć wizytę, a nie odgrażają się, że przyjadą - powiedziała Jane, podnosząc oczy znad listu.

Raleigha znów opuścił dobry humor.

- Jakie to ma znaczenie? Jeśli przyjadą, nie będziemy mieli spokoju!

- To prawda, nie będzie to zbyt serdeczna wizyta, ale chyba nie są aż tacy straszni?

- Są jeszcze gorsi. - Raleigh wzdrygnął się. - Nie zaaprobują naszych planów - ostrzegł.

- Dlaczegoż by ich nie mieli zaaprobować?

- Ponieważ nigdy nie aprobują niczego, co robię. - Raleigh odwrócił się na wznak i zaczął naśladować ton hrabiego:

- „Lekkomyślne, mój chłopcze! Wyrzucanie pieniędzy na żalną ruinę w Northumberland, gdzie diabeł mówi dobranoc! Z dala od towarzystwa. Pora, żebyś osiadł tutaj! Musisz myśleć o przyszłości, o swojej pozycji!”.

Głośne prychnięcie Jane powstrzymało tę błazenadę. Raleigh popatrzył na nią z rozbawieniem. Choć nadal wyrażała swoją dezaprobatę w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, ostatnio nieczęsto był przez nią karcony. - Moim zdaniem rodzice powinni być z ciebie bardzo dumni! - powiedziała z takim przekonaniem, że Raleighowi zrobiło się gorąco. - Dzięki twojej przenikliwości i inteligencji odkryliśmy prawdziwe skarby w kolekcji wuja. Sam, bez niczyjej pomocy, wypędziłeś z posiadłości przemytników, co dowodzi wielkiej odwagi i siły, nie mówiąc już o umiejętnościach bokserskich! Do tego byłeś dostatecznie bystry, by

domyślić się, że cała intryga była inspirowana powieściami grozy, i odgadnąć, że za tym wszystkim stoi pani Graves. Doglądałaś remontu domu i sam zaplanowałaś niektóre ulepszenia, dzięki czemu zyskałaś sobie szacunek wieśniaków, którzy przedtem usiłowali nas stąd wypłoszyć. Sądzę, że to, co tutaj zdołałaś, na każdym zrobi wrażenie!

Raleigh spojrział na Jane, z zapalem wypowiadającą te słowa. Dla niego liczyło się tylko jedno - jego żona była z niego dumna.

- Myślę, że kiedy dowiedzą się o wszystkim, co tu zrobiłaś, łącznie z zapewnieniem sobie dziedzica... - urwała na chwilę, rumieniąc się uroczo - będą z ciebie ogromnie dumni. A gdyby mimo to byli niezadowoleni, zaczniemy się tak zachowywać, żeby jak najszybciej spakowali manatki - dodała żartobliwie. - Chyba nawet już wiem, gdzie ich ulokować.

Myśl, że jego wybredni, dostojni rodzice mieliby zamieszkać w jednym z nietkniętych jeszcze pokoi głównego skrzydła, pełnego rupieci starego Corneliusa, rozbawiła Raleigha, ale dopiero widok naiwnego zapału na twarzy Jane sprawił, że wybuchnął głośnym śmiechem. Obracając się na bok, objął żonę.

- Jane, kochanie, co ja bym bez ciebie począł?